

Nazywam się Tadeusz Olizarowicz. Urodziłem się 10-go kwietnia 1924-go roku w nieistniejącej już miejscowości Milenki. Była to wówczas gmina Babiki powiatu sokólskiego. Moja mama - Maria z domu Horczak pochodziła z miejscowości Pisarzowce, położonej w sąsiedztwie Milenek. Ojciec zaś był pracownikiem służby medycznej - uczestniczył w pierwszej wojnie światowej. W roku 1927-mym przenieśliśmy się z całą rodziną w okolice Grodna do miejscowości Nowosiółki, położonej na terenie gminy Indura.

W tym czasie ojciec trudnił się praktyką lekarską i jednocześnie prowadził gospodarstwo rolne, które miało około dwudziestu pięciu hektarów gruntu.

Natomiast ja ukończyłem szkołę podstawową w Indurze. Od wczesnego dzieciństwa należałem do harcerstwa. Po ukończeniu szkoły podstawowej uczyłem się przez rok w Liceum Handlowym w Grodnie. Wówczas nazywało się to Gimnazjum Handlowe, które mieściło się - jak powiedziałem - w Grodnie, przy ulicy wiktoldowej 3.

W domu byłem wychowany w duchu bardzo patriotycznym. Uczestniczyłem we wszystkich obozach, które organizował hufiec H.P. Grodno. Wojna zaskoczyła mnie zupełnie niespodziewanie. W dniu wybuchu wojny miałem akurat pójść do drugiej klasy gimnazjum kupieckiego.

Mój ojciec został zmobilizowany i pracował w szpitalu wojennym nr 303 w Białymstoku. Ten szpital mieścił się w budynku położonym u zbiegu ulic Elektrycznej oraz Adama Mickiewicza. W czasach pokojowych mieściło się tu gimnazjum żeńskie.

Z tym szpitalem ewakuował się aż do miejscowości Równe na Ukrainie. Tam szpital przejęli Rosjanie. Ojciec, który doskonale znał język rosyjski - dzięki temu zdołał się uratować i wrócić do domu.

Okres okupacji sowieckiej :lata 1939-1941 przeszedł dla rodziny stosunkowo dość spokojnie, ponieważ w naszej miejscowości w najbliższej okolicy ojciec miał dobrą reputację u ludzi różnych narodowości i różnych orientacji politycznych. Nie ucierpieliśmy.

Zmiana okupanta w dniu 22-go czerwca 1941-go roku zastała mnie w domu. Gdy tylko w naszej miejscowości zawiązywała się organizacja konspiracyjna jako forma ruchu oporu - późniejsza Armia Krajowa - wstąpiłem w jej szeregi. Było to dokładnie 15-go czerwca 1942-go roku. Złożyłem przysięgę i przyjąłem pseudonim "Żbik".

Pierwszy okres przynależności do organizacji polegał przede wszystkim na szkoleniu. Tworzyła się jakby rezerwa na wypadek potrzeby. Utrzymywaliśmy łączność, gromadziliśmy broń. Prowadziliśmy rozeznanie, często wydawać by się mogło - mało sensowne. Na pewno jednak w skali większej dawało to jakieś wyniki. Zresztą takie mieliśmy wówczas polecenie.

15-go września 1943-go roku zostałem przypadkowo aresztowany przez Niemców i osadzony w obozie pracy w Białymstoku, które wówczas było siedzibą naszego województwa. Obóz ten znajdował się w tym miejscu, gdzie teraz znajduje się dworzec autobusowy PKS-u. Obóz nazywał się "Heimat Front"- Front Ojczyzniany / w tłumaczeniu/. Wcześniej był tu punkt filtracyjny dla wojska, które wracało z frontu wschodniego do Reichu. Żołnierze jechali albo na urlopy albo przejeżdżali na inne fronty.

Natomiast kiedy na skutek postępów ofensywy niemieckiej front oddalił się daleko na wschód, w miejscu punktu filtracyjnego stworzono obóz pracy.

W tym obozie przebyłem zimę 1943-go roku. Byłem tu wykorzystywany do różnych prac. Z nadejściem wiosny, gdy od wschodu nadchodził front, obóz zaczęto ewakuować przeważnie do Stuhofu, na wybrzeże. Dla mnie praktycznie nie pozostawało nic innego, jak ratować się ucieczką. Wraz z kilkoma kolegami a konkretnie z Henrykiem Szczerbińskim /pochodził z miejscowości Tarusicze, położonej w pobliżu Grodna/, który był synem właściciela młyna - uciekliśmy z obozu.

Pierwsza próba ucieczki była nieudana. Podjęliśmy ją dwudziestego marca /drugą próbę podjęliśmy dwudziestego piątego marca/. Z obozu uciekliśmy przy pomocy kolejarzy. Szczególnie dużo w tej operacji pomógł nam pan Silkiewicz /mieszkał przy ulicy Młynowej nr 65 /razem ze swoją córką, która miała pseudonim bądź imię Lina. Ona dopomogła nam w samej ucieczce z obozu. Natomiast pan Silkiewicz, który był maszynistą kolejowym - skontaktował nas z bratem pana Skarbińskiego, który również był maszynistą na parowozie i przyjeżdżał do Białegostoku.

Po spotkaniu ze starszym Szczerbińskim - maszynistą - nie mieliśmy większych kłopotów z dostaniem się w swoje strony, w okolice Grodna. Jednakże nie mogłem wprost wrócić do domu, gdyż mogłem być poszukiwany właśnie u rodziny jako uciekinier z obozu pracy. Jak się miało wkrótce okazać - żadnych poszukiwań nie było. Było tak dlatego, że sami Niemcy bardzo często wpadali do naszego obozu i zabierali do różnych prac osoby, które dosłownie wpadały im w tym czasie w ręce. Ujętych na te-



renie obozu zaganiali do krytych samochodów, tak zwanych "bud" i wywozili do różnych miejsc do pracy. Najczęściej wywożono w okolice Nowosiółek bądź Zaścianek. Tak więc dokumentacja osobowa - jeśli jakaś była prowadzona na terenie obozu - była bardzo niedokładna. Dlatego po mojej ucieczce ani razu do mojego domu nie przybyli Niemcy w tej sprawie. Najprawdopodobniej Niemcy nie odkryli mojej ucieczki. Inna sprawa, że nie dawałem ku temu żadnych powodów: w domu nie bywałem. Z miejscowych - tylko najbardziej zaufani sąsiedzi i koledzy wiedzieli o rzeczywistym stanie rzeczy, że nie jestem w obozie lecz na wolności.

Natychmiast nawiązałem kontakt z organizacją podziemną / swoją oczywiście - komórką Armii Krajowej/. Oczywiście zmieniłem pseudonim na "Kuna". Zmiana ta była podyktowana brakiem pewności, czy mój pseudonim w czasie mojej nieobecności nie został gdzieś - choćby i przypadkiem - nie ujawniony. Tego wymagała ostrożność.

Do końca okupacji niemieckiej ukrywałem się. Utrzymywałem ścisłą i stałą łączność z miejscową placówką, którą wówczas dowodził kapitan "Brylant" - Paweł Kotlarz. Jego zastępcą był Józef Pyszko miał pseudonim "Sokół".

Szczególną aktywność wykazywała nasza organizacja w czasie przygotowań do akcji "Burza". W tym czasie tworzył się cały drugi batalion "Niemen Lewobrzeżny". Myśmy doprowadzali rezerwistów do miejsca koncentracji w Lasach Zarubickich, skąd miał wyruszyć do akcji.

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość, że ten batalion został rozpuszczony. Stało się to wówczas, gdy do nas dotarła wiadomość o tym, jak Armia Czerwona potraktowała zgrupowanie wileńsko - Nowogródzkie AK po operacji "Ostra Brama", po pow-

staniu wileńskim. Rozwiązanie batalionu nastąpiło dziesiątego lipca 1944-go roku. Było to bardzo smutne dla żołnierzy, którzy ~~prognęli~~ walczyć z okupantem a musieli wracać do domu z niczym. Panowały nastroje przygnębienia, jakie towarzyszyły naszym poprzednikom, wracającym do swoich domów we wrześniu 1939-go roku. W dodatku byliśmy jeszcze zagrożeni przez nadchodzącą Armię Czerwoną.

Na nasze tereny Armia Czerwona wkroczyła około 20-go lipca 1944-go roku. Grodno było wzięte chyba siedemnastego lipca. Już od ~~od~~ pierwszych dni obecności nowej armii zaczęły się represje. Różne były tego formy. Zaczęła się nagonka do Armii Czerwonej. Zaczęły się polowania i wyłapywanie działaczy Akowskich, zwłaszcza dowódców.

Już od pierwszych dni nikt nie był pewien swojego bezpieczeństwa. Ludzie - bardzo często "na wszelki wypadek" - zaczęli się ukrywać. Część naszych ludzi "wykruszyła" się przed nadejściem frontu, w czasie przechodzenia i po przejściu frontu. Część gdzieś się zawieruszyła, cofając się przed frontem. Znaczna część członków naszej organizacji odeszła w lasy augustowskie zaraz za przechodzącym frontem. Bardzo dużą grupę poprowadził porucznik /wówczas/ - Henryk Śmietanko. Ta grupa odeszła w stronę Augustowa.

Część zadomowiła się pracując: pochodzący ze wsi znaleźli zatrudnienie na gospodarstwach rolnych, a ci o rodowodzie miejskim podjęli pracę w zakładach w mieście. Niektórzy pociągnęli tuż za frontem w stronę zachodnią. Przez "stronę zachodnią" rozumiano wówczas u nas okolice Mokółki i Białegostoku. Stało się tak dlatego, że wojskowi radzieccy wyraźnie zapowiadali, że Grodno będzie należało do Sowietów. I rzeczywiście - tak

się wkrótce granicą uformowała - jak istnieje obecnie: przebiega za ledwie kilka kilometrów na wschód od Kuźnicy. Granica przebiega dokładnie sześć kilometrów na zachód od mojego miejsca zamieszkania.

Pierwsze uderzenie nastąpiła na początku grudnia 1944-go roku na nasze dowództwo "Grodno - Niemen Lewobrzeżny". Wówczas aresztowano dowódcę grupy zbrojnej - Adolfa Pawłowskiego. Aresztowano również jego brata Józefa. Oni w czasie okupacji niemieckiej byli podręczną grupą dyspozycyjną kapitana "Brylanta". W samym dniu aresztowano też Kapitana "Brylanta". Został osadzony w więzieniu śledczym w Grodnie. Wkrótce otrzymał wyrok - kara śmierci. Została później zmieniona na karę więzienia. W praktyce oznaczało to wieloletnie obozy. Wrócił do Polski po wielu latach obozów sowieckich i latach spędzonych w więzieniach.

Po aresztowaniach oficerów i dowództwa kolej przyszła na szeregowych. Zaczęły się liczne morderstwa. Koło wsi Jaśkiewicze został zastrzelony mój kolega - Witek Wiśniewski. W innej miejscowości - Połotkowo - wyprowadzono z domu żołnierza Armii Krajowej - Władka Kozłowickiego, którego rozstrzelano przed domem. W innej jeszcze miejscowości - Koniuchy - zastrzelono ojca i młodocianego syna.

To wszystko stworzyło nie atmosferę zastraszenia, ale pobudzało do organizowania samoobrony. Taka samoobrona rzeczywiście powstała. Zaczęły się organizować grupy zbrojne przeciw Sowiecom. Tworzyli je ludzie najbardziej zagrożeni przez nową władzę. Owe grupy zbrojne działały w rejonie granicy. Najczęściej przeprowadzały przez granicę oddziały przesuwające się z Wileńszczyzny na tereny obecnej Polski.



Istniejące grupy łączyły się w większą sieć konspiracyjną. Jeśli któraś z placówek wpadała - była czyszczona przez NKWD. W tym względzie w strefie przygranicznej wyróżniał się kontrwywiad "Smiersz" / Śmierć szpionom/. Był to pograniczny kontrwywiad "Smiersz". Jego siedziba znajdowała się w Grodnie, przy ulicy Grandzickiej.

Mnie osobiście udało się przetrwać do 29-go maja 1946-go roku. W tym dniu, a właściwie jeszcze przed świtem - na mnie jeszcze śpiącego wpadło siedmiu czy nawet ośmiu ludzi, żołnierzy kontrwywiadu pogranicznego. Dowodził nimi porucznik, lejtnant Pierwoj. Zostałem natychmiast skuty i związany i doprowadzony do samochodu. W samochodzie zastałem już dziesięciu moich kolegów.

Dodatkową przykrością było to, że nas aresztowanych żołnierzy Armii Krajowej przewożono samochodem "Studebaker", samochodem produkcji amerykańskiej. Sami kontrwywiadowcy byli ubrani w płaszcze z sukna angielskiego i amerykańskiego. Jedli "swinnuju tuszonku", która też była produkcji amerykańskiej. Uzbrojeni też byli w broń trofeijną: niemiecką bądź amerykańską czy też angielską, którą wyraźnie się szczycili. Jakby mieli czym.

Tak nas powiązanych i załadowanych na samochody bocznymi drogami przewieziono do Grodna. Tu zostaliśmy umieszczeni w budynkach kontrwywiadu "Smiersz", którym wówczas kierował major Dzienisienko.

Od pierwszych dni rozpoczęło się śledztwo "non stop". Ważne dla nas było to, że przy żadnym z nas nie znaleziono broni. Kiedy nas zawieziono, na placu siedziby kontrwywiadu było wielu agentów czekała na nasz przyjazd. Było to na terenie koszar

bo tam znajdowała się siedziba kontrwywiadu - przy ulicy Grandzickiej - obecnie ulica Gorkiego. Agenci identyfikowali nas z tym, że jakoś tak się ułożyło, że żaden z nas nie został przez nich zidentyfikowany. Ja również żadnego z tych ludzi nie znałem.

Kto prowadził nasze śledztwo? Od początku do końca byli to przeważnie albo Żydzi albo Mongołowie:

- kapitan Romas, najbardziej okrutny, naczelnik grupy śledczej,

- kapitan Sławin, który również zajmował się naszą grupą,

Byli też inni, których nazwisk już nie pamiętam. Ci byli najbardziej okrutni, złośliwi i w jakiś sposób mściwi. Nawet starszy szeregowy, którego zadaniem było branie odcisków naszych palców i robienie nam zdjęć - też był Żydem.

Kiedyś, po jakimś czasie, kiedy już nieco oswoiłem się z więzieniem i naszymi śledczymi - zapytałem owego szeregowego, dlaczego oni tu siedzą, a nie idą na granicę pilnować - usłyszałem w odpowiedzi, że im przestępcę przyprowadzą tu, do gabinetu. Oni nie mają najmniejszej potrzeby, żeby chodzić na granicę. Natomiast każdemu, który tu będzie doprowadzony - znajdzie się artykuł. I tak było. <sup>4</sup>rawie każdy, kto tam trafiał, to przypisywano mu z Białoruskiego Kodeksu Karnego artykuł 73, który dotyczy bardzo ciężkiego przestępstwa - zdrady radzieckiej ojczyzny. Do tego przyklepiano jeszcze jakieś inne przestępstwo, które więźniowie nazywali "przystawką". Taka przystawka charakteryzowała przynależność do określonej organizacji bądź grupy, mogła też oznaczać charakter określonego typu działania.

Moim śledczym - po kilku dniach - został Ułanow, starszy



lejtnant o mongolizowanej twarzy, którą była mocno posieczona ospą. Jego sposób zachowania się był czysto azjatycki, trudny do zakwalifikowania.

Śledztwo było bardzo ciężkie. Było to śledztwo brutalne, bo z zastosowanie wyjątkowo okrutnych metod: od wciskania igieł pod paznokcie do ściskania palców w drzwiach oraz strzelania nad głową. Było też mordowanie, pospolite bicie i polewanie wodą. Takimi środkami wymuszania zeznań operowano wobec nas zwłaszcza przez pierwszych kilka dni.

Na początku wrzucono mnie do celi nr 7, w której był już - wymordowany kilkumiesięcznym śledztwem - Józef Małyszko. Pochodził on z Naumowicz. Po pierwszym moim przesłuchaniu, które w zasadzie nie dało żadnych liczących się efektów on właśnie Józef Małyszko - ustawił mnie dość dokładnie - jak mam się zachowywać w przyszłości. Pouczył mnie, co można a co nie można. Inna sprawa, że nasi śledczy nie zwracali na to uwagi. Był to zresztą prawie 1946-ty rok, szły już czasy nieco inne, terror jakby nieco zelżał.

Czasy sądów kapturowych i "trojek" już nieco jakby odeszły. Na tym zyskaliśmy chyba bardzo wiele, przeciągając swój areszt aż do tego czasu. Wiadomo było przecież, że wcześniej czy później aresztowanie nastąpi. Chodziło głównie o to, żeby to jakoś przeciągnąć w czasie. A przy tym trwała w nas ta głupia nadzieja, że ktoś kiedyś nas zapewne wyzwoli, że "zachód" o nas nie zapomni. Jak się miało niedługo okazać - te nadzieje się nie spełniły. Były to oczekiwania nierealne, mżzonki.

Pierwsze wrzucenie do celi - każdy więzień patrzy na okna i kraty jak ptak w klatce. Każdy tu wchodzący obserwuje to pod jednym tylko kątem: czy stąd można wyfrunąć? Następnie jest

pytanie do sublokatora: czy stąd można uciec? Ale w tych warunkach ucieczka była bardzo mało realna. Wprawdzie mój kolega uciekł w 1946-tym roku z kontrwywiadu "Smiersz". Ten mój kolega nazywał się Kazimierz Car i pochodził z miejscowości Indura. Był to mój szkolny kolega, również zastępowy z harcerstwa. Uciekł dość zręcznie. Później - przy innym wątku opowiem, jaki los go spotkał.

Pierwsza jego ucieczka była wręcz widowiskowa: uciekł samolotem z Grodna do Polski. Przekupiony pilot przewiózł go przez granicę i wysadził w ~~granik~~ okolicach Bufałowa. Miał ze sobą przesyłkę od organizacji. Natychmiast potem, jak stanął na ziemi - zakopał ją w lesie. W jednej chwili został otoczony przez sokólskie UB-e. Ujęto go w niecałą godzinę czy dwie po wylądowaniu. Ujęto go w lesie koło Bufałowa. Tortury przeszedł w Sokółce. Męczono go chyba bardziej niż nas w Grodnie.

Następnie przewieziono go do UB-e w Białymstoku. Stąd odesłano go do Grodna. Trafił właśnie do mojej celi. Z tym, że podróż do Grodna nie przebiegała tak prosto. Z UB-e trafił do pogranicznego kontrwywiadu - z którego oczywiście uciekł. Przez dłuższy czas był na wolności. Ale osobą mojego kolegi zajmę się bliżej przy innej okazji.

Małyszko - jak już powiedziałem - wstępnie mnie "ustawił". A zasady były bardzo "oszczędne": jak najmniej mówić, jak najmniej znać. Jeśli będzie bardzo ciężko, gdy będą bardzo bić i nie będzie można milczeć - trzeba obciążać zeznaniami tych, którzy już nie żyją - jeśli już innego wyjścia nie będzie. Ale mówić jak najmniej.

Drugim więźniem - który bardzo dużo mnie nauczył - ~~to~~ był

to był major tajnej komórki czterdziestej dziewiątej armii pancерnej sowieckiej. Twierdził, że jest pół - Polakiem: matka była Polką zaś ojciec Rosjaninem. Matka była Wilnianką. Od niego wiele się nauczyłem.

W czasie działań wojennych - przechodząc przez Poznań - zakochał się w Polce - Poznaniance. Kiedy jego armię przerzucano na Daleki Wschód - trwała jeszcze bowiem wojna z Japonią - zdezerterował w Poznaniu. Po roku został zidentyfikowany w Poznaniu. Był właśnie w drodze do Rosji, kiedy znalazł się właśnie w Grodnie w kontrwywiadzie pogranicznym. Sprawami pogranicznymi oraz z wojskowymi zajmował się właśnie kontrwywiad pograniczny. Nazywał się Eugeniusz Morozow - jeśli dobrze pamiętam.

Kiedy się spotkaliśmy się - powiedział mi, że nie muszę mu niczego mówić, tylko on mi będzie mówił. Właśnie wówczas od niego wiele się nauczyłem. Powiedział mi, jak nam się zachowywać, co można a czego nie. Uważam go za męża opatrnościowego. Jego obecność w znacznej sprawie ukierunkowała moje zachowanie i pokierowała całą sprawą później. Bez tego to kto wie - jak to by było.

Jego rady przysły w ostatniej chyba chwili. Po pierwszych badaniach już rozważałem możliwość "puszczenia farby". Jedyne co mnie przed tym powstrzymywało - to los tych ludzi, którzy nadal jeszcze pozostawali na wolności, tak zwanej wolności. Chodziło o to, żeby nie uczynić im krzywdy.

Morozow był więźniem - jak i ja. Był aresztowany w Poznaniu i był transportowany do swojej jednostki, która wówczas podobno znajdowała się na Dalekim Wschodzie. W Grodnie znalazł się jako w więzieniu przejściowym, etapowym. Chyba nawet nie był tu



przesłuchiwany. I rzeczywiście - po jakimś czasie przyjechano stamtąd po Morozowa. Była to grupa żołnierzy, która przybywała z aktualnego miejsca stacjonowania jednostki.

Przy Morozowie było nam przez te kilka dni trochę lepiej, bo jego traktowano zupełnie inaczej. Żołnierze, a nawet dowódcy zmiany warty mieli świadomość, kim jest więzień. Wiedział o tym nawet naczelnik KPZ /tymczasowego aresztu/. Byliśmy w końcu na obiekcie wojskowym: na terenie koszar i tu jeszcze dodatkowo na terenie wydzielonym wysokim płotem.

On otrzymywał inne wyżywienie, a nawet papierosy, o czym my mogliśmy tylko marzyć. On był dla mnie pierwszą szkołą więzienną. Wprawdzie kilka takich kursów ja już przechodziłem w konspiracji, gdyż stykałem się z byłymi więźniami obozów jeńческих, którzy przechodzili przez różne niemieckie dochodzenia i śledztwa i nam swoje doświadczenia przekazywali. Szczególnie szkolili nas, jak należy się zachować. Od nich dowiedziałem się, że najtrudniej jest powiedzieć pierwsze nie. Bardzo ważne jest pierwsze mocne, zdecydowane zaparcie się, to jest bardzo ważne.

Od Morozowa otrzymałem wiele wskazań praktycznych. On mi powiedział, że z odpowiedzią nie należy się śpieszyć - trzeba najpierw policzyć do dziesięciu. Gdy przed udzieleniem odpowiedzi przesłuchiwany liczy do dziesięciu - mija czas, który wybija z transu i denerwuje prowadzącego dochodzenie. Natomiast przesłuchiwany ma czas na ochłonięcie i w ten sposób ma możliwość uniknięcia nieprzemyślanej odpowiedzi.

Te rady były pomocne w przypadku mojego Ułanowa, który był człowiekiem "płytkim" i szło z nim wojować. Natomiast gdy chodziło o kapitana Romana - ten już "siedział" na swoim krześ-

le. Z nim była sprawa daleko trudniejsza. Ten, gdy nie zdołał zaskoczyć intelektualnie przeciwnika - sięgał po środki siłowe, fizyczne.

Przygotowany przez Morozowa, odbyłem tych kilka przesłuchań. Często dochodziła do tego, że byłem przesłuchiwany kilka razy dziennie / właściwie to przesłuchania odbywały się nocą / i wychodziłem z nich zawsze z plusem dla siebie. Wychodziłem z tego w jakiś sposób cało - chociaż nie cało fizycznie, ale zwycięsko. Mam tu na myśli to, że nie "pękłem".

Po kilku dniach, a może i po tygodniu Morozowa zabrano. Podobno pojechał na Daleki Wschód do jednostki, gdzie miał być skazany jako dezertor. Tam go czekał wyrok - nie trudno odgadnąć - jaki. Morozow doskonale o tym wiedział - że czeka go kara śmierci - wówczas jeszcze orzekana w Związku Radzieckim, bo po jakimś czasie nie orzekano kary śmierci. On przez cały czas liczył na to, że przejeżdżając przez Związek Radziecki, a on wiedział, gdzie jego jednostka się znajduje - gdzieś aż w Mandżurii - otóż liczył, że przejeżdżając w okolicach blisko-wschodnich: Afganistanu czy Chin - będzie robił wszystko, aby zbiec. Nic w tym dziwnego, bo to jest marzeniem każdego więźnia. Wszystko zależało od tego - kto go konwojował, jak konwojował no i oczywiście od jego - więźnia - sprytu. A na to, aby ucieczka się udała, wpływa wiele rzeczy, okoliczności i oczywiście szczęście. Co się dalej stało z Morozowem - trudno mi powiedzieć.

My zaś zostaliśmy w tym samym areszcie śledczym. Widziałem swoich kolegów. Widywałem ich często okropnie pobitych. Miałem sąsiada - Augustyna Marculewicza - żyje do dziś w Szczytnie - który był tak pobity i tak zmartletowany, że koszula z samo-

działowego płótna, którą miał na sobie - była w samych strzępach. Był to człowiek starszy ode mnie o siedem lat, a przy tym fizycznie nie był okazale zbudowany. Przesłuchujący w nim z powodów zupełnie dla nas nie zrozumiałych - upatrzili wodza naszej grupy. A tak naprawdę - Marculewicz wcale nie należał do naszej organizacji.

I ten biedak - uważany za wodza całej naszej organizacji, grupy - tu ich kontrwywiad był w zupełnym błędzie - przyznawał się i chciał się przyznać. A przecież tak nie było, kto inny był naszym przywódcą. Jego nieszczęście polegało na tym, że on nie potrafił się przyznać.

Aby się przyznać - trzeba mieć elementarną przynajmniej wiedzę o sprawie, o której jest mowa. W tym przypadku należało znać strukturę organizacyjną, skład osobowy. On, maltretowany - wskazał na mnie i jeszcze innych - już aresztowanych. Ale nie podał nikogo, kto by chodził na wolności. On wiedział, że my i tak nie wyjdziemy z tej katałazki i stwierdził, że ja należałem do jego grupy. Wymienił też Hołownię i jeszcze kogoś. W każdym razie nie ruszył nikogo, kto mógł by do nas dołączyć tu, za kraty. Ani wówczas, ani teraz ani nigdy nie miałem do niego o to najmniejszych pretensji, bo on był poddany presji fizycznej. Sami prowadzący nasze dochodzenie - śledczy - wiedzieli, że to nie ma nic wspólnego z prawdą, że ona klastruje. Sądzieli, że on jest na tyle chytry, że w ten sposób próbuje wyprowadzić ich w pole. Uważając jego oświadczenia za przejaw jego przebiegłości - bili jeszcze bardziej. Znęcali się nad nim do upadłego.

Drugim takim był Marian Olszewski. Tu trzeba powiedzieć, że cała rodzina Olszewskich była związana z podziemiem. Wszystko,



co się działo w konspiracji - wszystko to miało związek z tą rodziną: przysięgi, bunkry w lesie - bo oni mieszkali na ranczo - przechowywanie broni - wszystko to w jakiś sposób wiązało się z Olszewskimi.

Tak było już za okupacji niemieckiej. Na to wpadli Niemcy i aresztowali ojca. Jeden z chłopców został aresztowany jeszcze w 1939-tym roku przez Sowieców - przez Workutę dostał się do Londynu - oczywiście z armią Gen. Andersa. Tam też pozostał, nie wrócił do Polski. Miał na imię Józef. Był rocznik 1915-ty, raczej już nie żyje.

Aresztowany przez Niemców ojciec zginął w Stutthofie. Po wkroczeniu Sowieców w 1944-tym roku najwyraźniej wywiad ukraczącej armii wiedział o wyjątkowej roli w konspiracji, jaką ta rodzina odgrywała. Kontrwywiad od pierwszych chwil zaczął nachodzić ten dom. Chłopcy - Edward i Marian w tej sytuacji zaczęli się ukrywać. Marian do dziś mieszka w Białymstoku, przy ulicy kard. Stefana Wyszyńskiego 15 m 91.

Ponieważ chłopcy zaczęli się ukrywać, z tego powodu pobito ich matkę. Wiedziano już o śmierci ojca, gdyż Niemcy oficjalnie o tym zawiadomili. Matka była tak skatowana, że w następstwie tego zmarła po kilku dniach. Chłopcy nadal się ukrywali. Zostali jednak aresztowani - mniej więcej w tym samym czasie co i ja.

Po aresztowaniu Rosjanie szczególnie zawzięcie znęcali się nad młodszym - miał wówczas 19 lat - Marianem. /jednak chyba miał lat 18-cie/. W myśl prawa radzieckiego nie był jeszcze pełnoletni, a pełnoletność osiągało się w wieku osiemnastu lat/. Jednak pomimo wyraźnego zakazu znęcania się nad pełnoletnimi - bo wedle prawa radzieckiego "małolaty" miały u nich niecodzienne uprawnienia

Jednakże te uprawnienia dotyczyły małolatów o dokonaniach kryminalnych. Politycznych to raczej nie obowiązywało, przynajmniej w praktyce.

Mariana bito okropnie. Kilkakrotnie widziałem go pobitego wyjątkowo brutalnie, że wnoszono go bez pamięci.

To wcale nie znaczy, że ja nie obrywałem. Byłem również bity, ale to było nieporównywalne z tym, jak traktowano obu braci Olszewskich.

Tak minął jeden tydzień, a następnie drugi. Gdzieś około dziesiątego czerwca do naszej celi wrzucono człowieka zakrwawionego, z zakrzepłą krwią. Był to człowiek, którego znałem od dziecka, ale którego w tym stanie i w tym momencie poznać nie potrafiłem. Wówczas z nami nie było Małyszki, który już został odwieziony do więzienia. Stamtąd trafił do wojennego trybunału. Co się z nim dalej stało - nie wiem. Prawdopodobnie dostał tak jak my - może dziesięć a może więcej lat - oczywiście za przynależność do Armii Krajowej. Nie było też już i Morozowa. W celi zostało nas dwóch: ja i nowoprzywieziony więzień, ten pobity i zakrwawiony.

Mój współlokator miał postrzał w szczękę, w ramię i przedramię. Miał więc trzy rany postrzałowe. Nie miał żadnych opatrunków jedynie na ranach była zakrzepła krew. Twarz miał obrzękniętą. Poprosiłem nadzorującego nas żołnierza, żeby dał mi wody w menażce. Podał mi wodę, którą trochę obmyłem rany i obłupałem zakrzepłą krew. Ranny zaczął wyć, a w nocy umierać. Zacząłem walić w drzwi - tę scenę opisałem w "Sybiraku" nr 3 - zjawiał się żołnierz. Zawołał wkrótce naczelnika zmiany, który zapytał - czego chcę. Gdy powiedziałem, że umiera człowiek - odpowiedział: umrze jeden polski bandyta - jednego będzie mniej.

To powiedziawszy - spokojnie odszedł. Wówczas - zdesperowany - wyrwałem deskę z pryczy i zacząłem nią walić w drzwi. Narobiłem wielkiego rozgardiaszu tym bardziej, że więźniowie w innych celach zaczęli mnie wspomagać.

Ostatecznie wezwali lekarza, którym okazała się kobieta - kapitan wojsk pogranicznych - nie znam jej nazwiska. Przyszła z dwoma sanitariuszami, pokiwała głową na widok pobitego, kazała go ładować na nosze. Naczelnikowi zmiany w areszcie kazała wypisać przepustkę czy jakiś inny dokument - nazwy nie znam - na przewiezienie więźnia do więzienia centralnego do szpitala w Grodnie. I dopiero wówczas, gdy wypisywano ten dokument - posłyszałem nazwisko więźnia - to był Kazimierz Car. Był to mój szkolny kolega, harcerz, ten, który samolotem przeleciał granicę. Ten sam, który z tego aresztu śledczego uciekł, kilka miesięcy przebył na wolności.

W tym czasie nic się od niego nie dowiedziało, nawet go nie poznałem przecież. Zresztą on prawie wcale nie odzyskiwał przytomności. Ja tylko wilgotną szmatką zwilżałem mu usta i ocierałem krew. W więzieniu centralnym, do którego go teraz odwieziono - był szpital, wewnątrzwięzienny. Zbudowany został jeszcze w czasach przedwojennych a może nawet w czasach carskich jeszcze. Chyba nawet istnieje do dziś.

Kiedy Cara odwieziono, zostałem sam. Zaczął się normalny, aresztancki żywot: noc - śledztwo, noc - śledztwo. Ale teraz sprawy już biegły nieco inaczej, bo zostałem już przeszkolony przez swoich więziennych "nauczycieli". Wiedziałem już, jak mam się zachowywać. Trochę pomagał mi i zarazem jakby chronił fakt, że trochę rozklejał się Marculewicz chociaż nie tak, jakbym ja chciał. Muszę przyznać, że takiego strasznego łamania kości nie miałem.



Gdzieś w trzecim tygodniu śledztwa poczułem się już "starym" więźniem, obeznanym. Zauważyłem, że nawet żołnierze konwojujący zmienili do mnie swój stosunek. Podobnie rzecz się miała z dyżurującymi w areszcie śledczym oraz pracownikami nas obsługującymi. Pracownicy obsługujący nas gotowali nam, bowiem nie wszystko robiło wojsko. Zauważyłem, że stosunek personelu był inny ~~wxska~~ wobec tych więźniów, którzy się nie załamywali, nie "rozklejali się". To jednak nie przeszkadzało im posługiwać się ogólnym zwrotem "bandyta".

Tu muszę zaznaczyć, że niejednokrotnie prowadzący mnie na śledztwo sierżant Łaptiew szedł za mną w przepisowej odległości i wcale nieprzepisowo mruczał: nie gawari, niczewo, dierżys i w ten sposób cały czas.

To mnie bardzo zdziwiło tym bardziej, że nie kto inny a ten że sierżant Łaptiew został wcześniej postrzelony przez naszych w czasie starcia w okolicach ~~Spa~~ Sopoćkiń. Z tego powodu uważam go za postać wyjątkową.

Był też tam kucharz, Ukrainiec, nazywał się Sołomacha. Swoją sympatię dla tych, którzy nie załamywali się na śledztwie wyrażał w sposób dla siebie tylko możliwy: dodawał więcej dolewki w tych celach, w których przebywali "twardzi" więźniowie. Gdy mógł, to wpychał zapalonego papierosa /oczywiście - gdy nikt tego nie widział/ albo czasem "zapomniał" zabrać papierosa, którego przez "roztargnienie" gdzieś położył. Często też wrzucał niedopałek do celi. Ja sam nie paliłem od czasów harcerskich, ale inni mieli z tego powodu wielką ulgę, gdy mogli zrobić kilka "dymów".

Mieliśmy też fizyczny kontakt z sąsiednimi celami. Były to dziury przewiercone drutem, które zrobili już nasi poprzednicy

Dziury te wykonano pod pryzcami i kiedy z nich nie korzystano - były starannie zatkanie watką. Kiedy mieliśmy papierosa - zawiązywaliśmy go do szmatki, którą z kolei przymocowywaliśmy do drucika i w taki sposób transportowaliśmy go do celi, w której więźniowie palili.

Do przypalenia papierosów używano się tak zwanych "katusz". Watę zwijało się w ciasny wałek i wałkowało podeszwą buta do czasu, aż wybuchala. Do tego celu najlepsze były buty ze skórzaną podeszwą. Ja właśnie miałem takie buty: niemieckie na skórzanej podeszwie. Na dobrą sprawę od papierosa można było spalić ten cały budynek z tym jednak, że to był budynek murowany. Najwyżej spaliłoby się kilka desek, z których były wykonane prycze.

Po kilku dniach z więzienia wrócił Kazik Car. Wyglądał już znacznie lepiej: był umyty i obandażowany. Teraz go poznałem, podobnie jak i on mnie. Ale mówić nic nie mógł. Przeprowadziła go do naszej celi z sanitariuszami ta sama kapitan - lekarz. Kazała też podawać mu tylko rzadkie posiłki, chodziło tylko o zupę. Zresztą tu innych posiłków nie było. Mnie poleciła, abym czuwał nad tym, aby go nie krzywdzono i karmiono według jej wskazań. Powiedziała, żeby mu drewnianą łyżką bardzo powoli wlewać jedzenie.

Oczywiście nie miałem najmniejszego zamiaru krzywdzić kolegi. Aby móc go karmić chlebem, trzeba było kromkę pokruszyć na drobne kawałki, zamoczyć w zupie i dopiero go bardzo ostrożnie karmić.

Kazik - dzień po dniu nabierał rumieńców, a opuchlizną schodziła z twarzy. Codziennie brano go na opatrunki. Oficerowie śledczy wyraźnie liczyli na to, że od Kazika uzyskają wiele cennych wiadomości.

Jak się miało okazać - nie dowiedzieli się od niego nic. Kazik był ze mną w celi przez kilka miesięcy. Nie był przez ten czas przesłuchiwany, bo bardzo dobrze udawał niemowę. Przez pewien czas nie mógł ani pić ani jeść, ale przez pewien czas symulował.

Po jakimś czasie stwierdzono jednak, że Kazik może mówić. Skończyło się to tym, że Kazik dostał paragraf /artykuł/ jedynie za to, że przekroczył granicę samolotem, za ucieczkę z aresztu śledczego kontrwywiadu "Śmierś" w Grodnie z ulicy Grandzickiej i to było wszystko. Przynależności do organizacji podziemnej Kazikowi nie udowodnili.

Trzeba powiedzieć, że tym razem w stosunku do niego nie stosowano metod szczególnie surowych czy drastycznych. Na mocy tych artykułów Kazik otrzymał karę pięciu lat.

Razem z nim, na jego rozprawie stanął żołnierz, u którego on uciekł z aresztu śledczego, który był odpowiedzialny za niego. Nie mogło też zabraknąć lotnika, który przewiózł Cara samolotem do Polski. Sąd potraktował wszystkich jednakowo: każdy z nich otrzymał karę pięciu lat.

Ta sprawa nabrała dość znacznego rozgłosu w Grodnie. W więzieniu wszyscy o tym słyszeli. Tak więc można powiedzieć, że z tej opresji Kazik wyszedł cało. Tu muszę powiedzieć, że kiedyś w przyszłości jeszcze Kazika spotkałem.

Ja natomiast nadal pozostawałem w więzieniu śledczym. Sprawa się gmatwała, a to dlatego, że moi koronni świadkowie zostali skazani. Jeden otrzymał karę dwudziestu <sup>lat</sup> robót katorżnych, a drugi lat piętnaście. Obu ich wywieziono w głąb Związku Radzieckiego. Podobno wywieziono ich aż na Kołymę. W wyniku tego, że nasza grupa zachowała się dość dzielnie, postanowiono spro-



wadziś świadków. W tych bowiem latach reżim więzienny w Rosji jakby nieco zelżał. A poza tym do naszej sprawy władze śledczo - sądowe podeszły obiektywnie.

Pierwszą rozprawę /termin/ wyznaczono w sierpniu. Na tej rozprawie przed sądem stanęła cała nasza grupa - dwanaście osób. I na tej rozprawie wszyscy - jak jeden mąż - twierdzili, że nie przyznają się do winy i do popełnienia zarzucanych nam czynów.

Prezesem składu sądzącego był Wiktor Gryszyn - kapitan - bo sądził nas naturalnie wojenny trybunał. Dwóch ławników było w stopniu sierżanta. Obaj oczywiście byli z wojsk pogranicznych. Oskarżycielem był pułkownik Rogow - prokurator. Z urzędu dano nam adwokatów. Moim adwokatem była niejaka pani Kuźniecowa, późniejsza sędzina w Grodnie.

Nie było żadnej wstępnej rozmowy z adwokatem. Na naszą całą grupę było trzech adwokatów. Na wstępie zapytano nas czy nie mamy zastrzeżeń do tego, że właśnie ten skład sędziowski będzie nas sądził. Odpowiedzieliśmy, że jesteśmy nie tylko Polakami, ale i obywatelami polskimi i dlatego chcemy, aby nas sądził sąd polski. Zastrzegliśmy się przy tym, że do tego składu jako do ludzi - nie mamy nic. Domagamy się jednak, by sądził nas polski sąd i w Polsce.

Nasz wniosek przyjęto z ironią.

Następnie ja i ci z kolegów, których miała bronić pani Kuźniecowa - a ta pani była już znana w Grodnie ze swojej roli jako obrońca - była to pani o opinii zdecydowanie negatywnej - powiedzieliśmy, że nam adwokat nie jest potrzebny. Zaskoczona pani Kuźniecowa zapytała: dlaczego? Odpowiedziałem, że ja nie czuję się winien zarzucanych mi czynów i z tego powodu uważam, że

radziecka praworządność jest na tyle sprawiedliwa, że natychmiast stwierdzi, że nie ma podstaw skazania mnie. W takim stanie rzeczy nie czuję się winnym i napewno obronię się sam.

Kuźnicowej to było bardzo nie na rękę, bo podobnież już wcześniej bywała u nas w domu - u wszystkich rodzin swoich podopiecznych, zastraszala w domu strasznie, że zasługujemy tylko na powieszenie i rozstrzelanie. W tej sytuacji jeżeli ona wytarguje na dziesięć lat - to będzie wielkie osiągnięcie. Oczywiście za te obietnice pobierała już z góry odpowiedni haracz. Teraz, gdy zrezygnowaliśmy z jej obrony, było jej bardzo niezręcznie, gdyż teraz, wychodząc z sali rozpraw, musiała natknąć się na ulicy na naszych rodziców, którzy tam czekali na finał. Rodziny wiedziały bowiem o dniu rozprawy. W nowopowstałej sytuacji pobrany uprzednio haracz należałoby na dobrą sprawę zwrócić.

Po naszym oświadczeniu - Kuźnicowa chcąc uniknąć krępującego spotkania z naszymi rodzinami, poprosiła sąd, czy może pozostać na sali jako wolny słuchacz. Ja szybko się zorientowałem w sprawie - zresztą człowiek często przyparty do ściany zaskakuje reflekssem - powiedziałem, że wojenny trybunał prowadzi sprawę przy drzwiach zamkniętych. Jeżeli jednak pani chce zostać - proszę bardzo. W tym jednak miejscu proszę również otworzyć drzwi dla naszych rodzin, które chyba też w tej sytuacji będą mogły wejść.

W tej sytuacji sędzia miał tylko jedno wyjście: nakazać pani Kuźnicowej opuszczenie sali. Był to dla niej bardzo ciężki cios.

Cała nasza grupa, a zwłaszcza ci, którzy byli najbardziej maltretowani - ale właściwie wszyscy zajęliśmy stanowisko na

"nie". Oznaczało to, że wszyscy odrzucający przedstawiony nam przez wojenny trybunał akt oskarżenia. Nie przyznajemy się do żadnej winy. Nie przyznajemy się do przynależności do żadnej organizacji o charakterze antyradzieckim. Wszyscy jak jeden tak twierdziliśmy. Bardzo wiele zależy w takich wypadkach od postawy pierwszego oskarżonego. W naszym wypadku był to Edward Olszewski, który w konspiracji był naszym dowódcą, drużyny. Jego przykład to sprawił,

Po wstępnej fazie - odczytaniu aktu oskarżenia i zwróceniu się do nas z pytaniem, czy się przyznajemy do zarzucanych nam czynów - sąd ogłosił przerwę na naradę. Nas, aresztantów, odprowadzono do specjalnych, pojedynczych celek. W takich celkach przebywają więźniowie w czasie przerw w procesie. Budynek wojennego trybunału mieścił się w Grodnie przy ulicy Wróblewskiego.

W czasie przerwy - zupełnie nieoczekiwanie, wywołano mnie. Wywołanego zaprowadzono do gabinetu - chyba sędziowskiego - a może to był gabinet prezesa sądu. Byłem zbity, zgłódzony i przez wiele czasu brakowało mi powietrza. Gdy wszedłem, zobaczyłem całe pomieszczenie w czerwieni, a na ścianach portrety wodzów rewolucji. Za stołem, oczywiście wyścielonym też czerwonym sukniem siedzieli panowie w złotych epoletach ~~na epoletach~~. Był tam i prokurator Rogow i jeden ze śledczych - kapitan Sławnin. Sekretarzowi nakazano opuszczenie pokoju.

Zostałem sam z tymi panami. Z wycieńczenia zawirowało mi w głowie. Przez chwilę myślałem, że upadnę. Nigdy też nie byłem ani w takim przepychu ani tym bardziej w takiej sytuacji. Nagle padło pytanie od sędziego - to bardzo dziwne - że właśnie od sędziego, kapitana Gryszyna: słuchaj - Olizarowicz. Widzę, że



w tej grupie właśnie ty wydajesz się być najmądrzejszy. Za chwilę rozpoczniemy rozprawę. Gdy dojdzie do ciebie - przyznaj się do winy i powiedz, że oni też są winni. Dla ciebie zastosujemy łagodniejszy wymiar kary.

Na te słowa jeszcze bardziej zawirowało mi w głowie. Odpowiedziałem: słuchajcie, obywatele / bo aresztowani nie mieli prawa zwracać się do wolnych ludzi per "towarzyszu" / jeżeli mam winny chodzić na wolności - to wolę siedzieć w więzieniu. Wolę siedzieć w więzieniu niż powiedzieć o kimś nieprawdę. Nie chcę wolności kosztem swoich kolegów. Jak ja bym się czuł? Przecież to nieuczciwe.

- Precz - krzyknął.

Zawołał żołnierza i kazał mnie wyprowadzić. Jesteś takim samym bandytą jak i oni - usłyszałem jeszcze na odchodną I na tym sprawa się skończyła.

Po przerwie rozpoczęła się druga część procesu. Tym razem pytania padały na wrywki. Sędziowie wyraźnie szukali słabszego miejsca. Pytania padały niemal ze wszystkich stron: to od sędziego, to od prokuratora to znowu od adwokatów. Ale każdy z adwokatów, którzy jeszcze zostali na sali - bo poza panią Kuźniecową było ich jeszcze dwóch - zmierzał jednoznacznie do określonego celu: radzę się przyznać, a wówczas będę miał możliwość prosić o łaskawszy wymiar kary. I na tym właściwie polegała obrona.

Mimo tych zabiegów wszyscy chłopcy uparcie stali na "nie". W tej sytuacji sąd - po następnej naradzie - odroczył sprawę w celu uzupełnienia materiałów zebranych w śledztwie /dopełnieniu śledztwo/. To był nasz niewątpliwый sukces. Wprawdzie wiedzieliśmy, że wcześniej czy później zostaniemy osądzeni. Ale

też wiedzieliśmy, że czym bardziej przeciągniemy w czasie - tym lepiej. Po pierwsze w owym czasie kształtowała się sytuacja dla nas bardziej korzystna. Było coraz bardziej w czasie od wojny. W Związku Radzieckim w więzieniach i wszelkich obozach - do których niewątpliwie mieliśmy trafić - następowała powolna poprawa.

Nie opuszczała - naiwna jak teraz przyznaję - nadzieja na Zachód, na to, że coś się stanie, że ktoś nas jeszcze uratuje. Liczyliśmy, że może stanie się jakiś cud.

Cudu wprawdzie nie było, ale wróciliśmy po rozprawie do więzienia. Z więzienia przewieziono nas do więzienia śledczego na ulicę Grandzicką /później Gorkiego/. I zaczęło się tu nowe śledztwo.

Dotychczasowy przebieg naszej sprawy był strasznym afrontem dla śledczych, którzy zajmowali się tą sprawą. Liczyli na jej pomyślny przebieg, a przy tej okazji i na jedną przynajmniej gwiazdkę. A tu z tego nic nie wyszło. W dodatku jeden z naszych chłopaków powiedział podczas rozprawy sądowej, że pod naramiennikami Ułanowa najprawdopodobniej znajduje się sfasztyka niemiecka. Jest tak dlatego, że wszystko to, co robi Ułanow jest niegodne radzieckiego oficera i raczej zbliża go pod tym względem do SS. To oświadczenie sprawiło, że na twarzy był czerwony jak sztandar sowiecki. Bo on był obecny na naszej rozprawie, chociaż jego obecność była zabroniona. Tak samo zresztą wszyscy, którzy prowadzili naszą sprawę i na naszej rozprawie byli.

Ich obecność nie była przypadkowa. To ma bowiem pewien wpływ na więźniów, którzy stojąc przed sądem widzą jednocześnie swego kata. Obecność śledczych utrudnia też odwoływanie złożonych

Żołnierze, którzy obsługiwali nasz areszt na ulicy Grandzickiej przyjęli nas z radością"byliśmy przecież ze sobą już od paru miesięcy. Ponadto oni też chyba niezbyt lubili donosicieli. Myśmy też na różne sposoby, przez najróżniejsze szczeliny czy dziureczki widywaliśmy, czym się oni zajmują po fajrantach, jak piją wódkę.

Nie wykluczaliśmy też, czy do pospolitych więźniarek, kryminalistek - osadzonych na przykład za zwykłe przekroczenie granicy - kto wie - czy do nich nie "uderzali" w romans. Takie sytuacje wyczuwa się przecież, nawet przez drzwi, tego nie da się ukryć.

Nasze śledztwo teraz już samo przez się stało się łagodniejsze, bo my już mieliśmy już za sobą tak zwany okres "rekrucki". Już nie byli nam na tyle groźni jak przedtem czy to Sławin, czy to Ułanow czy nawet Romans.

Zapomniałem dodać, że jeszcze przed pierwszą rozprawą, pewnego razu, po ciężkim śledztwie nocnym - Ułanow wezwał mnie na śledztwo w dzień. Po kilku zwykłych pytaniach kazał żołnierzowi kogoś wprowadzić. I wprowadzono mojego ojca, który przyjechał tu z własnej woli po to, aby podać mi paczkę. A może i był wezwany. Tak więc wprowadzono ojca, dość mocno przestraszonego. Ojciec trzymał jakieś zawiniątko w ręku. Ułanow to chyba zaaranżował.

Tego dnia i minionej nocy sam Ułanow był szczególnie mściwy. Był pijany i w czasie badań nocnych strasznie rzucał się, groził i krzyczał, że pomści śmierć swojego kolegi, który podobno w ostatnich dniach zginął gdzieś na pograniczu. W nocy nic tym nie wskórał, bo gdy wyczułem, że jest nietrzeźwy, wyrwałem się mu z rąk, wybiegłem na korytarz i natychmiast



upadłem. Nauczył mnie tego Morozow, który uprzedzał, że gdy będę uciekał czy nawet w takich sytuacjach stał - to i tak mogą zastrzelić. Tak więc kiedy wybiegłem na korytarz i upadłem, natychmiast otoczyli mnie żołnierze, którzy wcześniej stali na korytarzu. Kiedy wypadłem, zacząłem wrzeszczeć, że chcę prokuratora. Robiłem spore wrażenie, bo byłem mocno zakrwawiony.

Przy każdym większym urzędzie śledczym urzędował przedstwicielel urzędu prokuratorskiego. Po chwili rzeczywiście przybiegł młody prokurator, młody wojskowy oficer. Zapytał mnie, o co chodzi i natychmiast kazał mi wejść do sali, to znaczy do gabinetu przesłuchań, w którym urzędował Ułanow. Ułanow pienieł się, usiłował mnie wcześniej wciągnąć do środka za nogi. Ja jednak zaparłem się i nie dałem się. Wówczas to chyba prokurator sam posłyszał awanturę na korytarzu i przybiegł. Wprawdzie tam awantury były codziennie, ale tym razem rzeczywiście był.

Powiedziałem prokuratorowi, że Ułanow jest piąany i że w takiej sytuacji ja nic nie powiem i absolutnie nie podpiszę żadnego protokołu. On jest pijany i grozi mi śmiercią. Prokurator kazał odprowadzić do celi.

Po tym, nocnym zajściu, przygotował mi właśnie spotkanie z ojcem, w następny dzień. To było straszniejsze i należało do tak zwanych ciosów "poniżej pasa". Wówczas, kiedy zobaczyłem ojca - to gdyby to chodziło tylko o mnie, o mnie samego a nie o innych ludzi, to pewnie "rozkleiłbym się". Pewnie gdyby nie świadomość współodpowiedzialności za innych, którym nie mogłem zaszkodzić - mówiłbym. Ale organizacja nie jest osobą indywidualną. Z tym łączyło się dużo ludzi, i to wielu

nadal przebywało na wolności. Mimo, że siatka sowieckich wywiadowców była szczelna, to jednak wpadła tylko część naszej organizacji.

Postawił mojego ojca w taki sposób, że nie mogłem go widzieć i powiedział:

- Tadeusz, twój ojciec pisze tu do nas podanie, że ty nie jesteś niczemu winien. W celu udowodnienia tego zbiera nawet podpisy. Teraz powiedz, przy ojcu, że jesteś winien, że jesteś wrogiem radzieckiej ojczyzny, że jesteś wrogiem radzieckiego narodu, że terroryzowałeś naszych agentów, naszych współpracowników /tajnych współpracowników, zwanych "sek - sot", co znaczy sekretnych sotrudników/, powiedz to ojcu. Powiedz, bo twój ojciec nadal uważa, że ty jesteś niewinien.

Już sam fakt, że mojego ojca zobaczyłem w tym miejscu był dla mnie dużym uderzeniem. Uderzenie było tak niespodziewane i tak silne, że do dziś nie bardzo wyobrażam sobie, jaki miałem wówczas wyraz twarzy.

Zerwałem się i podbiegłem do wchodzącego ojca i ucałowałem jego spracowaną rękę i zawołałem:

- Wybacz ojcze, ja nic nikomu nie jestem winien. Nikogo nie zabiłem ani też nikogo nie okradłem, ani też nikogo nie zgwałciłem.

Ułanow zerwał się, podbiegł, wziął mnie delikatnie za ramię i posadził mnie na zydlu. Ojca również posadzono na innym taborecie, ale tak, żebyśmy nie mogli wzajemnie się obserwować. Natomiast Ułanow mógł nas widzieć obu. Z jego skośnych oczu wyraźnie emanowało zadowolenie. Triumfował, bo zadał cios poniżej pasa.

- No, psu bracie - pomyślałem - odgryzłeś się i to srodze za wczorajszą porażkę.

Tu już nie było żartów. Stanałem prawie w obliczu szubiennicy. Inna sprawa, że dla dobra ojca gotów byłem na nią pójść.

Ojciec również był bardzo wstrząśnięty. Spojrzał na mnie a ja spuściłem oczy tak, jakbym to ja był temu wszystkiemu winien, że on tu jest. A tak naprawdę, to rzeczywiście z mojej przyczyny.

- Tadeusz - rzekł Ułanow - twój ojciec może i jest rzeczywiście uczciwym człowiekiem. Na skutek utraty marnotrawnego syna widzisz, jak cierpi. Pisze tu do nas podania z poręczeniami za twoją uczciwość. Powiedz jemu, w mojej obecności, że jesteś zdrajcą radzieckiej ojczyzny, że z bronią w ręku walczyłeś z sowiecką władzą terroryzując ludzi naszej sprawie oddanych. Powiedz uczciwie - ponaglał.

Chyba przyznałbym się do wszystkiego, co mi zarzucano, gdyby to tylko o mnie chodziło. Lecz za tym byli ludzie: w celach, na wolności; i tu i tam - w Polsce.

- O nie, nie mogę - pomyślałem i zwróciłem się do ojca:

- Ojczy, żadnych starań o moje zwolnienie proszę nie czynić. To nie ma sensu, bo stąd się nie wychodzi. Natomiast gdy chodzi o moje winy - jeszcze raz oświadczam, że nie zrobiłem nic takiego, za co by można mnie nazwać zdrajcą mojej ojczyzny. Proszę ciebie ojczy - pozdrów mamę, Tereskę, Jadzię, Wandę i Romka. Powiedz im, że bardzo za nimi tęsknię. Do żadnej winy się nie poczuwam.

Na samą myśl o mamie, rodzeństwie, dziewczynie, o której bez przerwy myślałem - tylko wstydziłem się przed ojcem i przy nim nie wypadało o niej wspominać - zatkało coś w gardle i dalej nie mogłem przemówić ani słowa. Ojciec wyraźnie



był wstrząśnięty naszą wspólną tragedią.

W tym momencie byłem tak zdesperowany, że mogłem rzucić się na Ułanowa i stoczyć z nim nierówny pojedynek, który dla mnie byłby na pewno ostatni i mieć spokój na zawsze.

- Polskim bandytą jesteś - krzyknął Ułanow - nawet ojca rodzzonego ci nie żal. W twoich oczach widzę całą nienawiść do Związku Radzieckiego. Zaciętość twoja nie ma granic. Ale to nic - jeszcze zmądrzejesz. Weź tę paczkę, którą ci ojciec przyniósł - zakończył dobrotliwym tonem.

Następnie wziął pakunek z rąk ojca, rozpakował go na swoim biurku, szczegółowo sprawdził każdy sucharek. Sprawdził też każdy szew w bieliźnie, sprawdził też każdy guziczek i wreszcie rzekł:

- bierz. Nie myśl, że my czekaśi jesteśmy zupełnie bez serc.

wziąłem torbę i ucałowałem niczym rękę rodzonej mamy, która na pewno tę paczuszkę przygotowywała.

- Jeszcze raz dziękuję ci ojcze - rzekłem.

- Koniec widzenia, odprowadzić - rozkazał Ułanow wchodzącemu żołnierzowi.

Ojciec pozostał w gabinecie. Jeszcze raz dopadłem ręki ojca całując ją, przytuiliłem do ust. Ten widok podrażnił lub może wzruszył Ułanowa.

- Dość tego, wyprowadzaj - wrzasnął.

Jeszcze jedno tęskne spojrzenie posłałem ojcu już z drzwi wyjściowych gabinetu.

Ta gra, urządzona przez Ułanowa rozbroiła mnie zupełnie. Mnie, zahartowanego w latach wojny, w podziemiu, w obozie pracy niemieckiego okupanta, odesłał do celi zupełnie załamane-go

Qułem się daleko gorzej, niż poprzednio, gdy Ułanow urządził ze mną fizyczne "figle". Od tego czasu zaczęły tłuc mi się po głowie groźne myśli: czy aby na pewno wypuszczą ojca? A może go turzymają? Przecież to u nich zwykła praktyka. To był cios, który zwałił mnie z nóg psychicznie, bo nie dawał spokoju.

Po powrocie do celi padłem na pryczę. Po chwili zapukał do mnie przez ścianę z sąsiedniej celi mój kolega - Antek Żeleźniak. Od niego usłyszałem coś, co potwierdzało niestety moje najgorsze przewidywania:

- Tadziu - rzekł Antoś - słuchaj uważnie. Powiem ci bardzo smutną nowinę.

Zadrżałem na całym ciele, domyślając się, o co chodzi. Jednak pilnie słuchałem dalej. Tylko mocniej niż zwykle przycisnąłem ucho do dziury w ścianie pod pryczą.

- Słuchaj - mówił dalej Antoś - nie chcę cię martwić. Przed chwilą widziałem przez szczelinę w drzwiach, jak na korytarz przyprowadzono twojego ojca. Widziałem, jak zrobili mu rewizję i wpuścili do celi nr jeden. Jest to pierwsza cela od strony dyżurki.

Zaniemówiłem. Jemu ktoś przerwał rozmowę. Wiedziałem, że mój ojciec jest razem ze mną. A pobyt kogoś w tym miejscu w ojca wieku oznaczało wszystko, co najgorsze. Oznaczało koniec wszystkiego.

Stałem się bardzo nerwowy. Rzucąłem się, chodziłem po celi, waliłem pięścią w pryczę i miotałem się jak zwierzę zamknięte do klatki. Za chwilę znowu modliłem się żarliwie już nie o siebie lecz o los ojca.

Zdruzgotany duchowo w pewnej chwili chciałem prosić o

widzenie się ze śledczym i przyznać się do wszystkiego, czego tylko zażąda. Hamowała mnie jednak myśl - jak to zrobić, aby nie zaszkodzić innym.

Tej nocy nie zasnąłem ani na chwilę. Z paczki nie ruszyłem niczego. Przez szczelinę mocno naciśniętych drzwi do celi numer sześć przekazałem sucharki i coś tam jeszcze siedzącym w tej celi oraz siedzącym w moim przedpokoju dzieciakom z Sosnowca. O nich zamierzam napisać później w swoich wspomnieniach.

Wczesnym rankiem, kiedy wyganiano nas do ubikacji, widziałem przez otwarte do dyżurki drzwi, że na stole leżało zawiniątko. Poznałem, że to była chusteczka do nosa mojego ojca. W chusteczce znajdowały się, zawinięte, jego rzeczy osobiste. Nie miałem wątpliwości, że mój ojciec był i nadal przebywa w tych apartamentach. Tej nocy i tego ranka kielich goryczy wypilem do dna.

Wyobrażałem sobie, co się musiało dziać w domu, kiedy ojciec nie wrócił ze spotkania, z tej przeklętej instytucji.

Po apelu porannym, w umowny sposób, Antoś wezwał mnie znów do naszego, tajnego telefonu:

- Tadek, chyba wszystko będzie dobrze. Przez całą noc dyżurowaliśmy przy szczelinie. Dopiero po apelu naczelnik aresztu wyprowadził twojego ojca. Ojciec twój miał w ręku zawiniątko z rzeczami osobistymi. Poszedł z naczelnikiem na wartownię. Po chwili usłyszeliśmy skrzypnięcie bramki i tyle. Pocziesz się. Chyba "stary" poszedł do domu.

- dziękuję ci Tosiu, aby to tylko okazało się prawdą - powiedziałem.

Wtedy natychmiast upadłem na kolana i zacząłem dziękować Matce



Najświętszej, Opiekunce więźniów - za ocalenie ojca. Na moje szczęście więcej mojego ojca w tych "apartamentach" nie widziałem.

- Ø niedoczekanie twoje, ty podły Azjato. Byłem bliski załamania, bo zadałeś cios poniżej pasa. Twój błąd polega na tym, że nie poszedłeś za ciosem. To twój błąd - myślałem nie bez mściwej satysfakcji. I tym razem też przegrałeś, znowu przegrałeś.

Bo gdyby tej nocy wezwał mnie na ponowne przesłuchanie, kto wie, jak dalej potoczyłaby się sprawa. Wprawdzie wygrałem i to starcie, ale strasznie wielkim kosztem. Tego dnia i tej nocy nie zapomnę nigdy.

Te moje rozmyślania przerwał brzęk sztaby i charakterystyczny zgrzyt kluczy. Przez celę nr sześć, przez którą chodziło się do mojej siódemki wniesiono i dość ostrożnie ułożono na pryczy - jak zwykle rannego - Kazika Cara. Od momentu, kiedy w mojej celi pojawił się ranny, a byłem już całkowicie pewien, że jest to mój kolega, że jest Polakiem przeklełem, że moje cierpienia nie sięgają nawet do stóp przeżyć setek tysięcy ludzi, którzy padli ofiarą tej okrutnej wojny. Są ~~one~~ one ofiarami tego ciemnego systemu politycznego. Powinienem chylić czoła przed tymi, którzy w mroźny, lutowy poranek zostali wyrwani z rodzinnych gniazd i wywiezieni na pewną zagładę w Kazachstańskie stepy, tajgi, kopalnie lub inne wielkie budowy rosyjskiego komunizmu.

Tym razem wielokrotnie waliłem do drzwi, aby żołnierze raczyli wezwać dyżurnego lekarza. Bezowocnie. Za każdym razem otrzymywałem odpowiedź:

- Niech zdechnie. Jednego polskiego bandyty będzie mniej. Dopiero po porannym apelu dwaj sanitariusze z noszami zjawi  
li

się, aby przenieść rannego na opatrunek. Po drodze - ile tylko wlaźło - kpili z nieszczęsnika.

Minęło już kilka tygodni w tym "kiciu". W celi nr siedem byłem uważany za najstarszego jej lokatora. Ile było zmian i ile twarzy przeszło w tym czasie? Bardzo poszerzyłem swoją wiedzę o sposobie zachowania się w czasie przesłuchań. Nauczyłem się wiele na temat traktowania przesłuchującego tyrana oraz stosunków ze współlokatorami. Prowadziłem bilans szans na przyszłość. A co mnie jeszcze czekało? to tylko Bóg raczy wiedzieć.

W drugim etapie śledztwa Ułanow wyraźnie postawił na psychiczne załamanie więźnia. Mniej zaś stosował środki przymusu fizycznego. Poza tym przypadkiem z ojcem znosiłem to lżej niż bicie i inne środki przymusu. Teraz rzadziej wzywał mnie na przesłuchania. Same przesłuchania były lżejsze. Natomiast on sam więcej działał w terenie, zbierając informacje na mój temat. Zbierał też świadków, których również werbował tak spośród wolnych jak i z grona więźniów. Szukał punktu zaczepienia.

Pewnego razu wrzucił do mnie do celi jakiegoś pana, który przedstawił się jako pan Grabowski. Nazywałem go vel Grabowski. Pan Grabowski był niewysokim, krępy męczyzną, miał nawet nieostrzyżone włosy. A było wiadomo ponad wszelką wątpliwość, że coś takiego w sowieckim areszcie nie zdarzało się. I to już było wystarczająco podejrzane i łatwo było domyśleć się, jaką to rolę ten pan odgrywa.

Już na samym początku przedstawił się, że jest "akowcem" z Wilna. Akurat szedł w stronę Polski i w czasie tej podróży został ujęty. Robił z siebie wielkiego bohatera.

Ale ja już nie byłem nowicjuszem. Byłem po przeszkoleniu Morozowa i wiedziałem o takich "sztuczkiach". Już mnie uprzedzono, że tacy będą i że trzeba być wobec nich bardzo ostrożnym. Nie zdradzałem się wcale. Kiedy milczałem i nic odejmnie nie można było wycisnąć, Grabowski zaczął mnie wymiewać: co z ciebie za więzień, co z ciebie za polityk, co z ciebie za akowiec, skoro ty nawet nie wiesz, do jakiej grupy należałeś. Co ty robiłeś? Jakie odznaczenia miałeś? Jakie funkcje pełniłeś.

Znosiłem to cierpliwie na tyle, że nie dałem się sprowokować. Na obiad podano nam jak zwykle "lurę". Podano nam ją w menażkach, które myśmy w swoim żargonie nazywali "ruski kociołek". Jednakże mnie podano zupę w innej menażce, a Grabowskiego w innej. Teraz już nie mogłem mieć najmniejszych wątpliwości.

Aby sprowokować go do draki, chwyciłem jego kociołek. On ujął kociołek z drugiej strony. Nie miałem wątpliwości, że w jego kociołku potrawa była inna. Ja, niewiele myśląc, chwyciłem za menażkę i nałożyłem mu ją na głowę wraz z gorącą zupą. Wrzątek poleciał mu po szyji. On oczywiście zaczął bić w drzwi i głośno wrzeszczeć. Przybiegł żołnierz z pytaniem, co się stało. Grabowski podniesionym głosem powiedział, że ja go oparzyłem. Wówczas żołnierz zabrał Grabowskiego z celi. Grabowski tak się śpieszył, że w celi zostawił swoją kurtkę. Była to nawet dość niezła kurtka na kożuchu. Najprawdopodobnie należała wcześniej do jakiegoś nieszczęśnika. Ta właśnie kurtka przez dość długi czas służyła mi za posłanie na nagiej pryczy.

Grabowski więcej już nie pokazał się w mojej celi.



Natomiast Ułanow nadal nie próżnował. Tym razem znalazł niejakiego Mosiejczyka, mieszkańca miejscowości Bohatery Leśne na południowym skraju puszczy Augustowskiej, przy szosie Grodno - Augustów. Mosiejczyk podobno wcześniej siedział w tym areszcie i najprawdopodobniej został zwerbowany. Widać było, że on tak tańczy, jak oni mu grają. Mosiejczyk przyglądał się mi, oglądał, mierzył. Kazał wstawać, usiąść, oglądał mnie raz na wprost, to znowu z profilu. Wreszcie powiedział, że on mnie zna bardzo dobrze, gdyż ze swoją grupą byłem w jego domu, że domagałem się tego czy owego, że go nawet maltretowałem, i tak dalej.

Tak naprawdę przejeżdżałem kilkakrotnie przez tę miejscowość. Nigdy jednak nie byłem ani u Mosiejczyka ani u nikogo innego.

Zapytałem go o datę, kiedy to ja rzekomo u niego byłem. Podał jakąś datę, której w tej chwili nie pamiętam. W każdym razie tak się układało, że śledczy na ten dzień <sup>już</sup> i wielokrotnie kilka innych zarzutów mi postawił. Na tej podstawie wysmiałem go najzwyczajniej w świecie. Może nie tyle wysmiałem, ile postawiłem mu kilka kłopotliwych pytań: jak to jest możliwe, przecież nie jestem osobą, która jednocześnie może być w dwóch różnych miejscach. Wcześniej spotkałem się bowiem z zarzutem, że w tym dniu byłem w miejscowości "X". Dziś znowu słyszę, że w tym samym dniu byłem w miejscowości "Y". Na tej podstawie świadek "upadł". Taki świadek okazał się zdecydowanie niewiarygodny.

Innym świadkiem i to bardzo poważnym, bo ten świadek miał już chyba trochę racji - ale był na tyle uczciwy, bo myśmy się z nim widzieli, ale to była noc, widzieliśmy się w bardzo

przykrew sytuacji: jeden z nas mógł nie żyć - ale zostaliśmy żywi obaj - to był niejaki Onoszko. Było o nim wiadomo, że jest agentem NKWD. Był agentem prawie jawnym, posiadał broń i mieszkał niedaleko Odelska, w miejscowości Trochimy. Był wprawdzie agentem, ale uczciwie podchodził do sprawy i nie mógł mnie poznać głównie dlatego, że to była noc. Było wówczas bardzo ciemno. I chociaż byliśmy blisko siebie, nie można było mnie poznać. Ja na pewno nie poznałbym go, gdyby go spotkał w innych okolicznościach.

Było też wielu innych, na pewno też tajnych agentów, którzy się do mnie przymierzali, patrzyli, sprawdzali, ale jakoś nie znajdowali wystarczających powiązań, które by łączyły sprawę w całość.

I tym razem Ułanow też przegrał.

Wzywano bardzo wielu sąsiadów. Wśród nich byli Białorusini i to nawet tacy, którzy przed wojną należeli do Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. Oni później stawali się urzędnikami różnego kalibru. W każdym bądź razie nie mogę przeciw nim powiedzieć nic złego. Zachowywali się jak ludzie: rozmawiali ze mną, a nawet współczuli mi w gabinecie śledczym.

Konfrontacje z nimi kończyły się przeważnie niczym. Sprawa nie posuwała się naprzód.

Był też przypadek dość ciekawy. Ułanow, chodząc od domu do domu w okolicznych miejscowościach, przedstawił siostrze Marculewicza - jak się później dowiedziałem - tego Marculewicza, który siedział razem ze mną i był bardzo torturowany i pod wpływem tortur przyznał się do niepopelnionych czynów. Ułanow jako świadka pozyskał właśnie jego siostrę, osobę

chromą, chodzącą ożkulach. Zdołał wmówić jej, że to przeze mnie jej brat siedzi. Ona, mieszkając w pobliżu najpewniej coś wiedziała, widziała czy nawet przeczuwała o mojej działalności konspiracyjnej. Takie sprawy wśród okolicznych ludzi są nie do ukrycia. Był to przecież czas okupacji. A już z całą pewnością wiedziała, że nie jestem przyjacielem ani nawet sympatykiem tej władzy.

Pewnego razu - a było to pod wieczór - sierżant Łaptiew ten, który wcześniej był postrzelony przez naszych - wezwał mnie na przesłuchanie. Kiedy mnie prowadził do gabinetu śledczego i siedł za mną w przepisowej odległości, niespodziewanie odezwał się do mnie:

- słuszaj, Tadeusz. Etoto sukinsyn kosogłazy /chodziło o Ułanowa, który miał skośne oczy/, kakuju to sumaszedszuju prywiok. Budiet tiebia na oczne stawki stawit./przyprowa-  
dził jakąś głupią i będzie ciebie konfrontował/.

Zastanawiałem się, o jaką to nienormalną chodzi. Nie mogłem nikogo takiego sobie przypomnieć. Ale - pomyślałem - ktoś na mnie czeka. Myślałem jednak, kto to może być, bo w naszej miejscowości osób nienormalnych nie było. Nie przypominałem sobie nikogo takiego z pobliskich miejscowości. Aż to mnie zaciekawiło.

Wszedłem do gabinetu jak zwykle. Zaczęło się spisywanie danych do protokołu: gdzie i kiedy się urodziłem, dane dotyczące rodziny i tak dalej. Wreszcie kilka pytań, czy przyznaję się do zarzucanych mi czynów. Jeszcze kilka pytań i nagle Ułanow powiedział:

- No, tym razem to ja ciebie rozłożę.

Nacisnął przycisk. Wszedł żołnierz, a następnie do gabinetu



zaczęła wsuwać się kobieta o kulach. Była to oczywiście siostra Marculewicza, tego samego, który razem ze mną tu był. Na imię miała Bronisława. Była ode mnie sporo starsza, może o dziesięć lat. Kiedy weszła do gabinetu i zobaczyła, że siedzę na zydlu naprzeciw śledczego - rzuciła swoje kule, upadła na podłogę i trzymany w ręku tobołek zaczęła rozwiązywać mówiąc zdesperowana do mnie:

- Chłopcze, ty jesteś taki blady, ty taki obrzęknięty, ty jesteś taki siny, pobity widać - i nadal rozwiązując tobołek - ty zapewne jesteś głodny. Dam ci cośkolwiek do zjedzenia. Następnie z tobołka zaczęła wydobywać produkty spożywcze: chleb, serek, coś tam jeszcze:

- Masz chłopcze, jedz. Ty naprawdę jesteś głodny. Ty widziałeś mojego brata Augusta. Powiedz, jak on żyje. I w tym momencie zaczęła histerycznie płakać.

Wówczas zwróciłem się bezpośrednio do śledczego Ułanowa:

- Kogo ty prywiół? Kto to jest? Przecież ta kobieta jest sumaszedsza. Już nie macie nikogo na świadków i posługujecie się ludźmi chorymi.

Śledczy strasznie się zdenerwował. Krzyknął na żołnierza:

- wyprowadzić ją.

A następnie zaatakował mnie:

- Ty bandyto, ty psychicznie zabijasz świadków. Na sam twój widok ludzie padają na podłogę.

Wrzeszczał nadal to, co mu przyszło do głowy. Aż pienik si ze złości.

Mnie to było na rękę. Zresztą mnie prawie natychmiast wyprowadzono. Zatrzymano mnie przez chwilę na korytarzu bo czekano jeszcze na polecenie. Wreszcie rozprowadzający wszedł

do gabinetu i zapytał, co ma robić ze mną. Otrzymał wyraźne polecenie, aby mnie odprowadzić do celi.

Sprawa była tym ciekawsza, że tak samo jak z moim ojcem, po chwili dał się słyszeć w mojej celi doniosły krzyk, dochodzący z podwórka. Wrzask niósł się dookoła przez cały czas, nim żołnierz stojący przy bramce aresztu otworzył ją. Głos ten natychmiast poznałem.

Wrzeszczała wyzywając ich od różnych. Ci, którzy siedzieli w bliższych celach lub mogli coś zobaczyć przez szpary widzieli, że ona nie szła. Dwaj żołnierze ją nieśli. Trzeci postępował za nimi niosąc jej kule i tobolek.

Później powstało zamieszanie i krzyki na korytarzu. Bronisława podzieliła los mojego ojca. Ją również zatrzymano w celi nr jeden. Prawdopodobnie ta cela nr jeden była nieco lepszym apartamentem od naszych. Osadzano tam takich, których musieli traktować nieco inaczej. Byli to bowiem ludzie na których oficerowie śledczy nie mieli prokuratorskiego nakazu zatrzymania. Zamykano tam dla psychicznego oddziaływania, dla zastraszenia. Prawdopodobnie tam zamykano też i tych, których później próbowano zwerbować na swoich agentów. Mówiło się między nami, że jest to cela dla lepszych gości.

Kiedy ją tam zatrzymano, słyszeliśmy przez cały czas jej głos. Słyszałem, gdy byłem prowadzony na nocne śledztwo. Cała noc wypełniona była jej histerycznym płaczem. Wołała brata po imieniu.

Rano, przeważnie po apelu, kiedy załatwiano sprawy organizacyjne, zabrano Bronisławę. Ale już teraz Bronisława już nie kazala się nieść i poszła o kulach, ale dość szybko w stronę

bramy i dalej. Nawet żołnierze dyżurujący na korytarzu śmie-  
li się z tego.

Ułanow stosował też i inne chwytły. <sup>N</sup>iejednokrotnie wzy-  
wał w piękną, jesienną noc i zaczynał rozważać, jak to moja  
dziewczyna gdzieś na mnie czeka. Być może właśnie teraz do  
niej przychodzą na nandki sowieccy żołnierze. A ja tu sie-  
dę. A siedzę tylko dlatego, że jestem głupi, nie przyznaję  
się do winy, nie ~~więk~~ wydaję innych. Ale to już tak mocno  
na mnie nie oddziaływało. Zresztą byłem na to przygotowany  
i jakoś to znosiłem. Takie śledztwo można by jeszcze zno-  
sić. Była to bowiem bardziej walka mózgów, a nie zmagania fi-  
zyczne.

W ogóle cała nasza grupa w drugim etapie śledztwa trzy-  
mała się bardzo dzielnie. Pozbieraliśmy się po pierwszym u-  
derzeniu. Już teraz utrzymywaliśmy ze sobą łączność. W każ-  
dym bowiem więzieniu, choćby najbardziej surowym są możli-  
wości kontaktowania się: poczynając od alfabetu Morse'a aż  
do alfabetu układanego na palcach. Tym ostatnim alfabetem  
można porozumiewać się wówczas, gdy bloki więzienne stoją  
na przeciw siebie. Kontakt alfabetem pokazywanym na palcach  
można porozumiewać się nawet w obecności śledczego, konwo-  
jenta. W tym wypadku trzeba jednak stać tak, żeby konwojują-  
cy nie widział nadającego. Oczywiście musi być spełniony in-  
ny warunek: obaj muszą znać alfabet.

W drugim etapie śledztwa po uprzednim porozumieniu się  
nie podpisywaliśmy żadnych ~~np~~ protokółów. Dosłownie żadnych  
protokółów. To doprowadzało Ułanowa do "białej gorączki". A  
my spokojnie odmawialiśmy podpisu i na tym koniec.

Tu jeszcze wrócę do tego momentu /Pierwsza, druga noc/,



kiedy zostałem aresztowany.

Pierwsze śledztwo odbywałem u kapitana Romana, który sprawował nadzór nad naszą całą grupą. Pierwszy spór z nim dotyczył obywatelstwa. Otóż twierdziłem, że jestem Polakiem i obywatelem polskim. Utrzymywałem, że nigdy nie przyjmowałem obywatelstwa sowieckiego i jeśli już mam odpowiadać, to tylko przed polskim sądem.

„W czasie naszych rozmów - pomimo, że znałem język rosyjski - udawałem, że tego języka nie znam.” W dodatku kapitan Roman miał kłopoty z językiem polskim. W czasie przesłuchań często udawałem, że nie rozumiem stawianych mi pytań. On natomiast chwilami nie rozumiał mnie. I tak ta pierwsza, najstraszniejsza noc / bo pierwsza / minęła dość znośnie, bo pomogła bariera językowa.

Kiedy się rozstawaliśmy, on powiedział:

- to nic. Następnym razem będę miał tłumacza /pierewodczyka./.

I rzeczywiście. Już niedługo, bo po kilku godzinach zostałem wezwany ponownie na przesłuchanie, w którym uczestniczył tłumacz. Był nim potężnie zbudowany mężczyzna, bardziej niż kapitan Roman, który też był pokaźnej postury. Był w stopniu chorążego / w rosyjskim "starszyna"/. Mówił dość dobrze po polsku. No i się zaczęło.

Dotychczas miałem doczynienia z jednym Romansem i było znośnie. A teraz, kiedy ich było dwóch, każdy z nich wobec drugiego starał się być lepszy. Jeden mnie trzymał, a drugi dokładał i odwrotnie.

W tej sytuacji zrezygnowałem z przybranej taktyki i w pewnym momencie stwierdziłem, że "nie płocho gawariu pa ruski", że już rozumiem.

✓ No widzisz, kakije my charoszyje ucziela. W przeciagu jednej nocy nauczyliśmy ciebie po rosyjsku.

Od tego czasu wielkrotnie, gdy widywałem Romana, na przykład podczas inspekcji śledztwa - zawsze kpił ze mnie i cieszył się z tego, że jest bardzo dobrym nauczycielem języka rosyjskiego.

Już nie chciałem mu mówić, że mógłby równie skutecznie nauczyć i języka żydowskiego. Ale nie warto było go drażnić, bo byłem w jego szponach.

W początkach listopada w celach było bardzo chłodno. Na ścianach była widoczna stęchlizna i czuć było stęchliznę. Jak zwykle Tosiek Hołownia z sąsiedniej celi zapukał odpowiednim sposobem. Wszedłem pod pryczę i przysunąłem się do dziurki, którą nazywaliśmy naszym "tajnym telefonem".

- Co słychać, Tosiu?

- Żle.

- Co się stało?

- Wiesz - odpowiedział - przywieźli z Polski Kazika Kulisiewicza.

Kazik Kulisiewicz ze wsi Plebanowce, kapral Armii Krajowej, celowniczy karabinu maszynowego, miał pseudonim "Zygmunt". Znałem go od dawna. Z zawodu był krawcem. Tej jesieni, kiedy myśmy już siedzieli - wówczas daty nie znałem, ale dziś wiem - było to dwudziestego piątego października - przeszli grupowo granicę do Polski. Przechodząca grupa liczyła około trzydziestu uzbrojonych ludzi. Przechodzili - od strony sowieckiej - obok wsi Podlipki, przy samej strażnicy.

Kiedy weszli do Polski, zdołali nawiązać kontakt z podziemiem, które zainteresowało się nimi. Złożyli broń, otrzymywali

fałszywe dokumenty i byli rozsyłani w Polskę.

W tej grupie był i Kazik. Następnego dnia on i ktoś jeszcze / czy nie Szumiel / miał otrzymać stosowne dokumenty z WKU w Sokółce i również - jak inni - odjechać w Polskę. Dom, w który przebywał, został w nocy okrążony przez polski WOP. W obławie brali też udział oficerowie sowieccy oraz funkcjonariusze UB-e z Sokółki.

Wzięto ich obu. Było to na kolonii w miejscowości Zaścianki u państwa Puzków. Tę miejscowość i tych państwa znałem dobrze jeszcze z czasów okupacji niemieckiej.

Już na miejscu przeprowadzono krótkie przesłuchanie. Znalezionymi u chłopca postronkami skrępowano ich.

Kiedy ich wyprowadzano, na podwórku stał związany Józef Dziergawko, który przed rokiem z grupą porucznika "Sokoła" również późną jesienią przeszli granicę. Przekraczali ją na południe od miejscowości Odelsk, w pobliżu wsi Mińkowce. Podczas tej operacji stoczyli pojedynek ogniowy z milicją w Szudziałowie, ale zdołali uniknąć starcia z UB-e.

Całą tę grupę udało się przedostać na tereny w głębi Polski.

W tym przedsięwzięciu pomagał im przedwojenny wójt naszej gminy w Indurze. Nazywał się Stanisław Petelczyc. W tym czasie też był wójtem, ale w gminie Babiki, ale już po stronie polskiej. Pan Petelczyc bardzo wiele pomagał. Zresztą należał do konspiracji w czasie okupacji niemieckiej.

Cała ta grupa, łącznie z porucznikiem "Sokołem" - Józefem Pyszko, który był moim nauczycielem - szczęśliwie rozlokowała się w Polsce. Jeden z nich - jak dotychczas - nie wpadł.

Jednak mieli łączność. I kiedy przyszła następna grupa,

w której był i Kulisiewicz / 25-go października 1946 r/, "Sokół" o tym wiedział /łącznie/ i przyjechał, aby im pomóc otrzymać dokumenty i wyekspediować w Polskę. I to się udało <sup>o</sup> pza ~~dw~~ dwiema osobami: Kulisiewiczem oraz chyba Szumiem. Tego drugiego nazwiska nie jestem pewien. O tym mógłby powiedzieć sam Kulisiewicz, który żyje i mieszka w Białymstoku przy ulicy Broniewskiego 15 m34.

Okazało się, że kiedy Dziergawko dowiedział się, że przyszli ludzie z tej samej miejscowości - grupa ok. trzydziestu ludzi - przyjechał ich odszukać i dowiedzieć się cośkolwiek o losie swojej rodziny, która pozostała po tamtej stronie granicy.

I wpadł. Prawdopodobnie ujęło go UB-e w Sokółce. Było to gdzieś w okolicy Zaśpicz. Razem z nimi został przyprowadzony do wsi Wojnowce, gdzie nastąpiło przesłuchanie ~~u~~ sołtysa. W tym fragmencie sprawy rola Zygawki nie jest do końca jasna. Nie wiadomo, czy jego doprowadzono czy też on wskazywał drogę. W tej sprawie wiele mógłby powiedzieć Kulisiewicz, który w tej grupie był.

We wsi Wojnowce grupa WOP-istów polskich pod dowództwem porucznika Narunica, odprowadziła aresztowanych na granicę, która przebiegała w pobliżu, ulicą żydowskiej wsi zwanej "Kolonja Izaaka".

Kiedy cała grupa podeszła już do samej granicy, porucznik wziął od szeregowca karabin i wystrzelił trzykrotnie. Wówczas ze strony sowieckiej cała wataha WOP-istów, którzy z całą pewnością już tam czekali, przekroczyła granicę polską. Przybyli otoczyli całą grupę łącznie z naszymi WOP-istami i UB-owcami i kilkoma oficerami, którzy mieli polskie czap



oraz peleryny narzucone na sowieckie mundury.

Tu nastąpiło przekazanie zatrzymanych. Odbyło się to bez jakiegokolwiek dokumentu. Taki dokument został zapewne sporządzony wcześniej przez tych, którzy byli w grupie operacyjnej w Zaśpiczach.

To przekazanie bardziej przypominało wyrzucenie z Polski niechcianych dzieci, dzieci nieprawego łoża. Największy żal był z tego powodu, że po tylu trudach związanych z przejściem granicy, po zaodomowieniu się, kiedy ci ludzie mieli już odpłynąć w głąb Polski, nastąpiła wpadka. Polski rząd, polska władza - pomimo tego, że zatrzymani ludzie byli przeciwni temu - przekazała ich z powrotem Sowiecom.

Tak się złożyło, że właśnie w celi sąsiedniej znalazł się Kazik Kulisiewicz, o czym mnie właśnie zawiadamiał Antek Hołownia. Natomiast opowieść o przejściach na stronie polskiej przekazał mi przez dziurkę w ścianie sam Kulisiewicz. W trakcie rozmowy z Kulisiewiczem zorientowałem się również, że wpadł razem z nim Józef Dziergawko, który przez dłuższy czas ukrywał się na naszym terenie i kilkakrotnie uczestniczył we wspólnych akcjach.

Te wiadomości zwiastowały dla nas bardzo niekorzystny obrót sprawy.

Kulisiewicz opowiadał dalej, jak przebiegały zdarzenia, kiedy ich przeprowadzono przez granicę w okolicy Odelska. Tuż przy granicy wsadzono ich do bunkra i tu przetrzymywano przez kilka godzin bez przesłuchania. Następnie podstawiono samochody - podobnie jak w przypadku, gdy mnie zatrzymano - były to amerykańskie wozy "Studebaker". Ich, powiązanych jak wieprze powrzucono na skrzynię. Następnie przewieziono ich

do odległego o trzydzieści pięć kilometrów Grodna. Tu trafili do tego samego oddziału pogranicznego "Smiersz" na przesłuchania.

W czasie tej rozmowy Kulisiewicz nadal nie porzucał myśli o kolejnej ucieczce. Ale w tym względzie sytuacja była niełatwa zwłaszcza po tym, gdy z tego właśnie aresztu uciekł Car. Nastąpiło bowiem zaostrzenie reżimu. Wzmocnione zostały patrole, warty i straże i sami Sowieci byli bardziej czujni. Szanse były znikome.

Nie wiem, jak było naprawdę w sprawie Kulisiewicza tam, na stronie polskiej, na kolonii w Zaśpiczach u Puszków. W naszym bowiem przypadku Dziergawko dzielnie spisał i absolutnie nie wskazał na nas, że zna nas i że istnieją między nami jakieś powiązania. Ale mimo tego został dołączony do naszej sprawy. A jest powszechnie wiadomo, że im więcej osób uczestniczy w sprawie, tym trudniej z niej wybrnąć, lawirować, bo są rozbieżności w zeznaniach.

Tak więc drugi etap śledztwa zbliżał się ku końcowi. Już wkrótce po nowym roku /1947-mym/ zaczynał się nasz ponowny proces.

Przewieziono nas do więzienia, w którym porozrzucano nas po różnych celach. Tak więc przed rozprawą nie mogliśmy się ze sobą skontaktować. Nie pamiętam, na jaki dzień wyznaczono nasz proces. To był chyba styczeń. Znowu więzienie, przenasz z więzienia z ulicy Wróblewskiego do wojennego trybunału. Tu spotkaliśmy naszych znajomych: znowu kapitan Gryszyn, znowu pułkownik Rogow, nasz oskarżyciel: surowy i bezwzględny, który bardzo często domagał się najwyższego wymiaru kary. Szczególnie dokuczała procesja od bramy więzienia do wojen-

nego trybunału. Podczas tego przemarszu więźniom towarzyszyli członkowie rodzin: częściej kobiety, rzadziej mężczyźni, bo ci częściej siedzieli. Zresztą mężczyznom pozostającym na wolności nie wypadało uczestniczyć w takich spotkaniach, aby chociaż z daleka popatrzeć na bliskich, bo z tym łączyło się całkiem realne niebezpieczeństwo, że wkrótce można znaleźć się wśród aresztowanych.

I znowu nastąpiło odczytanie aktu oskarżenia. Zaawizowano dwunastu świadków, z których, jak się wydawało, żaden nic istotnego do sprawy nie wniesie.

A z naszej strony znowu wszystko "na nie" - od początku do końca poza jednym Dziergawką, który był przyklejony do naszej ~~syxixax~~ sprawy, a jego sytuacja faktyczna była taka, że on już niczego nie mógł utajać. Jego sprawa była jasna jak słońce: został schwytany po stronie polskiej, a to wiązało się z nielegalnym przekroczeniem granicy.

I znowu atak został przez nas odparty. Drugi sąd, narada sędziów. Na tej naradzie uznano, że akt oskarżenia jest za mało rozwinięty i "sprawę kieruje się na ponowne, dodatkowe śledztwo".

I znowu do centralnego więzienia. Jedna noc i powrót do kontrwywiadu na Grandzicką.

Rozpoczął się trzeci etap śledztwa. Ułanow był wyraźnie niezadowolony z tego, co się stało. Zaraz po pierwszym przesłuchaniu przez Ułanowa, a nawet już na wstępie pierwszego przesłuchania powiedziałem mu, że z tytułu prowadzenia mojego śledztwa nie może liczyć na kolejną gwiazdkę. Nic mu na naramiennikach nie przybędzie.

Na drugim przesłuchaniu Ułanowa już nie było. Przesłucha-

nie rozpoczął nowy śledczy, chyba najbardziej inteligentny ze wszystkich śledczych w tym kontrwywiadzie. Był to starszy lejtnant Ulianow. On już znał naszą sprawę choćby dlatego, że była ona dość głośna. W tym areszcie kontrwywiadu zdarzało się bardzo rzadko, żeby za pierwszym razem kogoś nie osadzili.

Nowy śledczy nazywał na "bandę Olszewskiego" i cała sprawa nazywała się "sprawą Plszewskiego". Chodziło oczywiście o starszego z braci Olszewskich - Edwarda /młodszy nazywał się Marian/.

Nazywał nas wprawdzie bandytami, ale był na tyle inteligentny, że podczas przesłuchań wdawał się w niby nic nie znaczące pogawędki, częstował papierosami, nie śpieszył się. W protokóle zaznaczał, ile czasu trwało przesłuchanie, bywało, że często dawał trochę czasu "na zapas", to znaczy pisał więcej, niż rzeczywisty czas trwania przesłuchania.

Wiele uwagi przywiązywał do zewnętrznej strony śledztwa. Gdy była jakaś inspekcja lub gdy wiedział, że ktoś jest w pobliżu - wrzeszczał na przesłuchiwanym, walił pięścią w biurko co miało świadczyć wobec osób postronnych, że przesłuchanie ma bardzo intensywny przebieg.

Często wdawał się w prywatne rozmowy z przesłuchiwanym. Opowiadał też o sobie. Dowiedziałem się, że mieszkając na wsi ukończył szkołę nauczycielską i był nauczycielem w swojej wsi. Bardzo lubił swój zawód. Był wyjątkowo czytany, znał klasyków rosyjskich, co było prawdziwym wyjątkiem wśród czekistów. Często narzekał nawet na to, że został zmobilizowany na wojnę, która już dawno się skończyła. On ma tego już naprawdę dość i najchętniej wróciłby do swojego zawodu do swojej miejscowości. Nie był chyba ranny.



Gdyby na naszą sprawę spojrzeć ogólnie to trzeba przyznać, że mieliśmy szczęście, że nasza sprawa była w rękach kontrwywiadu wojskowego. KGB było daleko groźniejsze, bo stosowało gorsze metody. Wojsko, pomimo wszystkiego, było jednak wojskiem. Klawiszami i w ogóle funkcyjnymi byli żołnierze, którzy najczęściej przeszli wojnę i mieli chyba już dość strzelania. Chyba każdy z nich czekał niecierpliwie, kiedy zostanie zmobilizowany i będzie mógł wrócić do domu. W każdym razie z tego, co opowiadali w późniejszym czasie o tym, jak było w KGB trzeba zgodzić się z tym, że i w tym nieszczęściu mieliśmy wiele szczęścia.

Uljanow często wzywał na śledztwo, ale jego przesłuchania nie były uciążliwe. Mijały tygodnie na przesłuchaniach, a Uljanow nie miał wyników w śledztwie. Wówczas dla mnie zmieniono śledczego. Przyjechał z dowództwa Białoruskiego Okręgu Wojskowego z jednostek pogranicznych - kapitan Krukow. Był to niepokąźny człowieczyna, ale jak się miało wkrótce okazać - w swoim zawodzie był specem. To był bardzo groźny przeciwnik. Tu nie można było lekceważyć ani jednego słowa, ani jednego gestu. Tu ani Ułanow, ani Uljanow ani nawet Romans nie byli w stanie mu dorównać. Jednym słowem ten człowiek siedział "na swoim stołku".

Szybko zapoznaliśmy się ze sprawą. Na przesłuchaniach nigdy nie krzyczał. Przesłuchania prowadził powoli, w sposób dość ponury. Nieco szperał w terenie i oprócz tego zapowiedział, że sprowadzi naszych dwóch koronnych świadków, którzy sypnęli nas. Byli to Dajnowicz i Przybalski. Oni obaj zostali tuż przed naszym aresztowaniem czy nawet w dniach naszego aresztowania zostali wywiezieni najprawdopodobniej aż na Kozymę.

Sprowadzenie świadków aż z Kołymy nie było sprawą prostą ani łatwą. Nasza sprawa z tego powodu przeciągała się w czasie. Nadal siedzieliśmy w dotychczasowym więzieniu. Po miesiącu przeniesiono nas do więzienia centralnego. Tam, w więzieniu centralnym wiedzieliśmy już dokładnie, że czekamy na przyjazd świadków.

W więzieniu śledczym siedzieliśmy w celach "pojedynkach". Przebywaliśmy w pierwszym bloku, który był zbudowany przez przedwojenne władze polskie. Z naszej celi mieliśmy widok na wieżę kościelną. Na tej wieży był zegar, który chodził tylko wówczas, gdy coś szczególnego działo się na świecie. Jakaś niewidzialna ręka przestawiała strzałki zegara. Władze wiedziały o tej zależności pomiędzy chodzeniem zegara a zmianami na świecie. Zdołano ustalić, kto to taki. Okazał się nim dzwonnik czy może kościelny. Oczywiście za to wkrótce znalazł się po naszej stronie murów.

Siedziałem w pojedynkę. Ale, jak mnie wcześniej nauczył Morozow, wiedziałem, że aby można było przetrzymywać więźnia w celi pojedynczej, musi być na to specjalne zezwolenie prokuratora. Ktoś mnie przez ścianę zawiadomił, że jestem tak przetrzymywany bezprawnie i jeżeli chcę, to mogę dochodzić swoich praw.

Z jednej strony mój pobyt w pojedynczej celi miał i dobre strony. W takiej sytuacji nikt ode mnie nic nie wydobędzie, nie zdradzę się żadnym nieostrożnym słowem. Tak siedząc, nauczyłem się rozmawiać sam ze sobą. Chodziłem na wielokilometrowe spacery: trzy metry do przodu i trzy do tyłu. I tak mijały dni.

Aż w końcu postanowiłem ogłosić głodówkę. Była to moja

forma protestu wobec faktu przetrzymywania mnie w pojedynczej celi oraz tego, że nic mi nie było wiadomo o stanie mojej sprawy.

Dyżurny "klawisz" zanotował moje pretensje. Jeszcze tego samego dnia przyszedł naczelnik więzienia, który zrobił następną notatkę. Próbowano podać mi obiad, ale ja go nie przyjąłem.

Moja głodówka trwała jedną, pełną dobę z tym, że tak naprawdę, to głodny nie byłem. Koledzy, którzy o tym wiedzieli i z cel, które były umiejscowione przede mną, gdy wychodzili do ubikacji, zostawiali mi w skrytkach / pod zlewem czy też w innym miejscu / jakieś suchary czy coś takiego. Ja o tym wiedziałem i z tych miejsc odbierałem to jedzenie. Miałem teraz jedzenia nawet trochę chyba więcej niż w normalnych warunkach.

Następnego dnia pod wieczór, naczelnik bloku - blokowy - przyprowadził do mnie gościa o nazwisku Trop - Kryński. Był to Żyd, aptekarz, znajomy mojego ojca, miał aptekę w Grodnie. Wpadł za defraudację - powstało jakieś większe manko. Ale on miał tak dobrze ustawioną sytuację, że codziennie otrzymywał obiady z domu. Podobno jego córka - lekarz - pracowała jako lekarz w więzieniu, dokładnie w szpitalu więziennym. I teraz zaczęło się kocie życie. On nie jadł dużo, był bardzo delikatny, mięso jadał tylko chude. W tej sytuacji ja zmiatałem wszystko to, czego nie zjadał on. W takiej sytuacji szybko poprawiłem się na twarzy. Kiedy wezwano mnie na śledztwo, sam śledczy stwierdził, że tak dobrze wyglądam. Odpowiedziałem, że zbrzękłem w więziennych murach, bo w samej rzeczy co ja mu mogłem powiedzieć?

Mój współlokator z celi był pełen nadziei, że wyjdzie. I rzeczywiście - wyszedł. Stało się to po kilku tygodniach: trzech a może czterech - wyszedł na wolność. Zachował się bardzo uczciwie - dotarł do do mojego domu - jak go o to prosiłem. Opowiedział rodzinie o mojej sytuacji. Nie opowiedział wszystkiego, bo ja przed nim się nie zwierzałem, dla własnego bezpieczeństwa.

Nadal zostałem sam w celi. Ale po jakimś czasie dano do mnie nowego sublokatora, Stasia Możejko. Był to biedny, młody chłopak, mieszkający ze swoją matką. Był sierotą, nie miał ojca. A było to tak:

Fewnego dnia na pastwisko, na którym pasła się jego kobyła, przyszedł sowiecki żołnierz i zabrał zwierzę. A ta kobyła oznaczała dla gospodarstwa wiele: była jedynym środkiem lokomocji i jedynym źródłem siły napędowej. Stasio był desperowany widząc, jak żołnierz odjeżdża sobie drogą. Stasio skrócił sobie drogę przez zarośla. Gdzieś z ukrycia wy dobył karabin i - chociaż nigdy w wojsku nie służył, bo był w zasadzie dzieckiem - bardzo celnym strzałem zdjął żołnierza z kobyły.

Kobyła sama wróciła do domu. I wszystko byłoby dobrze tym bardziej, że od pamiętnego zajścia przeszło już kilka lat, gdyż opisywane wydarzenie miało miejsce w 1944-tym roku, gdy przez nasze tereny przechodził front. Wówczas to Sowieci handlowali końmi w ten sposób, że jednemu konia zabierano, a innemu sprzedawano.

Przeszło już parę lat. Stasio Możejko dorastał i zaczął chodzić do dziewcząt. I najprawdopodobniej przed kimś we wsi się pochwalił, czego to on swego czasu dokonał. Bo trze-



ba powiedzieć, że Stasio miał opinię chłopca bardzo spokojnego i nikomu by do głowy nie przyszło, że to on mógłby zdobyć się na coś podobnego.

O śmierci owego żołnierza było dość głośno w okolicy. Zastanawiano się, kto może być sprawcą tej śmierci. Podejrzewano o to Niemców, którzy się jeszcze wałęsali w okolicy, dezertków różnego rodzaju - ale nigdy Stasia.

I sprawa pewnie by "przyschła", gdyby nie gadatliwość samego Stasia. Pochwalił się prawdopodobnie dziewczynie, ta zapewne powiedziała o tym swojej ciotce, ciotka drugiej ciotce i tak dalej poszło. Wreszcie wiadomość doszła tam gdzie trzeba / a właściwie tam gdzie nie trzeba/ i Stasio - jako morderca sowieckiego żołnierza - znalazł się w mojej celi. Dano mu odpowiedni paragraf.

Byliśmy ze Stasiem w jednej celi za kratkami. Jego sprawa - w odróżnieniu od mojej - była w zasadzie prawie jasna. Tu nie było żadnych organizacji, żadnych powiązań o zabarwieniu politycznym. Ale nie pamiętam jaki mu dano paragraf: czy dopatrzone się politycznego tła uśmiercenia żołnierza czy uznano sprawę za zwykłą, kryminalną.

Nie powiedziałem jeszcze, że wszystkim nam zarzucono zdradę ojczyzny z bronią w ręku /ten zarzut dotyczył wszystkich nas, całą grupę Olszewskiego/, udział w akcjach z bronią w ręku przeciwko agentom sowieckim. Za takie czyny - według Białoruskiego Kodeksu Karnego - artykuł 63 - zdrada ojczyzny, artykuł 73 - grupowa zdrada ojczyzny - i jeszcze na dodatek - to kapitan Krukow nam dołożył - artykuł siedemdziesiąty. Przy zdradzie ojczyzny był to bardzo groźny artykuł. Oznaczał on bowiem terror polityczny.

W tej sytuacji bardzo rzadko - a właściwie nigdy nie mieliśmy nadziei na wyjście, gdyż tu praktyka wymiaru sprawiedliwości nie pozostawiała złudzeń: dokładano "na cały gwizdek".

Wróćę jeszcze do jednego ze spotkanych "małolatów" - Staszka Romańczuka z Naumowicz.

Naumowicze znajdowały się na terenie gminy Adamowicze albo Sopoćkinie. Staszek Romańczuk już od najwcześniejszych lat szczerze zazdrościł tym, którzy mogli uczestniczyć w walce z Niemcami /wcześniej/, a następnie z Niemcami. A on był i niewielkiego wzrostu i bardzo szczupły, mizerny i - podobnie jak Stasiak Możejko - był u swojej mamy jedynakiem. Jego ojciec już nie żył - już nie pamiętam, co się z nim stało.

Stasiak Romańczuk pewnego dnia, a było to jesienne popołudnie, wyszedł sobie na ulicę Naumowicz. Szedł do kolegi, gryząc kawałek chleba. Traf sprawił, że tą samą ulicą człapał Sowiet, łazik jakiś, któremu "wintówka" ciągnęła się za plecami. Stasiak podszedł do Sowiet, glonkiem chleba nacisnął w plecy wołając groźnie: "ruki w wierch".

Sowiet posłusznie podniósł ręce, a Staszek oczywiście natychmiast zabrał mu broń. Następnie kazał mu biec przed siebie i nie oglądać się, co tamten posłusznie wykonał w obawie że może zginąć.

Było już szaro na dworze i nikt tego specjalnie nie wiedział. A Staszek odtąd miał karabinek. Co z nim dalej robił, nie bardzo wiem. Nie wykluczone, że przed kimś się pochwalił. Zimą, kiedy były już śniegi i silne mrozy, przyszło dwóch czekistów z Sopoćkiń. W Sopoćkiniach był wówczas powiat /rejon/.

Aresztowanie Staszka było przesądzone. Czekiści po aresztowaniu poprowadzili go pieszo w stronę Sopoćkiń, a to dystans kilkunastu kilometrów.

Po drodze wstąpili do pewnej wsi do sołtysa. Sołtys doskonale wiedział, co w takich sytuacjach należy do jego obowiązków: musi być wyżerka i oczywiście coś do wypicia. Czekiście jedli i pili, a aresztan siedział obok.

Zapadł już zmrok, śniegi były duże. Czekiści postanowili przenocować. Sołtysowa pościeliła słomę na podłodze. Czekiści kazali najpierw położyć się Staszewi. Następnie przykryli go jakąś płachtą, na której końcach sami się położyli, aby więzień nie umknął.

Staszek cierpliwie czekał, aż pijani czekiści zasną i nieco poluzują płachtę. Następnie spokojnie wydostał się z posłania, ubrał się, obuł się i wyszedł tak cichutko, że nawet sam gospodarz nie słyszał. Wziął konia ze stajni i spokojnie odjechał. Oczywiście nie trzeba chyba dodawać, że zabrał broń czekistom.

Będąc na wolności Staszek jeszcze kilkakrotnie kursował między Polską a Związkiem Radzieckim, kilkakrotnie przechodząc granicę.

I trzeba trafić: latem 1946-go roku wpadł w ich ręce. Miał pecha. Wracając z polskiej strony na Grodzieńszczyznę trafił na grupę pograniczników, którzy siedząc w zbożu grali w karty. I tym razem - tak jak zawsze - niczym się zbytnio nie przejmował. Mówił, że jeśli nie będzie mógł chodzić na nogach, to będzie chodził na rękach, ale i tak jeszcze kiedyś do Polski wróci.

Jeszcze wcześniej, gdy siedziałem w celi nr siedem, dwóch

współwięźniów opowiadało mi o tym, jak Sowieci przywozili do fortu w Naumowiczach /opowiadający pochodzili z Naumowicz/ więźniów i ich rozstrzeliwują. Kiedy jeszcze granica nie była skonkretyzowana w terenie, przywożono tu także ludzi z polskiej strony, podobno z okolic Sejn. Przywożono też więźniów i od Grodna i od Druskiennik. Wcześniej rozstrzeliwali tu Niemcy, a następnie Sowieci. I jedni i drudzy rozstrzeliwali Polaków.

Co się dalej stało ze Staśkiem - trudno mi jest powiedzieć, gdyż Staszek do niczego się nie przyznał. Najprawdopodobniej nie należał do żadnej organizacji podziemnej. Ale najpewniej miał jakiś powiązania i łączność i zapewne był wykorzystywany przez podziemie do różnych zadań. Ale nie wiem, co się z nim stało.

Można mieć pewność, że został skazany za przekroczenie granicy i za ucieczkę. Ale ponad to do niczego się nie przyznał i jego ~~dal~~szy los nie jest mi znany.

My zaś stosowaliśmy taktykę zmierzającą do tego, żeby jak najdłużej przetrwać w Grodnie. Wiedzieliśmy bowiem od więźniów, którzy wracali z więzień i obozów różnego rodzaju /przywożono ich na śledztwa, uzupełnienie przesłuchań/, że w obozach dzieją się straszne rzeczy. Był to okres powojenny i w ogóle w całym Związku Radzieckim działy się rzeczy okropne, a cóż mówić o obozach, zsyłkach czy etapach w drodze do miejsca zesłania.

Mając takie wiadomości ciągnęliśmy sprawę tak, jak tylko było można. Przestaliśmy liczyć na jakąkolwiek pomoc ze strony zagranicy. Bo taką nadzieję też mieliśmy, ale w pierwszych latach i szybko się jej pozbyliśmy. Wiedzieliśmy, że tylko



sami możemy sobie pomóc. Jedyną formą pomocy mogło być w tej sytuacji przeciąganie sprawy.

I to nam się udało: pierwsza rozprawa i dodatkowe śledztwo. Druga rozprawa - znowu na dodatkowe, uzupełniające śledztwo. Wprawdzie było pewne niebezpieczeństwo, pewne ryzyko, że na każdym kolejnym śledztwie coś mogam znaleźć czy nawet przypisać. Ale też i my byliśmy już coraz bardziej otrząskani, oblatani w tych sprawach. Zналиśmy już prawie wszystkie artykuły na pamięć, zwłaszcza polityczne. Wiedzieliśmy już, co wolno a czego nie wolno robić śledczemu z nami, oskarżonymi.

I tak nam sztuka się udawała do trzech razy. Rozpoczął się kolejny ciąg śledczych udręczeń. Oficerowie śledczy rozpoczęli przygotowania, które miały doprowadzić nas po raz kolejny przed oblicze wojennego trybunału. To, że nie przegrywaliśmy - jak dotychczas - sprawy, dodawała otuchy, a niektórzy z nas mieli jakieś nadzieje na wyjście z więzienia. Uważali za możliwe uniknięcie wyroku skazującego. Nieco cieplej stało się na sercu pomimo styczniowych dni, oblodzonych ścian i zatęchłych cel aresztu śledczego. Siedzieliśmy przy ulicy Grandzickiej w Grodnie.

Zahartowani w ogniu ostatniej wojny w głodzie, chłódzie i niedostatku szykowaliśmy się do nowego starcia w formie szermierki słownej. Byliśmy ciekawi, kogo tym razem strona przeciwna wyśle na ring. Nie było to łatwe, bo rezerwy mieli ogromne.

W pierwszą niedzielę porozprawie pozwolono podać mi paczkę. Najbardziej mnie ucieszyło to, że otrzymałem długi, sowiecki kożuch. Wiadomo było przecież, że nas Syberia nie mi

nie. Sowiecki kożuch ma te zalety, że nie bał się ani ognia ani wody.

W międzyczasie do mojej celi trafił starszy już człowiek - Józef Żuk ze Starej Dębowej. Jest to miejscowość położona między Grodnem a Odelskiem. Pan Żuk, ojciec słynnego na naszym terenie - Adolfa Żuka i drugiego, młodszego syna, którego prawie nie znałem - trafił do nas tylko za to, że dwóch jego syów zarówno w czasie okupacji niemieckiej jak i też po wejściu Sowieców ukrywało się. Jednocześnie byli prawdziwym postrachem w całym pasie przygranicznym biorąc od Kuźnicy aż do Odelska.

Pan Żuk, pomimo swoich ponad sześćdziesięciu lat, był mężczyzną dobrze zbudowanym, nie brał niczego do głowy i to mi dodawało otuchy: oto on, starszy człowiek zostawił w domu żonę i gospodarstwo i absolutnie nie przejmował się tym, co się działo, nie przejmował się nawet tym, że siedział, a na pewno czekał go wyrok skazujący.

Żuk często odprowadzał całe grupy aż na samą granicę, robił rozpoznania i brał czynny udział początkowo w antyniemieckiej, a następnie antysowieckiej działalności. Był zawsze spokojny.

Ja przez cały czas układałem plan dalszego działania. Wszystko wskazywało na to, że jednak nasze władze będą sprawdzały naszych podstawowych świadków. Ponieważ czekaliśmy tylko na nich, dlatego już od kilku tygodni nie byliśmy wzywani na przesłuchanie. Kożuch ratował mnie od chłodu. Paczka dostarczyła pożywienia, która jak zwykle stanowi wspólną własność mieszkańców celi. Bywało i tak, że korzystali z niej więźniowie z innych cel, jeśli tylko była możliwość przekaza

nia. Czekaając na koronnych świadków założyłem, że koniecznie muszę się z nimi skontaktować - z Przybylskim i Dajnowiczem przed następną rozprawą. Chciałem ich prosić, aby odwołali złożone uprzednio obciążające nas zeznania. Dla nich to nie ma już żadnego znaczenia. Poprzednia obietnica Romansa spaliła na panewce, bo dostali "na cały gwizdek". Rozsądnie myśląc powinni pójść nam na rękę.

Wszyscy popierali ten plan. Pomimo, że siedzieliśmy w różnych celach, a niekiedy i w różnych budynkach - łączność była utrzymywana na bieżąco. Z naszej sprawy wyłączono Janka Rożko. Janek stracił u nas zaufanie bezpowrotnie. Wówczas, gdy myśmy odmawiali podpisywania jakichkolwiek protokołów, przyprowadzano Janka, w jego obecności odczytywano protokół i on potwierdzał, że protokół był przeczytany, że myśmy to słyszeli i bezpodstawnie odmówiliśmy podpisu. I taką klauzulkę Janek Rożko podpisywał.

Po raz pierwszy, było to w pierwszych dniach lutego - od ostatniej rozprawy - co się rzadko zdarza - zostałem wezwany na przesłuchanie. Odbywało się ono w innym gabinecie i z innym przesłuchującym. Był to oficer wojsk ochrony pogranicza, w stopniu kapitana, niedbale ubrany w wieku około pięćdziesięciu lat, miał wygląd czysto rosyjskiego chłopca. Z wyglądu nie był groźny.

Wkrótce miałem się dowiedzieć, że jest to zapowiadany już wcześniej Krukow. On już przesłuchiwał moich niektórych kolegów.

- Siadaj - rzekł dość obojętnie, wskazując taboret. Usiadłem. On zaś, bez zbytniej ciekawości mierzył mnie od stóp do głowy, przyglądał się, przewracał jakiś skoroszyt aż wreszcie

zaczął:

- Jestem kapitan Krukow, dowództwo Wojsk Ochrony Pogranicza w Mińsku. Zostałem oddelegowany w celu prowadzenia waższej sprawy.

Mówił spokojnie, dokładnie, a jednocześnie bez zbytniego zachwytu, obserwując mnie cały czas.

- Wasze nazwisko, imię i imię ojca - zapytał delikatnie, jak na czkistę. To jednak jeszcze nie wróżyło nic dobrego. Podałem pełną odpowiedź. Mówiłem tonem spokojnym jak on, wyrabiając sobie maniery przesłuchującego.

- A no, to bardzo przyjemnie. Zapoznałem się z waszą sprawą, a teraz pragnę poznać was, młody człowieku - rzekł Krukow.

Następnie zapytał troskliwie o zdrowie, samopoczucie i warunki w celach, stosunek straży do aresztowanych, stosunek oficerów śledczych, moje pochodzenie, stan cywilny, czym się zajmowałem do czasu aresztowania i w ogóle do czasu, do kiedy sięga moja pamięć. Proponował paierosa. Zapytał nawet, czy nie męczy mnie zbyt długa rozmowa z nim.

Inna forma przesłuchania, inny ton. Jaką miałem przyjąć postawę? Byłem tym wszystkim nieco zaskoczony. Postanowiłem odpowiadać krótko i tylko na pytania. Czasem wymijałem niektóre fragmenty, co natychmiast doskonale wyłapywał mój rozmówca. Natychmiast doceniłem jego fachowość. Nie miałem już wątpliwości, że mam doczynienia z kimś, kto naprawdę siedzi na swoim krześle.

Przed każdą odpowiedzią liczyłem do dziesięciu, aby zbyt pochopnie nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego. On to też natychmiast zauważył, ale nie ponaglał. Twierdził, że ma wiele



czasu, że nie trzeba śpieszyć. Trzeba mówić dokładnie i tylko prawdę, chociaż oskarżonemu przysługuje prawo do kłamania.

Taki sposób przesłuchiwania i owe formuły były mi już znane i nie robiły już na mnie większego wrażenia. Przesłuchanie trwało do późnej nocy. Przesłuchujący wychodził kilkakrotnie na posiłek do kasyna, które było na miejscu. W czasie jego nieobecności pozostawałem pod ochroną konwojenta. W tym też czasie korzystałem z ogrzewanych "wygódek" w wiadomym celu.

Krukow przewertował akta sprawy od początku do końca, wychytując z niej wszystkie najistotniejsze argumenty od po to, aby zyskać podstawy ~~przez całą sprawę~~ do zbudowania przeciw mnie oskarżenia. Ja natomiast, uparcie, ale i konsekwentnie broniłem zajętego już wcześniej stanowiska. Na wszystkie jego pytania, uwagi i zarzuty miałem tylko jedną odpowiedź: nie. I na tym koniec.

Nowym elementem w sprawie było pytanie - co wiem na temat działania organizacji podziemnych na terenie Polski? Przecież mam tam bliską rodzinę - wywodził - którą utrzymuję, jak mu wiadomo, ścisły kontakt. Aby uprawdopodobnić swoje twierdzenie, wymienił z imienia i nazwiska kilku moich krewnych po polskiej stronie. Nawet dość trafnie określił ich zainteresowania podziemnymi, akowskimi strukturami. Najbardziej interesował go Tadzio Horczak, akowiec, syn wujka Ignacego oraz Czesio Słucki, mój cioteczny brat z Małej Zubrzyicy, pseudonim "Dołęga". Pytał też i o innych. Jednakże przy pytaniu o każdą osobę otrzymywałem odpowiedź, że po ustaleniu granicy nikogo ze swoich krewnych nie widziałem

nie utrzymuję.

Następnie zapytał mnie, co wiem o moim towarzyszu niedoli - starym Żuku i jego rodzinie. Odpowiedziałem, że go dotychczas nie znałem, że poznaliśmy się dopiero w celi. Owszem, opowiada, że ma żonę, o którą się bardzo martwi. Nic więcej nie wiem.

- To stanowczo za mało - usłyszałem w odpowiedzi - a wiem, że wiesz o wiele więcej, tylko to ukrywasz. Ale mniejsza z tym. Zapewniam cię, że w tym kraju na wolność chyba nie wyjdiesz.

Powiedział to bardzo spokojnie i kazał mnie wyprowadzić. Nie zaproponował mi nawet podpisania notatek z bardzo długiego przesłuchania.

Kiedy wróciłem do celi, zastałem Żuka skulonego na pryczy. Spał snem sprawiedliwych. Nie obudził go nawet brzęk sztaby. Sprawdziłem nawet, czy oddycha. Zdjąłem z siebie tylko buty i wkrótce usnąłem.

Już następnego dnia otrzymałem wiadomość z celi nr pięć, że już odbyła się sprawa Kazika Kulisiewicza. Dokładnej daty nikt nie znał. Wiedzieliśmy jedynie tyle, że skazano go na karę dziesięciu lat poprawczych obozów pracy. Natomiast w naszej sprawie było wiadomo, że Krukow przesłuchał całą naszą grupę w podobny sposób jak mnie. Dowiedziałem się też, że Marian Olszewski przebywa teraz w jednej celi z Jankiem Roszko. Stoczył z nim /Jankiem Roszko/ dramatyczny bój, chcąc go uśmierzyć za potwierdzenie odmowy przez nas podpisywania protokółów z naszych przesłuchań. Było to smutne, nawet bardzo smutne. Na takie porachunki czas był jeszcze bardzo odległy, a nawet nie było pewności, czy kiedykolwiek nadejdzie.

Tego dnia Żuk - jak zwykle gadatliwy, przed czym go ciągle przestrzegałem - opowiedział mi, śmiejąc się do rozpuku pewną historię, którą już znałem znacznie wcześniej. Ale nie chciałem przed nikim w celi ujawnić, że opowiadanie to jest mi znane.

- To było na waszym terenie - mówił stary Żuk. Szef wywiadu, major Dzienisienko, goły do Grodna wracał. On tu wciąż węszył i miał do tego pomocników. Były to szczególnie baby, te "bieżenki". Nie stronił też od miejscowych. To było jeszcze tamtej wiosny, kiedy to działał jeszcze mój Adolek. Gdyby on tu był, to by już i mnie stąd wyprowadził. Właśnie tamtej wiosny przyjechał Dzienisienko samochodem do jakiejś Niny. Wypiwszy sporo poszedł z nią na spacer do tego brzeźniaka. W lesie - jak w lesie - na miłość ich zebrało. Figłowali bez ubrania tak, jak ich matka urodziła. Kiedy się obejrżeli, po jego ubraniu i innych jego rzeczach nic nie pozostało.

Major natychmiast otrzeźwiał i miłosny szal mu minął. Wściekał się strasznie, ale cóż - goły, to i na majora nie podobny. Owinąwszy się jakąś płachtą, którą ze sobą do lasu przynieśli, siedział na skraju lasu i czekał, aż Nina sprowadzi szofera z samochodem. I tak, owinięty płachtą, nie zajeżdżając do Niny na chutor pojechał wprost do Grodna.

- Opowiedziałem to tylko tobie, pod sekretem - mówił dalej Żuk. W tym mundurze mojemu Adolkowi bardzo do twarzy. Kiedy chodził wśród Sowietów, to tylko mu salutowali. A teraz ci powiem: ten mój chłopak tamtej zimy w Polsce kilkakrotnie przychodził na tę stronę. Wiem dokładnie gdzie, ale lepiej będzie, jeśli nie powiem. Dumny jestem z jego odwagi. To

odważna i sprytna bestia. Łuskał ich jak pestki. Ale największą satysfakcję miał z tego faktu, że nosił mundur szefa kontrwywiadu.

Tymi słowami zakończył swoje dowcipne jednak opowiadanie i zaraz został wezwany na przesłuchanie. Zdążyłem go jednak wcześniej poprosić, aby się zbytnio tymi sprawami nie przechwalał. Chociaż trzeba przyznać, że opisywany przez niego fakt rzeczywiście miał miejsce. Ale co najważniejsze, że "Car i Böh" Dzienisienko nigdy na żadnym przesłuchaniu o tym nie wspominał. Widocznie udało się mu sprawę zatuszować przed swoimi przełożonymi, bo jak łatwo zgadnąć, chwały by mu nie przyniosła.

Po kilku dniach nasz Krukow, ną pewno po uzgodnieniu z Rogowem, umieściła nas w więzieniu centralnym, który nazywaliśmy "Farną parafią". Nazwa pochodziła stąd, że to więzienie mieściło się w dawnych budynkach poklasztornych. Tym razem byliśmy tu bez kwarantanny i bez cel zbiorczych. Zakwaterowano nas na pierwszym bloku. Trafiłem do celi nr czterdzieści dwa na drugim piętrze. Cella była o wymiarach cztery na trzy metry i miała okno wychodzące na północ, przysłonięte "namordnikiem". W tej sytuacji mogłem widzieć tylko skrawek radzieckiego więźnia.

Wyposażenie celi stanowiły dwa odkładane łóżka, stół, także odkładany i dwa miejsca do siedzenia - również odkładane takie, jakie niejednokrotnie można spotkać w podmiejskiej komunikacji pociągowej. Cella była ogrzewana za pomocą centralnego ogrzewania, czysta i zdecydowanie wygodniejsza od tych wszystkich, które dotychczas stanowiły moje <sup>czasowe</sup> ~~dotychczas~~ mieszkanie u KGB. Tym razem w celi byłem sam. Spacerowałem



po celi " w tę i wewtę". Mówiłem sam do siebie i byłem pewien, że nikt mnie nie zradzi. Układałem wiersze, odtwarzałem różne sytuacje z niedalekiej przeszłości. Oceniałem, analizowałem, ujawniałem swoje i czyjeś tam błędy. Dużo modelowałem się i nikt mi w tym nie przeszkadzał. Odbyłem w ten sposób szczere i wszechstronne rekolekcje.

Moje rozmyślania przerwał brzęk sztaby. Zostałem wezwany na śledztwo do kapitana Krukowa. Przesłuchania odbywały się w gabinecie śledczym na terenie więzienia. Krukow bardzo się dziwił, że dobrze wyglądam. I rzeczywiście: byłem domyty, jak na więzienne warunki, a po porządnym wygłodzeniu - wyżarty. Byłem w dodatku wyspany i zewnętrznie prezentowałem się korzystnie.

Trop - Kryński odchodząc, zostawił mi cały zapas swojej żywności i dlatego głodu nie odczuwałem.

- Co macie do uzupełnienia śledztwa - zapytał Krukow. Sprawa zbliża się ku końcowi. Niedługo odbędzie się rozprawa, a po niej wyrok, Sybir i przestrzeń bez końca - pocieszał. Pytań nowych nie zadawał. Powtarzał jedynie takie, które wcześniej zadawano nam wielokrotnie. Odpowiedzi też były takie, jak w przeszłości.

Przesłuchanie trwało kilka godzin. Wreszcie przesłuchujący zapytał:

- A tym razem podpiszesz protokół?

- Nie - odparłem jednym słowem.

- U ciebie wszystko na nie. Wyleczą cię z tych nawyków. Dojdzie do tego, że na białe będziesz mówił czarne, jeśli tego będą sobie życzyli pytający - powiedział spokojnie kapitan.

- Obywatelu kapitanie, chory to ja nie jestem i nie chcę chorować, bo zbyt mocno kocham życie. Wprawdzie śmierci też nigdy w sposób nadzwyczajny nie bałem się, bo przed nią nikt jeszcze nie uciekł. Znane jest więzienne powiedzonko: "ty umrzyj dzisiaj, a ja jutro". Ważne jest to, aby za życia być sobą - recytowałem śledczemu zasłyszane wcześniej w celi wywody.

- No, filozof z ciebie. Szkoda tylko, że nie nasz. Ale ty jeszcze się zmienisz, zaręczam. Na dziś dowidzenia.

Nacisnął przycisk. Zjawił się klawisz.

- Odprowadzić - padł rozkaz.

Tego dnia na naszym korytarzu dyżur pełniła klawisz - dziewczyna o dość przyzwoitej buzi. Jej twarz przypominała mi kogoś znajomego. Wpuszczając mnie do celi z wyraźną uwagą przyglądała się mojej skromnej osobie. Ona знаła moje nazwisko, a ja nie mogłem jej o to zapytać, bo przy zamykaniu drzwi towarzyszył nam klawisz rozprowadzający. Jednak po pewnym czasie "karmuszka" się otworzyła i w jej ramce zobaczyłem właśnie jej sympatyczną twarz.

- Tadzik, co z tobą się stało? Za co cię posadzili? Dlaczego trzymają w tych celach? Przecież one są przeznaczone dla bardzo poważnych przestępców.

Kiedy tak do mnie zwracała się do mnie, poznałem ją po głosie. Okazało się, że była to moja szkolna koleżanka. Przez trzy lata w indurskiej szkole uczyliśmy się w jednej klasie. Na imię miała Ania. Należała nawet do harcerstwa chociaż na naukę religii chodziła do cerkwi.

- Cóż, Aniu, posadzili. Uważam, że niewinnie. Czas pokaże. Dziś byłem na przesłuchaniu. Zapowiedziano nam już niedale-

ki proces. Czekały jedynie na dowieszenie świadków z Dalekiego Wschodu. Ale widocznie tak już musi być! "Kto nie pobędzie, kto był, ten nie zapomni", zacytowałem jej sowieckie przysłowie, które w rosyjskim języku świetnie się rymuje.

- W czym mogę ci pomóc, Tadeuszu - zapytała dziewczyna.

- Dziękuję ci za dobre słowo. Jeżeli będziesz potrzebna, a spotkam ciebie, to ci powiem. Bardzo się cieszę, że chciałaś mnie poznać. To jest bardzo ważna sprawa.

Następnie opowiedziałem jej trochę o swoim życiu prywatnym przed aresztowaniem. W sumie nasza rozmowa trwała chyba z godzinę.

I tak dzień mijał za dniem. W tym czasie Kruków zbierał, uzupełniał i kompletował akt oskarżenia. Nie ulegało wątpliwości, że był zawodowym śledczym, znał dobrze swoją robotę i z tym należało się liczyć. Dla ułatwienia sobie sprawy naszą grupę podzielił na trzy mniejsze. Ze sprawy wyłączył całkowicie Edka Olszewskiego. Oddzielił Janka Roszkę, Kazika Żywulewskiego i Józka Błażewicza. Oni zostali oskarżeni tylko o współpracę z organizacją podziemną o nazwie "Armia Krajowa". Z nas czterech - to znaczy mnie, Antkai, Józka Hołowniów oraz Mariana Olszewskiego oraz doszlusowanego do nas, przywiezionego z Polski Dziergawkę stworzył grupę najmocniej obciążoną. Oskarżał nas bowiem o przynależność do podziemnych struktur AK. W tych strukturach podziemnych należeliśmy do grupy zbrojnej, która zajmowała się terroryzowaniem uczciwych sowieckich obywateli. Do tak sformułowanego zarzutu pasował jak ulał artykuł siedemdziesiąty kodeksu karnego Białoruskiej SSR.

Łącznie zastosowano wobec nas artykuły: 63 pkt. 1, art. 76 i art. 70 .

Nie bardzo wiem, do kogo został dołączony pan Marculewicz. Najprawdopodobniej do Edka, gdyż najbardziej do niego pasował. Edkowi zarzucano kierowanie całą drużyną. Marculewicz zaś, ponieważ nie zniósł stosowanych wobec niego środków fizycznych - sam siebie wrobił na szefa jakiejś - sam nie wiedział jakiej - podziemnej organizacji.

Nie było już tajemnicą, że Krukow oczekuje przywiezienia z obozów na dalekiej Syberii Dajnowicza i Przybylskiego. Klawiszka Ania podczas każdego ze swoich dyżurów na naszym korytarzu w wolnym czasie otwierała "karmuszkę" i z zainteresowaniem prowadziła ze mną rozmowy. Oczywiście nigdy nie zwierzałem się jej z tajemnic śledztwa, które miałem za sobą.

- Aniu - rzekłem pewnego razu - wyglądasz jak przedwojenna harcerka. Masz taką fajną buzię - połaskotałem ją trochę. Co tobą powodowało, że podjęłaś takiej niewdzięcznej roboty?

- Cicho Tadzik, nikomu ani słowa, że należałam do harcerstwa ani też o tym, że my się znamy - mówiła Ania.

Rozmowy prowadziliśmy tylko wtedy, gdy mój towarzysz nie doli - Stasio Możejko był poza celą.

- Aniu, mam do ciebie prośbę. Jest to jedna i chyba jedyna w życiu - zagadnąłem pewnego razu.

- Proszę, mów. Jeśli tylko będę mogła, pomogę - powiedziała bez cienia wahania. Otóż jak zapewne wiesz, oczekuję na rozprawę. Z Dalekiego Wschodu mają przywieźć dwóch świadków /  
których zeznania mają mnie obciążyć. Będą to Dajnowicz i



Przybylski vel Bondarenko. Na podstawie ich zeznań sąd zdecydował o moim dalszym losie. Możesz mnie nawet uratować życie. Chodzi mi mianowicie o to, abyś pomogła nawiązać z nimi łączność natychmiast po ich przewiezieniu, jeszcze przed rozprawą.

I tylko tyle. Mówiąc do niej, śmiało i badawczo patrzyłem w jej oczy. Trochę się wahała. Ale spojrzała na mnie i rzekła:

- Dobrze. Tylko wiesz - ani słowa nawet przed najlepszym kolegą. Tu każdy może zdradzić. Czekaj, aż dam ci znać.

To powiedziawszy zamknęła okienko i odeszła. Od tego czasu, podczas każdego dyżuru jeżeli ~~przez~~ z powodu obecności kolegi w celi nie mogła powiedzieć, to podczas wychodzenia do ubikacji Stasia zawsze puszczałem pierwszego. Sam zaś, ociągając się szedłem daleko z tyłu i wówczas mogłem zamienić z nią parę słów. Jej odpowiedź była ciągle taka sama: jeszcze ich nie ma.

Nadchodziła wiosna 1947-go roku. Czuło się ją nawet w tych ponurych, więziennych murach. Dni stawały się coraz to dłuższe i wlokły się straszliwie. Spędzaliśmy je grając ze Staszkiem w warcaby. Wykonaliśmy je w ten sposób, że szachownicę namalowaliśmy na kawałku płótna kawałeczkiem chemicznego ołówka. Natomiast pionki wykonaliśmy z chleba. Graliśmy z zacięciem przez większość wolnego czasu.

Nadeszła Wielkanoc. Zamiast jajkiem, przełamaliśmy się ze Staszkiem kawałkiem więziennego chleba. Życzyliśmy sobie, aby następne święta były pomyślniejsze, żebyśmy je spędzali w gronie najbliższej rodziny i aby Zmartwychwstający Chrystus wskrzesił nas z obumarcia, na jakie zostaliśmy skazani.

Stasiek był chłopcem bardzo wrażliwym i przy każdym wspomnianiu miał pełne oczy łez. Żałował bardzo swego czynu, że za pomocą kuli zdjął z kobyły Sowietę. Uczynił to będąc w stanie emocji wynikającej ze szczególnego przywiązania do zwierzęcia, którego wyhodował od źrebaka. I tym całą sprawę tłumaczył.

Ja zaś prezentowałem podejście odwrotne. Nigdy nie żałowałem tego, co już minęło. Zdawałem sobie sprawę z tego, że co minęło, to już nie wróci. A gdyby i nawet wróciło, to i tak czyniłbym wszystko to, co by mi polskie sumienie dyktowało. Może tylko z tą różnicą, że umiejętniej, dokładniej i dla dobra ukochanej ojczyzny.

W pierwszej dekadzie kwietnia klawiszka Ania wyprowadzała nas na spacer. Jak zwykle - pierwszy szedł Stasio, a ja - też jak zwykle marudziłem i człapałem daleko z tyłu. Starłem się być jak najbliżej prowadzącej. Czulem, że ona tym razem ma mi coś do powiedzenia. I rzeczywiście, przecucie mnie nie zawiodło.

- Słuchaj uważnie - rzekła, kiedy byliśmy już poza zasięgiem niepowołanych uszu - wczoraj przywieźli obydwóch. Dajnowicz nawet jest na naszym korytarzu. Siedzi w celi nr 39, pierwszej przy ubikacji.

Kiwnąłem głową na znak, że zrozumiałem. Cały czas trzymałem ręce założone posłusznie na tył. Jeszcze tego samego dnia przygotowałem gryps do Dajnowicza. Prosiłem go o złamanie poprzednio złożonych zeznań. Wiem - pisałem, że zrobiłeś to wbrew własnej woli. Proszę cię na miłość Boga - odwołaj poprzednie zeznanie. W ten sposób bardzo pomożesz niewinnym ludziom. Z góry dziękuję - cześć. Tyle napisałem.

Zrobiłem maleńką paczuszkę z tytoniu, i to dobrego tytoniu, który mi zostawił Trop - Kryński. Wiedziałem, że on palił, a dla palacza chleb jest mniej ważny niż tytoń. To zawiniątko zostawiłem w ubikacji. Natomiast inną pocztą dałem znać, że cela 39-ty ma tam coś odebrać i zostawić umowne potwierdzenie.

Już na drugi dzień było potwierdzenie o odbiorze. Przechodząc koło ich celi umyślnie głośno zakaszlałem. To było hasło. Otrzymałem podobny odzew.

Po jakimś czasie otrzymałem pisemną odpowiedź:

- Jestem bardzo słaby, zmęczony podróżą. Zrobię wszystko tak, jak chcecie. Czesiek.

Bardzo się ucieszyłem gdy zdałem sobie sprawę, że "urobiłem" jednego z głównych świadków. Przybylski miał twierdzić, że Dajnowicz mu o tym wszystkim opowiadał. A takie wiązanie sprawy nie będzie takie, jakiego oczekuje sąd. Już zacierałem ręce na myśl, że uda mi się pokrzyżować plany Krukowa. Uważałem, że i tym razem nie postawi na swoim.

W trzeciej dekadzie kwietnia zostałem doprowadzony przed oblicze kapitana Krukowa, który miał przygotowany długi wykaz osób. W czasie przesłuchania przedstawił mi tę listę i pytał, jakie stosunki łączą mnie z każdą z tych osób. Byli to ludzie, którzy już w grudniu 1944-go roku przeszli przez te cele, korytarze i gabinety śledcze. Tylko nielicznym z nich udało się w jakiś sposób "wywinąć". Inni mielili się gdzieś w trybach MGB, jeszcze nieskazani za zdradę sowieckiej ojczyzny. Byli też i tacy, którym udało się ominąć tę instytucję i dostać się do Polski różnymi drogami. Ale też byli i tacy, którzy dotychczas nadal pozostawali na wolności.

ci w tym kraju.

Naszą rozmowę zaczął według utartego już schematu - od kapitana Pawła Kotlarza, który miał ostatni pseudonim "Brylant". Tenże kapitan Paweł Kotlarz już na początku 1945-go roku został skazany tu, w Grodnie, przez wojenny trybunał na najwyższy wymiar kary / tak zwany "wyszak"/. Pomimo to sprawa jego nadal nie była ostatecznie zamknięta.

I tak padały tu nazwiska byłych moich szkolnych kolegów, kolegów z ZHP, nazwiska moich nauczycieli, sąsiadów, byłych urzędników z okresu międzywojennego, bogatszych gospodarzy i ofiarnych patriotów.

Wymieniał też nazwiska: Rynkiewiczów, Lepszów, Kozaków, Mancewiczów, Możejków, Godkowskich, Zaniewskich, Giełdów, Puczyłowskich, Żuków, Sołomów, Soków, Dutko, Chlebowiczów, Jatelów, Lipińskich, Strzebowiczów, Miśkiewiczów, Carów, Sostaków oraz wielu innych.

Krukowowi chodziło o moje związki z tymi ludźmi, gdyż w ich pojęciu oni byli wrogami władzy radzieckiej. Jeżeli więc takie związki istniały, to nie mogło ulegać, że i ja też jestem zdecydowanym wrogiem władzy radzieckiej i radzieckiego narodu.

Na wszystkie pytania moja odpowiedź była wciąż jednakowa i jednoznaczna: niektórych przedstawionych mi ludzi znałem jeszcze ze szkoły i tego oczywiście nie ukrywałem. Innych natomiast znałem z sąsiedztwa. Natomiast nikogo z tych osób nie znałem jako działacza antysowieckiego. Tak przynajmniej twierdziłem.

Wówczas Krukow przedstawił mi kilka przypadków, że niektórzy z tych osób w czasie przesłuchań wymieniali moje nazwisko. Ale z tych oświadczeń moja rola rysowała się nisz-



był jasno. Dotyczyło to szczególnie okresu okupacji niemieckiej.

- Nie przywiązuję do tego większej wagi. Zamykam ten protokół. Uważam, że dowodów twojej winy i twoich kolegów jest aż nadto, aby sąd miał podstawy dołożyć wam conajmniej po dziesięć lat. Spotkamy się tylko jeszcze w celu zapoznania was z materiałami oskarżenia. Dalej, to już sprawa prokuratury i sądu. Na dziś - dowidzenia.

Nigdy mu nie odpowiadałem "dowidzenia". Jak zwykle w takich sytuacjach - skinąłem głową i opuściłem jego gabinet. Oczywiście teraz towarzyszył mi odprowadzający czekista.

Nie zdążyłem wypić podanej mi lury, kiedy ten sam odprowadzający mnie klawisz poprosił mnie na "dopros". Bardzo to mnie zdziwiło. Ale nie pozostało mi nic innego, jak podążyć znaną mi, wąską drogą do pokoju przesłuchań. Znalazłem się w tym samym pokoju, przed tym samym Krukowem. Ale teraz obecny był także pułkownik. Był gruby jak beczka. Miał żydowskie rysy i maniery. Znałem go. Był dowódcą szesnastego odcinka ochrony pogranicza w Grodnie.

Nim Krukow przygotował protokół, szef pograniczników kazał mi wstać i podszedł do mnie tak blisko, że ogromnym brzuchem dotknął mojej klatki piersiowej. Jedną nogą nadeptał na palce mojej nogi, a jednocześnie bezczelnie wiercił mnie swoim wzrokiem. Po chwili powiedział:

- Powiedz, co was łączyło z sowieckimi oficerami pogranicza. Czy kupowaliście od was broń? Czy oni pomagali wam w przechodzeniu przez granicę? Jak to było możliwe, że penetrowaliście cały odcinek granicy w dzień i w nocy, bez przerwy i nigdy nie trafiliście na patrol?

Moja odpowiedź i tym razem nie pozostawiała dla niego żadnych niedomówień:

- Tak znam sowieckich oficerów jak i was znam, obywatelu pułkownika.

Pułkownik nie bardzo chyba w to wierzył. Jeszcze kilka razy przewiercił mnie oczyma, a następnie kazał usiąść. Tymczasem Krukow robił z tego notatkę.

- Podpiszesz? - zapytał, podsuwając mi napisany protokół. Wcześniej mi go rzeczywiście odczytał. Treść jego przedstawiała rzeczywisty przebieg rozmowy.

- Nie, nie podpiszę - odpowiedziałem spokojnie.

- Słyszeliście, towarzyszu pułkownika. I tak jest na co dzień. On stale bezpodstawnie odmawia podpisywania protokółów - powiedział kapitan Krukow zwracając się do pułkownika.

- Niech nie podpisuje. To go i tak nie uratuje. Trafi i tak na szubienicę. Do fortu. Nie ma co się z nim liczyć, bo to niepoprawny element - ciągnął rozwścieczony pułkownik. Aż wreszcie, ku mojej wielkiej uldze, zawołał:

- Nadziratiel, odprowadzić.

Ponownie grzecznie ukloniłem się Krukowowi i wyszedłem z pokoju do swojej celi.

Poprzez grypsy utrzymywałem z Dajnowiczem stałą łączność. Każdorazowo zapewniał mnie, że wszystkie swoje zeznania dotyczące mnie - złamie. Uważałem, że jeśli tak się stanie, to sprawa dalej się przeciągnie. Mimo to byłem zupełnie pewien, że będę skazany, że jest to tylko kwestia czasu. Zbyt ciężkie zarzuty ciążyły na mnie, aby móc "wyskoczyć" na wolność w tym kraju. Istniała tylko nadzieja, że może komuś z naszej

grupy uda się opuścić te niegościnne progi. Pierwszym takim kandydatem był brat mojej dziewczyny Kazio Żywalewski, nasz najmłodszy kolega - w czasie aresztowania nie miał nawet szesnastu lat. Trzymał się dzielnie i mógł być wypuszczony. Drugi to Józek Abłażewicz. Jako trzeci mógł wyskoczyć Janek Rożko, ten za protekcją Ułanowa, Ulianowa i Krukowa.

Z domu otrzymałem potwierdzenie, że pan Trop - Kryński odwiedził nasz dom lub może gdzie indziej spotkał się z moim ojcem. W każdym bądź razie wiedziałem, że rodzina jest zorientowana przynajmniej w części w mojej sytuacji. Od nowo przybyłych z wolności dowiedzieliśmy się, że działalność podziemna na naszym terenie coraz bardziej się kurczyła. Działały jeszcze grupy zbrojne "Niemen Prawobrzeżny" w paśmie począwszy od Druskiennik do Grodna i w stronę Wilna. W ostatnim okresie dużo młodzieży z okolic Wołkowyska i Rosi zapełniało cele farnej parafii. Tu ruch samoobrony miał dobrze zorganizowane ośrodki i grupy zbrojne, popierane przez miejscową ludność. Nękanie były zaś przez kolaborantów. Mieli oni zadanie tym łatwiejsze, że prowadzili walkę przeważnie ze służbą bezpieczeństwa i MWD. My zaś, na dodatek, a może jako dane podstawowe mieliśmy całe wojsko ochrony pogranicza ze "Smerszem" na czele. Mieliśmy też przeciw sobie całą sieć szpicli.

W połowie kwietnia wezwał nas Krukow całą piątką. Wobec nas zastosował artykuł 70-ty obejmujący terror polityczny i w obecności prokuratora przedstawił materiały oskarżenia. Zrobił to z niewielkimi zmianami w stosunku do swoich dwóch poprzedników. Na zakończenie odczytał złożone już po powroci

zeznania Dajnowicza i Przybylskiego. Tu zostałem całkowicie zaskoczony, Pomimo obietnicy Dajnowicz potwierdził w całej rozciągłości złożone wcześniej zeznanie, które mnie zdecydowanie obciążało. Obecna wersja była nieco uzupełniona w stosunku do pierwotnej, ale na naszą niekorzyść, czyli jeszcze było gorzej.

- O, bestio - pomyślałem - musiał cię Krukow czymś polechtać. Najprawdopodobnie obiecał postarać się o zmniejszenie mu wymiaru kary. Być może wyraził zgodę na przekazanie paczki.

- Czemu cię wówczas odłamek trafił tylko w nogę - pomyślałem. Bo było kiedyś takie zdarzenie, że odłamek trafił go w nogę.

Na zakończenie śledczy - jak zwykle - zapytał:

- Co macie na uzupełnienie aktu oskarżenia - który był zawarty w dwóch tomach. Akta nosiły nr - jeśli dobrze pamiętam: 12812.

Ten akt oskarżenia był tak pełen ścisłości i nieścisłości, że nic dodać i nic ująć. Nikt z nas na żadne uzupełnienie nie miał chęci.

- Podpiszecie, że zostaliście zapoznani z materiałami oskarżenia - zapytał Krukow.

- Nie - odparliśmy chórem.

Krukow to pytanie powtórzył każdemu z nas oddzielnie. Za każdym razem otrzymał taką samą odpowiedź.

W tej sytuacji sporządził więc stosowną klauzulkę, że w obecności prokuratora zostaliśmy zapoznani z aktem oskarżenia i jednocześnie odmówiliśmy podpisania, co swoim podpisem - tym razem - sam prokurator.



Trzeci akt dramatu młodzieży polskiej, zamieszkałej po wschodniej stronie przekłętej linii Curzona zbliżał się ku końcowi.

W ponurym nastroju wróciłem do swojej celi nr 42. O dziwo, nie zastałem już w niej Staśka Możejki. Mieli go wieźć do jego miejscowości i tam sądzić pokazowo.

Jeszcze tego samego dnia wrzucono do mojej celi mężczyznę lat około pięćdziesięciu o nazwisku Lipski lub Lipiński. Był to starszy, bardzo kulturalny pan. Przedstawił mi się jako ostatni starosta lidzki. Na tym terenie przetrwał Sowieci w 1939-tym roku, przetrwał okupację niemiecką aż w 1945-tym roku został wytropiony i aresztowany. Nowy współlokator niewiele o sobie mówił. Po kilku dniach pobytu we wspólnej celi dowiedziałem się tylko, że był on z Piłsudskim w Kijowie, wracał z nim w stronę Warszawy. Następnie podążał w zwycięskim marszu daleko na wschód, by tam zakończyć swoją kampanię.

Jak już chyba wspominałem, przy każdym wyjściu na spacer kierowaliśmy nasz wzrok na więź, która była tuż nad murem więziennym. Na szczycie wieży był jeszcze krzyż, którego nie sięgła jeszcze ręka moskiewskiego faraona. Wiszące nieco niżej dzwony, które od wieków zapełniały dolinę Niemna, zostały natychmiast po wejściu wojsk sowieckich unieruchomione. Wielki zegar, pamiętający czasy dobre i złe został uszkodzony w czasie działań wojennych do tego stopnia, że dotychczas jeszcze nie spełniał swojej funkcji. Tylko czyjaś, niewidzialna ręka przesuwiała jego wskazówki. My, siedzący tu za murem, odbieraliśmy to jako dobrą nowinę, która napawała nadzieją nasze zbolące serca. Później, wielokrotnie w celi dyskutowaliśmy na ten temat.

Nie wiedzieliśmy wówczas nawet, jaką krzywdę czynimy naszymi domysłami człowiekowi, który w ten sposób chciał nas wesprzeć duchowo.

"Czeka" miało wśród nas swoich "uszatków", którzy relacjonowali swoim mocodawcom nawet najdrobniejsze szczegóły, w wyniku czego powiększało się grono ofiar reżimu. Tym razem - jak nam było wiadomo - o kościelnego farnej parafii. Ten człowiek wkrótce znalazł się po naszej stronie murów, a wskazówki zegara przestały zmieniać swoje pozycje. Z naszego okna, przez szczeliny w "namordniku" był widok na północną stronę Grodna, na zamek Stefana Batorego. Bliżej zaś, u zbiegu ulicy Dominikańskiej i placu Batorego stał kiedyś kościół garnizonowy, po którym została tylko kupa gruzów. To nie bomba obróciła go w stos gruzów lecz władza radziecka przy pomocy ładunków wybuchowych dokonała zniszczenia tego zabytku sakralnego, wzniesionego przed wiekami i w innych czasach.

Z panem Lipskim, a być może Lipińskim - dokładnie nie pamiętam - mieszkaliśmy niedługo. Wkrótce otrzymałem zawiadomienie, że została / sprawa / skierowana do prokuratury wojennej, a ta zaś za kilka dni oznajmiła na piśmie, że sprawę przekazano do rozpatrzenia przez wojenny trybunał wojsk MWD dla województwa grodzieńskiego. Ten zaś - nie zwlekając - po informował, że nasz proces odbędzie się 29-go kwietnia 1947 roku.

Cóżdo trzech razy sztuka - nawiali starzy. Zbliżał się dzień, w którym należało już po raz trzeci stanąć przed wojennym trybunałem. Koronnymi panami życia lub śmierci byli dwaj panowie przywiezieni z obozów świadkowie: Dajnowicz i Przybylski

Od nich w znacznej mierze zależało, ile lat wymierzy nam wojenny trybunał. Jaka szkoda, że kiedyś, w przeszłości, uratowaliśmy im życie nad od swoich, ręką za nich głowami. Uznawaliśmy jednak, że zemsta nie jest dobrym drogowskazem szczególnie dla nas - katolików. Fatalnie bowiem kończyli ci, którzy obrali zemstę za gwiazdę przewodnią.

Prawdą jest, że w działalności podziemnej nie ma miejsca na sentymenty. Tu działają prawa bezwzględne. Ważna jest przede wszystkim dyskrecja. A kiedy ona została naruszona, osoby te powinny być wyizolowane tak, jak izoluje się bakterie szkodzące całemu organizmowi. I tak właśnie powinno w tym wypadku być.

A stało się inaczej. Igraliśmy z ogniem i doigraliśmy się i doszło do tego, co się stało.

W przeddzień rozprawy, późnym wieczorem przewieziono "Sukę" nas z więzienia centralnego - o dziwo - znowu na Grandzicką. Ponownie trafiliśmy do "Smerszu". Niedługo było już żołnierzy z ochrony, których znaleźliśmy z poprzednich tu naszych pobytów. Należało się domyślać, że zostali zdemobilizowani. Jako starzy "zakluczeni" wcale nie braliśmy do serca wrzasków żółtodziobów. Rozrzucano nas po różnych celach tak, żebyśmy nie mogli nawiązać między sobą łączności. Tym razem trafikiem do celi nr pięć, w której było kilku ludzi. Wśród nich rozpoznałem z niemałym trudem Alka Puciłowskiego z Dziemitekowa, które między swymi nazywaliśmy Tatarkowce. Alek został aresztowany w grudniu 1944-go roku, podczas pierwszego uderzenia w żołnierzy Armii Krajowej. Wówczas to aresztowane ze Strupki braci Pawłowskich: Adolfa o pseudonimie "Dąb", który był dowódcą patrolu zbrojnego, ubezpieczającego dowódcę drugiego batalionu osiemdziesiątego pierw-



szego pułku strzelców grodzieńskich, kapitana Pawła Kotlarczyka - ostatni pseudonim "Brylant". On też, w czasie tej samej akcji "Czeka" został aresztowany, wraz z łączniczką "Lucyną" z Pieśli.

Od nas wówczas aresztowali Pawła Dzienisika. Wprawdzie jemu przedstawiono inne zarzuty, ale on doskonale orientował się w naszych sprawach konspiracyjnych i dlatego bardzo baliśmy się, aby nas nie "sypnął".

Puciłowski, po skazaniu go na dziesięć lat łagrów - jak również i Paweł Dzienisik - zostali razem wywiezieni do Komi ASSR. Byli tam razem w obozie. Razem też pracowali w sowchozie. Mieli tam o tyle dobrze, że prawie zawsze można było coś "podciągnąć" do zjedzenia.

Tu się od niego dowiedziałem, że Paweł zapadł na bliżej nieokreśloną chorobę. Odczuwał bardzo silny ból głowy, który doprowadził do śmierci. Zmarł na rękach kolegi, prawie sąsiada - Aleksandra Puciłowskiego. Został na zawsze w wiecznie zmarzniętej ziemi, ziemi obcej, północnej, dzikiej, zorzą polarną oświetlonej.

Paweł bardzo kochał Jankę, kochał syna i córkę. Widocznie bardzo martwił się o nich /nabrał do głowy/ i to chyba było przyczyną zgonu, do którego doszło tuż przed Bożym Narodzeniem 1946-go roku. Sen, który śniłem kiedyś na więziennej pryczy w pełni się sprawdził.

Alek Puciłowski kilkakrotnie odwoływał się od wyroku do najwyższych władz radzieckich. W następstwie tych zabiegów został skierowany na ponowne śledztwo i na ponowną rozprawę, tak zwany "pieresud". Bywało często tak, że "pieresud" podwyższał wyrok - dokładając jeszcze raz tyle. Alek Puci-



łowski twierdził, że i tego żałować nie będzie, bo za ten pobyt w kochanym Grodnie można dostać kolejne dziesięć lat. W kącie celi po cichu dużo opowiadał o Komi SSR, o obozach, o etapach i przesyłkach. Wiele uwagi poświęcił też rozprawie "Brylanta", podejrzewając nawet co niektórych o jego "sypnięcie".

- Karę śmierci - mówił Alek - "Brylant" przyjął bardzo rozczulony. Jak wiem - mówił dalej - została mu ona zamieniona na dwadzieścia pięć lat obozów pracy.

Przedostatni dzień kwietnia 1947-go roku - w tym dniu na dworze pachniało wiosną. W tym dniu kończyło się dokładnie jedenaście miesięcy naszej gehenny. Już w godzinach rannych zaczęło się doprowadzanie nas na salę rozpraw. Zaczęliśmy zajmować miejsca. Ja usiadłem jako pierwszy. Koło mnie zasiedli: Antek Hołownia, Marian Olszewski, Józek Hołownia, którego ujęto dopiero po roku pobytu w Polsce - Józef Dziergawko /jego ujęto w Polsce po rocznym pobycie/.

Wszystkie oczy zwróciły się na mnie, ponieważ w grupowej sprawie od numeru pierwszego bardzo wiele zależy. Postanowiłem, że będę się bronił dzielnie tak, jak poprzednio Edek Olszewski - przyjmując pierwsze uderzenie. Po przeciwnej stronie - jak poprzednio - miejsca zajęli: przewodniczący trybunału - kapitan Wiktor Gryszyn, dwóch sierżantów pograniczników jako ławnicy, oskarżyciel publiczny - tak jak poprzednio - pułkownik Rogow i jakaś tam sekretarka.

Z naszych rodzin nikogo na salę nie wpuszczono. I to był podstawowy powód, dla którego przywieziono nas na ulicę Grandzicką, gdyż na obiekt wojenny wejście bez specjalnej przepustki nie jest możliwe. Wiadomo było, że przepustkę dostanie

tylko ten, który jest im potrzebny. Może to być tylko ktoś taki, kto zostanie przywieziony tu tak jak my.

Jak poprzednio - rozprawę otworzył sędzia, kapitan Griszyn. Odbyło się to z zachowaniem wszystkich prawniczych reguł gry. Odczytał prawie niezmienny akt oskarżenia, który był uzupełniony tylko o artykuł siedemdziesiąty. I tak jak poprzednio - zaczęło się zadawanie pytań.

— Czy oskarżony przyznaje się do przestępstw zawartych w akcie oskarżenia ?

We wszystkich przypadkach odpowiedź były jednakowa:

- Nie.

Po upływie godziny poprosiłem przewodniczącego o przerwę, gdyż mam rozstrój żołądka i koniecznie muszę udać się do ubikacji. Tym razem Griszyn był wyjątkowo uprzejmy i zezwalał na to każdemu, kto o to prosił.

- No cóż, nam też należy się przerwa na posiłek. Ogłaszam przerwę na pół godziny - rzekł z ironią Griszyn.

Po tej przerwie strona nam przeciwna tylko oblizywała się i mlaskała ozorami. My natomiast tylko lizaliśmy ślinę. Dostawaliśmy wręcz skrętu kiszek z głodu.

- Rozpoczynamy ~~przez~~ rozprawę po przerwie, rzekł sędzia. Na samym początku poprosiłem o głos, sędzia łaskawie zezwolił.

- Proszę obywateli sędziów. Jak widzę - spożyliście posiłek. Czas naszego więziennego obiadu również minął. Jak zauważyłem - żołnierze konwojenci również nic w ustach nie mieli. A przecież i oni też są ludźmi. Proszę o wydanie należnego nam obiadu.

Po wygłoszeniu tego oświadczenia usiadłem na ławie os-

karzonych.

Na twarzach kolegów, a nawet i konwojujących ukazał się lekki uśmiech. Prokuratorowi aż szczeka zadrżała ze złości. Natomiast sędzia z wyjątkowym spokojem, z wyszukaną kurtuazją grzecznie ogłosił:

- Ach tak. Zapomnieliśmy. Ogłaszam półgodzinną przerwę na spożycie obiadu przez oskarżonych i żołnierzy konwoju. Naczelnik konwoju - załatwić tę sprawę - rozkazał.

To oczywiście była taka sobie gra na zwłokę. Myśmy wiedzieli, że zostaniemy skazani. Oni natomiast wiedzieli, że nas posadzą.

Po tej przerwie zaczęto przesłuchiwać Dziergawkę. On nie zaprzeczał, że przekroczył granicę i przeszedł do Polski w 1945-tym roku razem z grupą dowodzoną przez kapitana Sokoła. Nie zaprzeczał też i innym zarzutom, między innymi nie zaprzeczał, że uczestniczył w akcjach wymierzonych przeciw tajnym agentom MGB. Przyznał, że brał udział przeciw swojemu sąsiadowi Onoszko, który był takim tajnym agentem. Wysługiwał się im /Onoszko/, ile się tylko dało, na co były dowody, niewątpliwe dowody.

- Natomiast żadnego z ludzi tu obecnych nie znam i nie wspólnego nie miałem i w żadnych akcjach z nimi nie uczestniczyłem. Jak się zdołałem zorientować w czasie rozpraw sądowych - padli oni ofiarą bezmyślności przedstawionym tu im świadków, zwłaszcza Przybylskiego.

Przesłuchanie Dziergawki zakończyło rozprawę w tym dniu trzydziestego kwietnia 1947-go roku - też był piękny, wiosenny poranek. Z rana zjedliśmy bardzo skromne, aresztanckie śniadanie i skierowano nas na salę rozpraw. Tu miał nastąpić

dalszy ciąg spektaklu.

Griszyn zarządził przesłuchania świadków. Jako pierwszy został wezwany na salę rozpraw Paweł Narejko, Białorusin, członek Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi, szewc z zawodu, emisariusz sowiecki, poborca podatków na naszą gminę. Sąd zapytał:

- Czy świadka obrano z gotówki jako poborcę podatków?
- Tak, dwukrotnie - odparł Narejko.
- Czy świadek rozpoznaje kogoś na ławie oskarżonych, kto by przypominał rabusiów? - zapytał sędzia.
- Znam od dziecka tych młodych ludzi, siedzących teraz na ławie oskarżonych. Żaden z nich na pewno nie brał udziału w napadzie rabunkowym. Ten nieznamy - tu wskazał na Dziergawkę - też na pewno nie uczestniczył w tych akcjach. Tych młodych ludzi znam tylko z dobrej strony. Więcej nie więcej nie mogę dodać - zakończył świadek swoje zeznanie.

Następnym świadkiem był ów tajny agent MGB - Onoszko, ze wsi Trochiny nieopodal Odelska. Jako agent zeznawał:

- Jako agent oświadczam, że w kilku napadach i zasadkach na mnie brał udział spośród obecnych tylko oskarżony Dziergawko. Co do pozostałych - nie mam pewności, gdyż nigdy oko w oko z nimi się nie spotkałem, stwierdził Onoszko nie tając przy tym, że jest agentem tej zbrodniczej instytucji.

Jako przedostatni na salę rozpraw został wezwany Przybylski vel Bondarenko. Przedstawiał on bardzo żaloszny wygląd: wszedł na salę bardzo chudy, obdarty. Na salę wszedł chwiejnym krokiem. Tępy, mglistym i beznadziejnym spojrze-



nien ogarnął sędziów, konwojentów i nas - oskarżonych. Na jego białym czole wystąpił pot. Zajął wskazane mu miejsce dla świadka.

- Jan Przybylski vel Bondarenko lat osiemnaście, skazany z artykułu sześćdziesiąt trzy, siedemdziesiąt trzy i siedemdziesiąt na piętnaście lat obozów poprawczych pracy, występuje jako świadek w sprawie siedzących tu na ławie oskarżonych ludzi - oznajmił Griszyn.

Żał mi było tego młodego chłopca, z którego, po półrocznym pobycie w sowieckim więzieniu zostały tylko szczątki. Czy i ja po roku też będę tak wyglądał? - Zadawałem sobie takie pytanie. Nie widziałem i nie wiedziałem, jak w oczach innych wyglądam obecnie.

Pierwsze pytanie brzmiało:

- Niech świadek nazwie po imieniu i nazwisku wszystkich siedzących na ławie oskarżonych.

Przybylski bez trudu wymienił nasze imiona i nazwiska z wyjątkiem Dziargawki, którego nie potrafił bezbłędnie nazwać.

- Co wiecie - zapytał Wiktor Griszyn - o ich antyradzieckiej działalności.

- Wiem, że ci, którzy tu siedzą, tworzyli ścisły związek antysowiecki. Mieli broń i przeprowadzali całe grupy uciekinierów na drugą stronę granicy, przeważnie do Starej Dąbrowy, do Żuka. Wiem, że brali udział w akcjach terrorystycznych, napadali na agentów władzy radzieckiej. Wiem, że Tadeusz przychodził do Marculi i opatrywał tam rannego w nogę Dajnowicza - mówił Przybylski, coraz częściej wciągając całą pierś powietrze, krztu-

sząc się coraz bardziej.

- Odpocznijcie trochę - rzekł sędzia, zwracając się do świadka. A po przerwie znowu zapytał:

- Co świadkowi wiadomo o rodzaju broni i amunicji i ukrywania / chodzi o miejsce / - zapytał Griszyn.

Przybylski podniósł się i z wyraźnym trudem zaczął montować odpowiedź:

/ Zbiórki odbywały się przeważnie u Olszewskich. Tam oskarżeni pili, śpiewali i śpiewali anbyradzieckie piosenki. Broni to ja nie widziałem. Podejrzewam, że gdzieś w pobliżu musiał być schron i tam musiała być ukryta.

Kiedy mieszkałem u Marcuła - ciągnął dalej Przybylski - Tadeusz przychodził i robił opatrunki Dajnowiczowi, który po jednej z akcji w strefie przygranicznej został ranny. Dajnowicz opowiadał mi, że w tej akcji brał udział Tadeusz, Marian, obaj bracia Hołowniowie oraz ten, który tu siedzi - i wskazał ręką na Dziergawkę.

/ Starczy - rzekł sędzia, a po chwili dodał:

- Pytania do świadka?

- Są - odparłem pierwszy. Czy świadek widział osobiście cokolwiek ze stwierdzonych faktów czy też tylko słyszał o tym od innych osób? - zapytałem.

Przybylski odparł bez namysłu:

- Widziałem jak przychodziłeś i robiłeś opatrunki ranemu Dajnowiczowi. O innych sprawach opowiadał mi Dajnowicz. Widzieć - nie widziałem.

Padło jeszcze kilka pytań, na które świadek nie był w stanie wyraźnie odpowiedzieć, powołując się na niepanięc. Jeszcze raz poprosiłem o głos:

- Wysoki sędzie - powiedziałem - stojący obok nas świa-

dek Przybylski wygląda na człowieka chorego, cierpiącego na niepanię, chwiejącego się na nogach. Proponuję, aby komisja lekarska orzekła jego poczytalność. Uważam bowiem, że tylko człowiek zdrowy może właściwie odtwarzać z ~~xx~~ pamięci miniony okres.

- Dość - przerwał sędzia - chcecie psychicznie wpłynąć na świadka. To wam się tu nie uda.

Przybylski spojrział w naszą stronę, może nawet i poczuł się urażony, gdyż nie prosząc o głos rzekł:

- Pobędziecie tam, gdzie ja byłem to zapłaczecie od pieśni wesolej.

Sędzia ruchem ręki nakazał odejście świadka i nakazał wprowadzenie Dajnowicza. W tym czasie poderwał się Marian Olszewski. Prosił o głos z pytaniem do świadka. Sędzia zezwolił.

- Czy to prawda - zapytał Marian - że przebywając w areszcie śledczym w okresie prowadzonego dochodzenia oficerowie śledczy nagradzali świadka prezentami w postaci produktów żywnościowych i innych przedmiotów uzyskiwanych z paczek przekazywanych innym więźniom?

- Tak - odparł nieśmiało Przybylski. Otrzymywałem żywność a nawet jeden raz Ułanow dał mi nowe, sowieckie buty.

Sekretarka była tym wyraźnie zaskoczona i nie bardzo wiedziała, czy zanotować odpowiedź Przybylskiego.

- Proszę o dokładne zaprotokółowanie tej odpowiedzi - zwróciłem się do sędziego.

Sędzia skinął głową w stronę sekretarki. Był to prawdopodobnie znak umowny. Sekretarka natychmiast zaczęła coś pisać bądź też udawać, że pisze.

W międzyczasie wprowadzono Dajnowicza. Wiedzieliśmy, że nasz los był w jego ręku. Serce mocniej zakopotało w pierśsiach. Nasze oczy były zwrócone w jego stronę. W myśli zadawałem sobie pytanie:

- Dotrzyma obietnicy czy nie dotrzyma?

Dajnowicz chwiejnym krokiem zbliżał się do miejsca, z którego świadkowie składali swoje zeznania. Był blady, obdarty i stanowił cień tego, który kiedyś nazywał się Dajnowiczem.

- Wasze dane personalne - zwrócił się sędzia do skazańca i zarazem koronnego świadka.

- Dajnowicz Czesław, lat dwadzieścia dwa, Polak, skazany z artykułu sześćdziesiąt trzy § 1, art. 70 i 76 na dwadzieścia lat katorżnych robót - mówił coraz wolniej Dajnowicz, wcale przy tym nie patrząc w naszą stronę.

- Oj, niedobrze - pomyślałem - chyba kupili go po raz drugi.

- Gdzie byliście w obozie - pytał sędzia.

- W Magadanie - odparł krótko Dajnowicz.

- Szkoda was, młodzi jesteście, będę wnioskował, aby wam trochę zmniejszyli karę i nie wieźli tak daleko - ~~xxx~~ rzekł niemal czule Griszyn.

Dajnowicz na słuch nie chorował. Blady uśmiech zdrady błysnął na jego policzkach.

- No, kupił - pomyślałem.

To był dobry chwyt doświadczonego czekisty. Zdobył nędznika tym podejściem bez reszty. Zgasła ostatnia iskra nadziei. Frągnąłem tylko, aby przynajmniej nie zechciał uzupełniać swoich poprzednich zeznań dodatkowymi oskarżeniami.



On ci pomoże - pomyślałem. Pomoże - ale umrzeć przed czasem - panie Dajnowicz.

- Czy znacie ludzi siedzących na ławie oskarżonych - zapytał sędzia, zwracając się do świadka.

- Znam wszystkich - odpowiedział Dajnowicz i wymienił nas wszystkich z imienia i nazwiska poczynając ode mnie, a kończąc na Dziergawce.

- Dajnowicz, czy potwierdzacie swoje poprzednie zeznania obciążające oskarżonych - zapytał sędzia.

- Tak, potwierdzam - nieco głośniejszym głosem rzekł Dajnowicz. Mówiąc te słowa skierował wzrok w stronę swojego dobroczyńcy, sędziego Griszyna.

- O, ty kanalio, bestio. Wykarmiliśmy ciebie. Opatrywałem ciebie, kiedy byłeś ranny. A ty nam tak się odwdzięczasz - pomyślałem prawie głośno.

Na polecenie sędziego Dajnowicz głośno powtórzył swoje poprzednie zeznanie, uzupełniając je obficie dosadnymi określeniami.

- Należeli do Armii Krajowej. Posiadali broń. Brali udział w akcjach zbrojnych przeciwko tajnym agentom waszym. Przeprowadzali przez granice do Polski. Przyjmowali przychodzących stamtąd. Fałszowali dokumenty na wyjazd do Polski w sposób nielegalny. Przechowywali osoby ukrywające się przed wymiarem sprawiedliwości, czego dowodem jestem ja /Olizarowicz i Przybylski oraz tu siedzący Dziergawko. A było ich znacznie więcej. Byli tam: Żuk, Sołoma, Byczkowski - nie potrafię wszystkich wymienić.

Skonczył i było widać, że jest zmęczony swoim szczerym przeżyciem.

To było bardzo wiele. Z tego można było się nie wyliczać. Zerwałem się na równe nogi:

- Proszę o głos - zawołałem.

- Przjdzie na to czas - rzekł uspokajająco sędzia z nieukrywaną satysfakcją i dodał:

- Tego już w zupełności wystarczy. Załatwię was jak Szwedów pod Połtawą. Ogłaszam dwudziestominutową przerwę - poinformował na zakończenie.

Jasne było jak w słoneczny dzień, że jest to już ostatni akt spektaklu, który nazywa się w tym wypadku rozprawą sądową w obliczu trybunału lub jeszcze inaczej - można to nazwać tak, jak kto chce.

Po przerwie strona przeciwna nie ukrywała zadowolenia. Griszyn otworzył dalsze posiedzenie sądu dodając jednocześnie, że zbieranie materiałów przez oskarżenia uważa za zakończone. Następnie udzielił głosu oskarżycielowi publicznemu w osobie pułkownika Rogowa.

Prokurator podniósł się dumnie, coraz nadymając tłustawe policzki, poprawił sztywny kokierz swojego munduru ozdobionego złotymi naramiennikami, chrząknął, przełknął ślinę i zaczął typowym, oskarżycielskim tonem:

- Wysoki sędzie, Wysoki trybunale, obywatele sędziowie. Ani przez chwilę nie wątpiłem, a obecnie mogę też z całą pewnością powiedzieć, że tu przed wami siedzą wrogowie naszej sowieckiej ojczyzny, terroryści i działacze antysowieckiej, podziemnej organizacji o nazwie Armia Krajowa.

- Uważam, że słusznie zostały zastosowane najcięższe artykuły naszego kodeksu karnego, opiewające wymiar kary od pięciu lat pozbawienia wolności aż do kary śmierci włącznie.

Oskarżeni dopuścili się zdrady sowieckiej ojczyzny. Oskarżeni posiadali broń, której używali w akcjach zbrojnych wymierzonych przeciwko przedstawicielom naszej władzy i wojska. To oni dążyli do przewrotu naszego systemu. To oni dążyli do przywrócenia Polsce ziem w granicach sprzed 1939 roku. Ich działalność była wspierana przez kraje zachodnie o ustroju imperialistycznym. To, że nie udowodniono tego czy innego przestępstwa - to tylko nieudolność naszej służby śledczej.

Działalność tych ludzi uważam za wielce szkodliwą i wnoszę o najsurowszy wymiar kary, adekwatny do stopnia ich winy.

- Oj, niedobrze - pomyślałem, łącząc słowa "najsurowszy" z najwyższym wymiarem. Doigraliśmy się, ale miałem satysfakcję, że tanio skóry nie sprzedaliśmy. Nie jesteśmy Dajnowiczami ani Przybylskimi. Nikt nie narzeka, że przez nas znalazł się za kratkami. Wręcz odwrotnie: żywny nadzieję, że kilku - nie licząc Rożki opuści te mury bez wyroku i wyniesie tajemnicę z jaskini "Czerwonego Smoka" poza obręb sali sądowej. Ludzie dzięki nim dowiedzą się, że myśmy zginęli wierni Polsce i narodowi.

Rozmyślenia moje przerwał Griszyn.

- Słyszeliście wystąpienie prokuratora? W pełni i poważnie was oskarża. Co macie na swoje usprawiedliwienie? Zapytał. To wasze ostatnie słowo.

Wskazując na mnie jako na pierwszego w sprawie, niejako uznawał mnie za przywódcę grupy. Ostatnie słowa prokuratora tak mnie oszołomiły, że przez jakiś czas nie bardzo wiedziałem, o co chodzi.

- Do was zwracam się - rzekł sędzia wskazując na mnie ręką.

Wstałem, podciągnąłem stale opadające spodnie, bo nie miałem paska. Myśli jak czarne kruki latały mi po głowie, złowieszco krążąc, bo po raz pierwszy poczułem się bezradny. Mało odporny nerwowo, nie mogłem się opanować. A sędzia po-  
naglał. Zacząłem.

- W toku rozprawy, która trwa już piąty dzień powiedziałem wszystko, co miałem do powiedzenia. I to, że jestem Polakiem. I to, że obywatelstwa sowieckiego nigdy dobrowolnie nie przyjąłem. I to, że uważam się za niewinnego. Nie jestem nic winien ani państwu ani narodowi sowieckiemu. Moją ojczyzną jest Polska, której nigdy nie zdradziłem i nie zdradzę. To wszystko co miałem do powiedzenia. Reszta należy do was, obywatele sędziowie.

Tak skończyłem i ciężko opadłem na ławę oskarżonych, już chyba po raz ostatni.

Po mnie kolejno głos zabierali: Antek, Józek, Marian - wszyscy w podobnym tonie. Każdy z nich stwierdzał swoją niewinność, każdy z nich podkreślał, że jest Polakiem i że sąd radziecki nie ma prawa nas sądzić.

Ostatni głos zabrał Dziergawko, który owszem - przyznał się, że nie jest bez winy, że bezwzględnie tropił swojego sąsiada Onoszko, który okazał się agentem "Czeka". Ale porachunki te były dawniejsze, w zasadzie o charakterze sąsiedzkim. Były to sprawy typowe: o przysłowiową miedzę, o zniesławienie siostry Dziergawki przez Onoszkę i temu podobne. Na zakończenie jeszcze raz podkreślił, że z nimi nie miał nic wspólnego i że padliśmy ofiarą złośliwości Dajnowicza



i Przybylskiego.

Następnie sąd udał się na naradę. Byłem pewien przegranej. Nie wiedzieliśmy tylko jeszcze, jakie są rozmiary naszej porażki. Nerwy dawały znać o sobie. Palce mimowolnie kaskotały kolana - tym razem własne. Nogę zakładałem na nogę, to znowu zmieniałem ich pozycję. Chłopcy od czasu do czasu wzdychali. Jednym słowem - nie chciało się już dalej żyć.

Żołnierze konwojujący co raz upominali nas za niewłaściwe zachowanie się. Czas się dłużył. Napięcie wzrastało. Aż wreszcie padła komenda:

- Wstać, sąd idzie.

Na ogłoszenie wyroku weszli nasi oprawcy: Roman, Sławin, Krukow. Nie było dzikiego Ułanowa i umiarkowanego Ulianowa. Nie wpuszczono ani świadków ani też nikogo z naszych rodzin. Sąd, jak również publiczny oskarżyciel zajęli swoje miejsca i kapitan Griszyn z całą powagą jak typowy przedstawiciel sowieckiej Temidy dobył z tekturowej teczki kilka arkuszy papieru, zaś dał znak - abyśmy wstali. Konwojenci na tychmiast wykonali jego polecenie, rozkazując się nam się podnieść. Wówczas to przewodniczący wojennego trybunału wojsk MGB dla województwa Grodzieńskiego - kapitan Wiktor Griszyn doniosłym głosem zakomunikował:

- W dniach 29-30 kwietnia 1947-go roku wojenny trybunał w składzie tu obecnym z udziałem oskarżyciela publicznego pułkownika Rogowa rozpatrzył sprawę - tu wymienił nasza nazwiska - oskarżonych o zdradę sowieckiej ojczyzny w zorganizowanej grupie pod nazwą Armia Krajowa, a w późniejszym okresie Wolność i Niezawisłość - działający w ścisłym związ

ku z podziemiem antyrządowym ,dokonała na terenie województwa grodzieńskiego licznych terrorystycznych aktów na ludziach oddanych sowieckiej władzy, naruszeń granicy państwowej, wspomaganie grup zbrojnych działających na tym terenie i w strefie przygraniczanej. Oskarżeni do końca trwali przy swoich przekonaniach. Przeczą wszystkiemu. Nie zdali posiadanej broni co oznacza, że nadal żyją nadzieją jej wykorzystania przeciw władzy sowieckiej. Krnąbrni, nieprzekonani. Nie przyjęli i nie przyznali się dobrowolnie do przedstawionych im zarzutów.

Organa śledcze udowodniły im i sądowi ich winę. W tej sytuacji sąd uznał wszystkich tu oskarżonych winnymi zarzucanych im przestępstw i na tej podstawie art. 63 pkt. 1 oraz art. art. 76 i 70 - skazał:

- Tadeusza Olizarowicza, pseudonim "Kuna" - na dziesięć lat poprawczych obozów pracy, a po ich odbyciu na dożywotnią zsyłkę, a ponadto na konfiskatę przypadającego na jego osobę przypadającego mu mienia posiadanego przez jego rodzinę.

Odetchnąłem z ulgą. Co tam było - jak mówią Rosjanie - dziesięć lat. To "tylko" dziesięć lat: zima - lat, zima - lato i tak od dzwonka do dzwonka. Przeżyjesz obóz to zginiesz na zsyłce. Pomimo wszystko żyć się chce. Nie umarły przecież wszystkie nadzieje.

A sędzia czytał dalej:

- Antoni Hołownia, Józef Hołownia i Marian Olszewski również po dziesięć lat "ITL" /obozów pracy poprawczej/ oraz takie same "dodatki".

- W stosunku do wyżej wymienionych sąd zastosował stosun-

kowo łagodny wymiar kary z uwagi na ich młodociany wiek uważając, że padli ofiarą wyrafinowanych przestępców w wieku dorosłym.

- Oskarżony Józef Dziergawko został skazany na dwadzieścia lat katorżnych robót w oddalonych rejonach Związku Radzieckiego. Następnie czekała go wieczna zsyłka i konfiskata mienia w całości.

W uzasadnieniu do Dziergawki dodał, że świadomie walczył z władzą radziecką, przechodził granicę w zbrojnej grupie porucznika "Sokoła" do Polski, gdzie również prowadził działalność przestępczą. Tam został zatrzymany przez polską służbę bezpieczeństwa i przekazany dla sowieckiego kontrwywiadu "Smersz" po to, aby mógł stanąć przed sowieckim wymiarem sprawiedliwości w Urodnie.

W sali zaległa grobowa cisza. W sumie - może oprócz tylko Dziergawki - zadowoleni. Liczyliśmy na więcej, chociaż i to nie miało znaczenia. Bo któż z nas mógł liczyć na przetrwanie chociażby i pięciu lat w "ITL".

Dziwny to kraj, w którym po otrzymaniu dziesięciu lat pozbawienia wolności i wieczną zsyłkę człowiek był prawie gotów pocałować sędziego w rękę. Bo jak mówiłem - spodziewaliśmy się więcej. Dziesięć lat - pestka, co to tam było dziesięć lat. To wprost chluba Polaka.

Zaległą ciszę przerwał Griszyn informując, że wyrok nie jest prawomocny. Każda ze stron ma prawo w terminie siedmiu dni odwołać się do wyższej instancji sądowej.

Na tym rozprawę sądową zamknięto. Sąd wyszedł. Prokurator również. Śledowaciele - dwaj Żydzi: Romans i Sławin oraz Krukow - jak to nam wcześniej obiecali - doprowadzili sprawę do końca.



Byli bardzo zadowoleni. Wyraźnie triumfowali zwycięstwem. Trzymajcie się chłopcy- rzekłem do kolegów- już niewiele zostało, tylko jeden miesiąc i dziewięć lat. Z tym, że termin odbywania kary zaliczony od 29 maja 1946 roku, równo było- dziewięć lat i jeden miesiąc.

Opuściliśmy salę już jako skazani. Ze sporym bagażem więziennego doświadczenia, z dziesięcioletnim wyrokiem, ze smutkiem w sercu, że to w naszym Grodnie ktoś obcy, ktoś daleki zadał nam taki cios, którego blizny pozostaną do ostatnich dni naszego życia. I tak się zamknął jeden z tragicznych rozdziałów mojego życia.

Z sądu do więzienia centralnego. Z więzienia zabraliśmy tylko swoje rzeczy i już do celi dla tzw. więźniów skazanych. Cele ogólne, ogromne. Wprawdzie w tym czasie jeszcze nie przechodziliśmy kwarantanny. Kwarantanny były gorsze od wszystkiego, gdyż w kwarantannach spotykali się skazani z różnych paragrafów i szczególnie trudno było "dysze". Kryminalni grabili więźniów politycznych tzw. kontryków. Trafiliśmy do celi numer 22. Cella około 60-ciu ludzi. W celi byli również ci, którzy wracali z odległych obozów, przyjeżdżali na świadków, na ponowne śledztwo, na uzupełnienie śledztwa. W celi można było dużo się dowiedzieć o obozach- jakie, gdzie. Cella była to chodząca encyklopedia, mozaika różnych pojęć, mozaika różnych przestępców politycznych- od sołtysów niemieckich, policjantów niemieckich, szpiegów, dywersantów, różnego rodzaju sowieckich wywiadców zrzuconych na tyły wroga, którzy nie wykonali swojego zadania, wracali potem do Związku Radzieckiego, bądź byli przewerbowani do wywiadów przeciwnych. W każdym bądź razie



ludzie bardzo różni, bardzo dziwni, bardzo ciekawi. W celi tej spotkałem niedalekiego sąsiada Alka Puciłowskiego. Alek Puciłowski z miejscowości Teodorówce był aresztowany wówczas razem z Kotlarzem, skazany na dziesięć lat i wywieziony wraz z Pawłem Dzienisikiem z naszej miejscowości do ZSRR, gdzie pracowali w sowchozie. Sowchozy przeważnie tam były hodowlane. Jeżeli chodzi o wyżywienie, to nie mieli większego kłopotu, zawsze jakoś tam sobie radzili. On mnie pierwszy zawiadomił o tym, że Paweł Dzienisik właśnie tam przy jednym z obozów kowie ZSRR zmarł, o czym starałem się powiadomić jego rodzinę - żonę Jankę Szymańską i dzieci.

W celach tych spotkałem jednego z grodzieńskich adwokatów, Rosjanina - Zołotuchina. Zołotuchin był jednym z nielicznych obrońców, który brał sprawy polityczne i doprowadzał je do dość pozytywnego zakończenia w sensie pozytywnego dla oskarżonego. Zołotuchin prowadził wiele spraw. Miał na pewno dostęp do prokuratorów i sędziów, załatwiał te sprawy raczej w sposób finansowy, na pewno nie bezinteresowny. Za to też został oskarżony i znalazł się pośród więźniów. Podzielił los tych, których broniał.

W sali dla skazanych spotkałem Pawłowskiego Adolfa, pseudonim „Dom dowódcy patrolu zbrojnego bezpośrednio podległemu „Brylantowi.” z jego bratem Józefem. Oni już byli skazani po dziesięć lat, ale byli przywiezieni na ponowne śledztwo. Dużo rzeczy od niego się dowiedziałem. Nie mniej jednak pewne wątpliwości co do jego osoby pozostały do dzisiaj. On, Pawłowski ze swoim bratem i siostrą Moniką przeszli do oddziału zbrojnego Armii Krajowej z partyzantki

radzieckiej. Później w pbronie swojej zastosowali, być może chwyt, być może prawdę, że byli skierowani do oddziałów Armii Krajowej od czerwonych. Do dziś nie wiem, czy to moje przypuszczenie, oni się w ten sposób bronili, ale czy naprawdę tak nie było do dziś nie wiem, gdyż w jednym dniu zostali aresztowani, wpierw został aresztowany 12 grudnia 1944- Pawłowski, później aresztowany został Kotlarz, tego samego dnia. Dziś Pawłowski już nie żyje. Zmarł w miejscowości Zalckoko Mrągowa i tam został pogrzebany dwa lata temu.

W celi tej spotkałem również pana Półtorzyckiego. Półtorzycki, to polski Tatar przedwojenny, piłsudczyk, szef bądź pracownik na stanowisku tzw. aktywy w monopolu. Scigał przestępców przekraczających granicę, przenoszących do Polski objęte monopolem państwowym artykuły jak sacharyna, zapalniczki, kamienie do zapalniczek itp. Co dziwne, że Półtorzycki tam w więzieniu w rozmowach prywatnych, a był to dobry znajomy mojego ojca, nawet był wierny swoim ideałom, a jego ideałem był Piłsudski. Nie zwierzał się z tego wszystkim, nie mniej jednak w rozmowie ze mną, wyraźnie to mówił.

Z podwójnym szacunkiem odnosiłem się zawsze do ludzi takich jak Półtorzycki, jak Paweł Dzienisik. On był przecież Białorusinem, którzy pomimo innej narodowości niż polska, walczyli o Polskę, czuli się zobowiązani o nią walczyć, byli oddani często bardziej niż rodowici Polacy. My, Polacy mieliśmy to za święty obowiązek, oni zaś przyjęli na siebie jakąś misję czy przyjaźń, czy również szacunek dla naszego kraju. Mustafa Półtorzycki, jak dobrze pamiętam się nazywał, kierował tak swoją sprawę, że sprawa podlegała ponownemu rozpatrzeniu przez sąd i mógł wyjść na wolność. Przy czym szczerze obiecał, że po wyjściu na wolność na pewno odwiedzi nasz dom i na pewno wszystko cokolwiek wie

o moim życiu w więzieniu, przekaże mojej rodzinie. Tak się w późniejszym okresie stało.

W obozie już dostałem list z domu, że pan P. był i przekażał wszystko cokolwiek wiedział o mnie. Za to mu byłem bardzo wdzięczny.

Zgodnie z wyrokiem o odwołanie się do wyższej instancji sądowej, postanowiliśmy złożyć apelację do sądu wyższej instancji tj. do sądu republikańskiego w Mińsku, co nam przysługiwało zgodnie z prawem. Nie liczyliśmy na to, że uzyskamy cokolwiek, ~~skazania~~ jeżeli chodziło o zmniejszenie wyroku. Chodziło nam jedynie o to, aby jak najdłużej przeciągnąć w czasie, aby jak najdłużej być w Grodnie. Czas działał na naszą korzyść z uwagi już może nie tyle na warunki, ile na stabilizowanie się czasów w okresie powojennym.

W międzyczasie weszła w Związku Radzieckim ustawa o zawieszeniu kary śmierci. To był gdzieś maj 1947 roku. Najwyższą karą było 25 lat pozbawienia wolności, co jedno drugiemu się równało, ale jednak zawsze kara śmierci była karą śmierci.

W tej celi spotkał mnie taki przypadek. Jednego wieczoru w pierwszych dniach do celi wpuszczono człowieka. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna, o ryżawej brodzie wpadł jak obłąkany, krzycząc - to, wy, żywi ludzie, to wy jesteście ludźmi. Każdego spośród blisko sześćdziesięciu ludzi dotykał. Po opamiętaniu się ten człowiek zaczął opowiadać, że dwa miesiące siedział w celi śmierci, że został skazany. Był majorem wojsk desantowych Związku Radzieckiego, rzucony na tyły wroga kilkakrotnie. Widocznie coś tam na tych tyłach wroga nie wyszło, że po powrocie do swojej ojczyzny - ZSRR, sąd wojenny



skazał go na karę śmierci w nagrodę za jego bojowe działanie. Ten człowiek zwierzał się z tego, co znaczy kara śmierci. Kilkakrotny bohater Związku Radzieckiego opowiadał, że wówczas, kiedy przychodziła noc, kiedy byli we dwóch tylko z kolegą, towarzyszem niedoli/w takich celach więcej niż dwóch nie trzymano/zgadywano, którego tej nocy wyprowadzą? Którego tej nocy wezmą? I przez dwumiesięczny jego pobyt w celi śmierci wyprowadzili sześciu jego towarzyszy. On wciąż pozostawał. Każdy raz, kiedy zbliżały się kroki do celi, kiedy zgrzytał klucz, w pierw sztaba, później klucz wewnętrzny w drzwiach/takie cele były podwójnie zabezpieczone/więc obejmowali się, żegnali się z przyjaciółmi. Gdzieś pod pryczą w takich celach drapali gwoździem bądź innym "narzędziem" - kawałkiem ołówka lub rdzenia z ołówka, swoje nazwiska. Ktoś, kto pozostał żywy dopisywał, stawiał krzyżyk i datę wstawiał. Takich napisów w celach, szczególnie pierwszego bloku w Grodnie było strasznie dużo. Tych cel było bardzo dużo, szczególnie z początku po wojnie.

Po dwóch miesiącach owego osobnika w celi śmierci, zmienili mu wyrok na 25 lat więzienia. Cieszył się jak dziecko z tego, cieszył się, że jest wśród ludzi, bo po pobycie dwóch miesięcy w celi śmierci wyglądał na obłąkanego. Stopniowo dochodził do normy i później dużo opowiadał o lokatorach celi śmierci. Chciałem dodać, że więźniowie mają ten zwyczaj, pozostawiać po sobie jakiś ślad, gdzieś coś wydrapać, na murze pod pryczami, czy na pryczach od dołu i bardzo dużo tych nazwisk, pomimo, że tam zdrapywali, zamalowywali, nazwisk nawet znajomych.

W pierwszym bloku znalazłem właśnie nazwisko Pawła Kotlarza, ktoś tam potem dopisał - skazany na karę śmierci.



Jeszcze ktoś dopisał- zamieniono na 20 czy 25 lat więzienia.

W tej celi, celi skazanych przebywaliśmy do lipca- dokładnie do 8 lipca. Było nieźle tym po wyroku. Zezwolono na podawanie paczek, bielizny. Kontaktów żadnych, widzenia żadnego z rodziną. Wiedzieliśmy na czym stoimy, wiedzieliśmy, że mamy tę dychę, w zasadzie dziewięć tylko. Wiedzieliśmy, że czekają nas obozy, mieliśmy już rozeznanie.

Wiedzieliśmy, że zaraz na drugi dzień po naszym sądzie Przybylski i Dojnowicz odjechali "na etap" to znaczy gdzieś powieźli ich do dalszych obozów. Pocieszenie czy obietnica Griszina dla Dojnowicza nie spełniła się. Ze swoim wyrokiem /miał 20 czy 25 lat/ pojechał w nieznane, podbijać nowe rozległe tereny Związku Radzieckiego. Nic mu nie pomógł Griszin ani Rokow.

8 lipca 1947 roku słońce jak zwykle prażyło, ruch w więzieniu był ogromny. Od wczesnego poranku budzili, ganiali do łaźni,

Dzień wcześniej odczytano nam, że sąd apelacyjny utrzymał wyrok wojennego trybunału dla województwa grodzieńskiego w mocy. I zostaliśmy z tym samym wyrokiem na tych samych warunkach. Dwa miesiące prawie było na naszą korzyść- od 29 kwietnia po 8 lipca byliśmy jeszcze w Głodnie.

8 lipca formowano kolumnę i uformowana kolumna zaraz z bramy skręcała w prawo /dawna ulica Olistowskiego/, następnie sunęła Jagiellońską w stronę dworca kolejowego. Rozpalony bruk grzał od dołu, od góry słoneczne promienie, na plecach ciężki plecak, w nim trochę sucharów, bielizna, ręcznik, ciepła czapka, skarpety, rękawice i to wszystko, co więźniowie mogli mieć przy sobie. No, i psychiczne obciążenie, wyboista droga, pełna kolczastych drutów, nieznane, z nieba-

gatelnym bagażem dziesięciu lat w moim przypadku.

Wyrok długich, ciężkich lat, to jeszcze nie wszystko. Przede wszystkim ciężkiej pracy w nieludzkich warunkach bytowych i klimatycznych, a później w najlepszym wypadku wieczna zsyłka.

W czasie odbywania wyroku grupy operacyjne „Czeka” robiły wszystko, by ten wyrok przedłużyć, przy byle okazji. Tak, jak długo skazany za przestępstwa polityczne będzie żył. Tak czy inaczej żegnaliśmy Grodno, z sowieckiego punktu widzenia na zawsze. W naszych sercach tkwiła nadzieja, że my tu jeszcze wrócimy. Żegnały nas życzliwe spojrzenia większości przechodniów, ktoś zza uchylonej firanki w oknie szczęśliwie pomachał ręką, żegnały nas wieże kościołów, żegnały znajome mury domów, rozgrzany bruk, drzewa stojące w bezruchu w majestatycznej ciszy. Żegnało nas wszystko, gdyż pomimo, że to miasto w swojej historii przechodziło różne koleje, różnych miało władców, lecz wierzyliśmy tylko w te twierdzenie, że Grodno było nasze, i że Grodno będzie nasze, nawet jeżeli wiele wody korytem Niemna przepłynie.

Już w tym marszu w haniebną niedolę, część z tych towarzyszy wychodzących z kryminalnego światka/ będę ich nazywał kurki, szakale/ zacierali ręce, jak będą rozpatraszać nasze rzeczy w wagonach. Mieli nieoficjalne wsparcie konwojujących żołnierzy, gdyż zabrane bądź skradzione przedmioty skrycie przekazywali żołnierzom. Ci zaś opychali to cywilom na stacjach, przynosząc córkom trochę chleba, machorki, szczególnie machorkę tzw. tabaczkok-karuszki.

Następną grupkę w tej kolumnie tworzyli polityczni, tzw. kontrycy. Jest to inaczej kontrewolucjonista. Była również

nieliczna grupa, mało znacząca tzw. kułaków, bogatych gospodarzy rozkułaczonych i skazanych za byle co. Ci naturalnie łączyli się z kontrykami. My zaś planowaliśmy już idąc, jak urkom w czasie podróży.

Kułacy byli to przeważnie ludzie starsi, na których w razie draki z urkami nie bardzo można było liczyć. Raczej należało ich bronić. Niemniej jednak stronnictwo kontryków liczebnie się powiększało, a to już też coś znaczyło. Naprawdę dziwne to jest, że jednakowo dźwigając tak ciężkie brzemie niedoli, skazańcy od początku wyniszczali się wzajemnie, a to już była polityka „czeka”, mniej operatywnych komórek, którym zależało na tym.

Najbardziej wyzutą grupę skazańców stanowili małoletni.

Im można było wszystko, ich nie obowiązywały rygory, ich nie można było bić, zamykać w karcerach, stosować innych fizycznych środków przymusu. Ich należało przekonywać tylko słowem. Słowem, inaczej mówiąc językiem marksisowskiej ideologii uzupełnionej słownictwem „czeka”. Na szczęście ta grupa była więziona i transportowana w izolacji, a w szczególnej izolacji z kontrykami, chyba dlatego, aby im nasze maniery się nie udzielały.

W tej ponurej kolumnie otoczonej ściśle konwojem, noszącym czerwone naramienniki i czerwone otoki, będące MWD czyli ministerstwa spraw wewnętrznych, szli robotnicy rolnicy, bogaci i biedniejsi, szli rzemieślnicy, duchowni różnych wyznań, nieliczni inteligenci/gdyż oni wcześniej już przeszli tą drogą/, pracownicy naukowcy, kolaboranci niemieccy. Szli również kryminaliści stanowiący napływ z terenów wschodnich, za Czerwoną Armią, oni raczej wracali tą drogą do siebie, dlatego też najmniej się martwili, twierdząc, że Syberii się nie



boją, bo Syberia to też rosyjska ziemia.

Dom po lewej stronie ulicy Wistowskiego dochodząc do ulicy Jagiellońskiej stojący, znany mnie jako punkt kontaktowy /mieszkali w nim oddani polscy ludzie/. Jeszcze nie byli spaleni i „czeka“ nie było na ich tropie, bo w czasie śledztwa żadnych pytań nam nie stawiano. Odważni to byli ludzie. Prawie cała ich rodzina stała w oknach domu, może z ukrycia robiąc zdjęcia. Wyraźnie odwróciłem się w ich stronę, nieznacznie zrobiłem umówiony ruch głową, otrzymałem odpowiedź podobną, co znaczyło, że poznali mnie, że dadzą znać rodzinie, że pojechałem na tzw. białe niedźwiedzie.

Ludźmi tymi byli przedwojenni nauczyciele/nazwiska ich nie pamiętam/. Tak skręciliśmy w Jagiellońską, Jagiellońską już prosto było do dworca kolejowego dalej towarowego. Idąc pomyślałem o Jadzi. Ona może się opala promieniami lipcowego słońca, ja zaś idę w ten upał na katorgę, na wygnanie. Bądź zdrowa dziewczyno, kochałem Cię bez grabic. Mury więzienne chłodne i ponure poprzez trzynaście już miesięcy nieco ochłodziły już tę bezgraniczną miłość-bądź zdrowa- - nie pomyślałem- bądź wierna, ja wrócę/jak to niegdyś mawiałem/.

Pocóż ludzić się nadzieją. Ona przecież jest matką głupich. Pomimo to dodaje sił do przetrwania. Po cóż ktoś ma poświęcać mnie swoje młode lata, ba, nawet życie. Niech idzie swoją drogą, jaką jej przeznaczenie wytyczyło. Nie będzie już mi bardzo żal, niech tylko czasem wspomni, że był ktoś, kto ją tak mocno kochał.

Krótki marsz po tak długim przebywaniu w murach bez normalnego powietrza dał się we znaki. Pot oblewał blade



twarze współtowarzyszy. Kolumna szła poganiana pokrzykiwaniami czekistów-bystrej, w pierod, podcianis. Wilczury prowadzone przez konwojentów od czasu do czasu dawały znać o swojej obecności wrogim ujadaniem.

Odległość od bram farnej parafii do dworca kolejowego, około dwóch kilometrów przebyliśmy za około pół godziny. Na zapasowych torach, tu gdzie trzy lata temu kilka dni pracowałem, stały trzy wagony kryte, przystosowane do przewozu więźniów. Przesła, montowane drabinki do wchodzenia na dach, w którym po obu stronach wagonów obsadzone gniazda czekistów z bronią maszynową.

Z każdą setkę więźniów prowadzono oddzielnie. Było ich trzy. Dlatego też przygotowano trzy wagony. Bez trudu można było obliczyć, po ilu nas będzie w każdym wagonie. Stłoczeni przy wagonach czekaliśmy na swoją kolej, kiedy zostaniemy zaproszeni do tego ekskluzywnego wagonu, gdzie oprócz gorszych gatunków zwierząt w innych krajach niczego nie wożą.

Na wezwanie czekisty należało bez zająknięcia się wyrecytować imię, nazwisko, imię ojca, miejsce urodzenia, paragraf, termin skazania, za co skazany i szybko bez rozglądania się wlażyć do wagonu.

Nam, młodym szło to zrećźnie. Starsi zaś mieli kłopoty, szczególnie z woreczkiem, który wcześniej rzucony do wagonu, mógł być porwany przez znajdujących się w wagonie wyspecjalizowanych w tej dziedzinie urków. To widząc, będący już w wagonie mężczyzna ~~zaskakowa~~ lat około czterdziestu, krzyknął: Wara, urki pod drzwi, na lewą stronę wagonu. W prawej ręce trzymał but zdjęty z lewej nogi. But wojskowy, niemieckiej produkcji tzw. saperka. Wara, bo chrzest wam taki uczynię, że świat nie widział, niechrzczone diabły. Nasi - na prawą stronę

przechodzić. Towarzystwo w wagonie zaczęło się dzielić. Urki widząc zdecydowaną postawę owego mężczyzny dali na spokój, odchodząc od drzwi i zajmując miejsce we wskazanej części wagonu. Widocznie im się nie powiodło. Z tej sytuacji byli też nie zadowoleni konwojenci.

Wszedłem do wagonu w ostatniej dziesiątce. Liczni z nas przed wejściem do wagonu padali na kolana i całowali ziemię. Ja też tak uczyniłem. W wagonie gorąco okropnie. Urków zepchnięto w sam koniec wagonu. Było ich może około dwudziestu, w tym kilku w wyższym kryminalnym stopniu i doświadczeniem. Widać to było po tatuażach i słownictwie.

Owym energicznym mężczyzną okazał się ksiądz o nazwisku Wilczyński, z jakiejś parafii od Sapoćkina. Natychmiast wokół niego zebrała się grono, w tym nawet kilku jego parafian. Zorganizowano samoobronę przed urkami. Konkretnie i sprawiedliwie wydzielając im teren w wagonie z dostępem do jednego okienka i stojącej przed nim "paraszy", kibla. Zabrani z różnych cel ludzie poznawali swoich znajomych, nawet bliskich, krewnych, mając sobie dużo do powiedzenia, czasem nawet cierpkich uwag dotyczących okresów przesłuchań.

Można było już na wstępie stwierdzić, że po naszej stronie ludzi typu Dajnowicza nie było. Niektóre zatargi rozładował ksiądz Wilczyński. Dawne porachunki zostały załatwiane raczej ugodowo. Podawano sobie ręce deklarując się do dalszej walki o przetrwanie. W naszym przypadku takiego kłopotu nie mieliśmy.

Po naszych stronach było nas czterech-dwóch Hołowniów, Olszewski i ja. Dziergawko nie trafił na nasz etap. Dojnowicz

pojechał zaraz po naszej rozprawie tzn. w pierwszych dniach maja.

Wagon zaryglowano, wokół chodzili konwojenci z psami, na górze siedzieli konwojenci, także mogliśmy bezpiecznie egzystować w tych nieprzeciętnych warunkach.

Dopiero, gdy zapadł mrok, zobaczyliśmy zapalone światła, parowóz sapiąc szarpnął wagony. Zaczęła się przepychanka na torach, w przód, w tył, podłączenie do składu towarowego, aż gdzieś około północy wąż wagonów za parowozem opuścił ostatni semafor i ruszył w stronę Lidy.

Żegnajcie najmilsi, żegnaj Grodno, żegnaj dziewczyno, komu cokolwiek winien, daruję, również gorąco swoich wierzycieli o niekwestionowanie tegoż manifestu proszę.

W wagonie ciemno, a po gorącym dniu zrobiło się chłodno. W nocy nikt nie spał, rozmawiano w grupkach, modlono się, śpiewano nabożne pieśni, Ksiądz Wilczyński przewodził liturgicznym obrzędom. Od czasu do czasu mignęły w zakratowanych oknach światelka stacyjki. Ktoś tam zawsze zgadywał jej nazwę.

Przed świtem, po niedługim postoju, wyruszyliśmy w stronę Mołodeczna/z Lidy/. Najpiękniej pachniało dojrzewającym zbożem, kwitły poletka ziemniaków, no i innych zbóż uprawianych przez indywidualnych rolników.

Przecinaliśmy Nowogródzczyznę. Ten i ów cytował coś z "Pana Tadeusza". Ksiądz Wilczyński przy tej okazji przypominał fragmenty życia wielkiego poety, którego wydała ta ziemia. Nasze tułaczce losy były zbliżone do jego losów.

Około godziny dziesiątej dziewiętnastego lipca 1947-go roku zatrzymaliśmy się na stacji towarowej w Mołodecznie.



Skład naszych wagonów szczelnie otaczało czerwone pióro-  
- wojsko, otwierając wagony, przeprowadzając apel tzn. li-  
- cząc. Skoncentrowano wszystkich po jednej stronie wagonu,  
- rzeczy też. Sprawdzono podłogę, ściany, sufit, okratowanie o-  
- kien. Następnie przez wąskie przejście między dwoma cze-  
- kistami należało przebiegać. Oni łączyli w ten sposób, że  
- drewnianymi młotkami, którymi sprawdzali wagon, uderzali  
- każdego. Jak coś się nie zgadzało, zaczynali po raz drugi.  
- Trwała ta zabawa dotąd, aż się musiało zgodzić.

Przeliczeni, zaryglowani, nadal mogliśmy siedzieć tyl-  
- ko na podłodze wagonu. Ci, co spożyli słoną rybę, którą otrzy-  
- mali jako suchy prowiant, mdleli z pragnienia, błagając o  
- łyk wody.

Nauczony doświadczeniem lat poprzednich, gdzie brak  
- było wody nie jadłem solonej ryby, bo ryba bez wody ani  
- rusz.

W samo południe pociąg ruszył na północ. Obeznani z terenem  
- twierdziliśmy, że jedziemy do Nowej Wilejki. Tam podobnie  
- jest ogromne więzienie. Zaczęto snuć domysły. Rzeczywiście,  
- dotarliśmy do Nowej Wilejki, gdzie dołączono kilka nowych  
- wagonów towarowych z podobnym ładunkiem, jak nasze i wró-  
- ciliśmy do Mołodeczna pod wieczór. Wieczorem po wspólnej  
- modlitwie usnąłem skulony na podłodze wagonu, aż ktoś zbu-  
- dził - Słuchaj, przekraczamy polsko-radziecką granicę z lat  
- międzywojennych. Ktoś tam głośno przyrzekał - Żegnaj cię zie-  
- mio ojczysta, żegnaj i przyrzekam, że cię nigdy i nigdzie  
- nie zdradzę, a jak Bóg dopomoże, wrócę, by tu umrzeć, gdzie  
- się urodziłem. Amen - odrzeźbili chłopcy. Ja śpiący powtórzy-  
- łem z cicha te słowa i powiedziałem - Tak mi dopomóż naj-  
- słodsze serce Jezusa. Przymknąłem oczy, wywołując obraz,



pamiątkę z I-ej Komunii św. Pokrzepiony modlitwą i silną wiarą rodaków, pewny, że nic mi się nie stanie -zasnąłem.

Był 10 lipca 1947. Wczesnym porankiem przez małe okienko ujrzałem stację towarową, wiele torów, wokół morze ruin. Bez trudu domyślałem się, że jest to właśnie Mińsk. -stolica Białorusi-dawna siedziba Sapiehów.

Konwój dopełniał swojego obowiązku. Wzorowo, natychmiast zaczęto liczyć, sprawdzać wagony waląc młotkami w ściany, podłogi, sufity. Zgadywaliśmy, dokąd dalej pojedziemy?

Większość stawiała na Orszę.

Za niecałą godzinę urządzono nam przepychankę zestawów torów na tory. Zepchano na jakiś odleglejszy, zapasowy tor. Tu, bracia pewnie postoiny do nony. Upał zapowiadał się miemiłosierny.

I nie zgadliśmy. Zaraz podjechało kilka samochodów tzw. suk, w rosyjskim słownictwie -czarny woron. Zaczęto przemieszczać z wagonów do samochodów. Trafiliśmy na pierwszy rzut, załadowało pojazdy i ruszono.

Na głucho zamknięci nie bardzo mogliśmy się zorientować, w dodatku nie znając miasta, w każdym razie czuło się, że jedziemy na wschód.

Podróż samochodem nie trwała więcej niż pół godziny i otworzyły się drzwi i znowu dokładnym liczeniem wyprowadzono i ustawiono w czwórki. Oczom ukazał się spory plac, ogrodzony w dwa rzędy kolczastych drutów z wyżkami-symbolem władz okupacyjnych sowieckich, kilka baraków i jakaś fabryczna hala. Naturalnie wartownia z niedużymy majdanem, wydzielonym od reszty placu, a na nim kilka rzędów prowizorycznych stołów.

Któryś z więźniów, obeznany z tym terenem, rzekł - To, bracia, traktornyj zawod. Straszna bryndza. Tu długo nie pociągniesz.

Rzeczywiście był to obóz o bardzo prymitywnych warunkach, budujący fabrykę traktorów. Na widok formującej się kolumny nowych, wszyscy, kto mógł chodzić, a nie został wygnany do pracy, wylegli w okolice wartowni przyglądać się nam, szczególnie naszym plecacom, workom, ubraniom, obuwiu. Patrzyliśmy na siebie przez dwa rzędy drutów, dokładnie przekopany i zagrabionym międzydruciem - przizonnikiem, naturalnie nie zbliżając się do drutów na określoną odległość, tzw. zapretnaja zona, gdyż konwój z wyżek mógł użyć broni bez uprzedzenia.

Obóz wraz z więźniami sprawiał straszny widok. Ludzie byli podobni do Dejnowicza, wychudzeni, ośmoleni wiatrem i słońcem, licho ubrani, przeważnie wynoszone ubranie wojskowe zdjęte z rannych lub usztywnionych na wieki żołnierzy. Obucie stanowiły łapcie różnego gatunku wykonane z łyka lipowego, z protektorów zużytych opon samochodowych. Łapcie to odwieczny symbol Rosji. Uważam, że łapcie, ducha lub samowar są to przedmioty wyłącznie rosyjskie i jeden z nich mógłby z powodzeniem stanowić godło rosyjskiego państwa.

Kiedy wszyscy zostali przewiezieni, straż obozu zajęła się przyjmowaniem nas od konwoju z transportu. Od nowego nazwisko, imię, imię ojca itd. Przyjęci w te nowe bramy, przedstawiający obraz nędzy i rozpacz, odtwarzający wierną fotografię radzieckiego socjalizmu, zostaliśmy zgromadzeni w wygrodzonym majdanie przy wartowni już wewnętrznej części obozu. Nadal czekaliśmy, na co, nie wiadomo.

Myśleliśmy, gdzie nas umieszczą? Co będzie dalej?

Do tego majdanu przybył naczelnik obozu, major wojsk NKWD, kilku oficerów i kilkunastu cywilów-więźniów. Naczelnik odpalił mowę, pełną gróźb, szczególnie do tych, którzy mają zamiar bumelować, naruszać regulamin obozowy i niech nikomu w głowie nie zaświta myśl o ucieczce z obozu - od „Czeka” nigdy nie ujdiesz - twierdził naczelnik. Tylko rzetelną pracą i dobrym zachowaniem możecie zasłużyć na widzenie, na paczkę od rodzin, a nawet kryminalni o przedterminowe zwolnieni - tymi słowami zakończył. Oklasków nie było.

Następnie przedstawiono więźnia tzw. naradczyk, coś w rodzaju starszego. On przydzielał nowych do brygad, on wyganiał do pracy, on rozliczał bumelantów, on tzn. naradczyk - też więzień, nie ulega wątpliwości, kryminalista, kapuś z krwi i kości.

Ci inni więźniowie, to brygadziści, którzy dobierali nowych, przeważnie według specjalności. Największe zapotrzebowanie było na murarzy, cieśli, zbrojarzy. Wszystkie te zawody to ciężka praca, a tak naprawdę o żadnym z nich nie miałem pojęcia. Co robić? Za kogo się podać? Jak, chłopcy? - pytam kolegów. Któryś tam rzekł - za murarzy się podajemy, widziałem jak budowano dom z cegły.

Niech będzie, tylko kupą. Stworzymy jedną brygadę, to będzie różnie.

Kiedy wystąpił mistrz murarski i krzyknął - organizuję brygadę murarzy - około czterdziestu ludzi wystąpiło, jak jeden mąż. Może czterech lub pięciu umiało kielnię trzymać w ręku.

Mistrz spisał wszystkie nazwiska i tu już nastąpił podział. Polityczni tworzyli oddzielne brygady. Nasz mistrz -



-Rosjanin, nazwisko Charytonow, też był więźniem politycznym. Potężnie zbudowany mężczyzna, o nieprzeciętnie wielkim orlim nosie. /po tym go można było łatwo poznać/. Po skompletowaniu brygady kazał zabierać rzeczy.

- W kierunku owej fabrycznej hali, marsz. Tylko trzymajcie się i trzymajcie rzeczy, bo "szpona" tzn. urki/on tak ich nazywał/, drobne złodziejaszki wyrwą wam z rąk i żadnego prawa tu nie dojdiesz. Tu prawo-tajga, a niedźwiedź-gospodarz, tzn. prawo dżungli, kto silniejszy, ten lepszy.

- Za mną-komenderował-a wy urki precz od mojej brygady, bo jak dorwę którego, to nogi z dupy powyrywam. Zrozumieliście-krzyknął na stojących za majdanem cieni ludzkich. Widocznie znany był ze swych poczynań nasz Charytonow, gdyż rozstąpił się tłumek tworząc nam przejście, tak że dwójkami mogliśmy przejść.

Charytonow prowadził przez plac apelowy/poraz oglądając się, czy nam któremu krzywda się nie dzieje? Tłumek mrucał z niezadowolenia, posyłając pod naszym adresem przeróżne przezwiska, jak pszeki, kontryki, faszysci, banydy itp.

W fabrycznej hali podzielonej na dwie części, jedna dla urków, druga dla politycznych ciągnęły się długie szeregi piętrowych prycz. Jedno ogniwo ich czekało na nas.

- Zajmujcie miejsca, ja śpię tu na dole-wskazał. Reszta, to wasza-rzekł prowadzący.

Chłopcy rzucili się zajmować legowiska.

- wolniej -uspakajał Charytonow-starczy wam wszystkim i tym którzy jeszcze w domu zostali.

Poniekąd miał rację. Hale, jak się później okazało, ponad 100 metrów długości i 30 metrów szerokości, wysokości oko-



ło 10 metrów, dach pofałdowany oszklonymi nadbudówkami, przez które do wnętrza wdzierało się światło dzienne. Polityczni zajmowali 1/3, 2/3 zaś zajmowali kryminaliści. Obóz zajmował powierzchnię około 3 hektarów. Ścisłe otoczony dwoma rzędami drutów, co sto metrów wyżka dla strażnika z bronią maszynową, oświetlenie - jeden rząd w stronę zewnętrzną, drugi wewnętrzną. Budynkiem mieszkalnym była już opisana wyżej przeze mnie hala. Gospodarczy spory barak, gdzie mieściła się kuchnia i stołówka, oraz baraczek w części z sanitariatami.

Od strony zachodniej rozciągał się widok, na w gruzach leżące miasto Mińsk. Od połnocy szosa, nieco dalej tory w stronę Orszy. Od wschodu lotnisko. Stronę południową zajmował wielki plac budowy mińskiej fabryki traktorów. Poza lotniskiem w dali zamykała horyzont sinawa ściana lasu, zaś poza placem budowy - kołchoźne pola. Zachodzące słońce wskazywało kierunek, skąd przybyliśmy, wskazywało kierunek powrotu.

Każdy czas, tym razem nieco swobodniejszy niż w celi, mogłem oglądać zachodzące słońce, bezchmurne lipcowe niebo i całą pierś wdychać świeże powietrze, którego tak brakowało w więziennych celach.

Czułem straszną gorycz, gorycz przegranej jeszcze jednej strasznej bitwy, czułem bezsilność wobec przeciwnika, czułem się jako rozbitek na spróchniałej desce, którą w każdej chwili mógł pochłonąć wzburzony czerwony ocean, napełniony krwią męczeńską i cierpieniami milionów niewinnych ludzi. Czułem jak odrzyna mnie teraz ten okropny żwioł od ojczystych brzegów i unosi w bezkresne przestrzenie, aby

umęczonego pochłonać na wieki i pogrzebać na jego dnie.

Z zachodem słońca, jak woły po ciężkiej harówie, wracały kolumny więźniów z pracy do obozu, otoczone ściśle czerwono-nopiórym wojskiem. Po ubiorze można było odróżnić politycznych od kryminalnych. Kontrycy byli jako tako ubrani, wprawdzie w swoje ciuchy i obucie, brygady kryminalnych tzw. batowych, przedstawiały żalospny widok. Obdarci, w łapciach, osmoleni wiatrem i słońcem, wychudzeni, sianiający się na nogach ciągnęli pod ręce zasłabłych w czasie pracy towarzyszy niedoli.

Przerażający widok też przedstawiała kolumna niosąca na noszach, sporządzonych z kijów, nie dających już znaków życia.

-To dochadziagi-rzekł Charytonow-jutro ich mułem wywiozą, nie przejmuj się, to wszystkich nas czeka.

Piękna perspektywa-pomyślałem.

-Módlcie się bracia -rzekł ksiądz Wilczyński-aby Bóg wyratował was z tej otchłani. Ufajcie w Jego moc, jest to nad wszystkie inne silniejsze.

Po wejściu roboczych brygad na teren obozu, zaczęło się poszukiwanie znajomych, przy tym chodzono tylko kupą, żeby tzw. urki nie zdecydowali na uderzenie. Niektórzy poznawali bliskich-raczej bliscy ich. My w pierwszym dniu nikogo ze znajomych nie znaleźliśmy.

Brygadami prowadzano na kolację, która stanowiła miskę lury. Brygadami do mycia się, na apel. Pozostawione ubrania na hali strzegło kilku tzw. dniewalnych, portierów starszych, sfatygowanych więźniów politycznych, kryminalnych.

Do późnego wieczora ustalano składy brygad. Naszym brygadzystą został Gruzin, niejaki Kinkiszwili Grigorij. Wrzas-

kliwy, nieokiełzany temperament, o nieunormowanym sposobie bycia. Charytonow zaś był mistrzem budowy, /prarab/. Podlegało mu pięć brygad o różnych specjalnościach budowlanych. Brygada nasza składała się z około 40-tu ludzi, większość nieobeznanych ze sztuką budowlaną. Narodowościowo, to byli w większości Polacy z kresów wschodnich, następnie Białorusini, kilku Litwinów, Rosjan, pojedynczy przedstawiciele niektórych innych narodowości. Brygadzysta w napuszczonych na zatoczone cholewy spodniach, w wypuszczonej, brudnej koszuli, z miejsca zaczął szantażować w kierunku wyłudzenia u podległych mu ludzi, co lepszego ubrania i obuwia. A w pierwszym rzędzie dzielenie się z nim domowymi środkami żywności.

Słownictwo w naszej części hali na ogół nie budziło zastrzeżeń. Poza szefami brygad i innymi, można ich nazwać kapusiami, którzy nie przebierali w słowach, a raczej przecigali się w używaniu słów jak najbardziej szpecących i tak niezbyt czystą rosyjską mowę. Spotykałem się w przeszłości z różnymi typami, także nie było to dla mnie niespodzianką. Na zaklęcia, krzyż, mać, Boga mać, całą Trójcę Przenajświętszą i cały zespół świętych spadały na mnie jak grom z jasnego nieba.

- Jak długo Bóg znosi tę straszliwą obelgę - myślałem. A to najstraszniejsze, że zaklinali tak ludzie skazani na nnicestwienie.

Adboj, tzn. capstrzyk, cisza nocna, chodzenie wzbronione, spanie na siennikach i podgłówkach wypełnionych wilgotnymi trocinami.

11 lipca 1947 rok. Pobudka, mycie się, śniadanie - 40 dekagramów chleba, i znowu obozowa lura, apel i brygadami w stronę bra-



my pod silnym konwojem na plac budowy-marsz. Z obozu wyganiają brygadziści i odpowiedzialni za całość "naradczik", coś w rodzaju starosty obozu.

Powrót również brygadami. Jeżeli kogoś w brygadzie zabraknie, brygada zostaje na placu i poszukiwanie brakującego. Często zasłabniętego gdzieś w zakamarkach budowy, już nieżywego więźnia bądź tak zasłabniętego już do takiego stopnia, że nie może się poruszać o własnych siłach.

W takich warunkach i przeznawczej opisanych ludzi, wznosiła się budowa mińskiej fabryki traktorów. I w takich warunkach i w taki sposób budował się przez miliony ludzi sowiecki socjalizm, na całym tym rozległym terenie, który nazywaliśmy-czerwonym oceanem.

Mury rosły. Im wyżej rosły, tym dalej było widać i w stronę zniszczonego miasta, i w stronę lotniska i na kołchozowe pole, na którym pracowały kobiety w sposób bardzo odległy naszym czasem.

Słuchając jeszcze będąc w Grodnie, nie bardzo wierzyłem w to, co zobaczyłem na własne oczy. Otóż w połowie XX wieku, sześć kobiet ciągnęło pług, jedna zaś orała. Podobnie też bronowano. Na poletku było kilka zespołów kobiet i jakiś naganiacz, na pewno zdemobilizowany inwalida wojenny. Los kobiet, wolnych kobiet, był chyba okrutniejszy od losu tu pracujących mężczyzn. Nic też dziwnego, że urki twierdzili, że ~~na~~ Syberii się nie boją. Kołchoz był chyba straszniejszy niż syberyjskie obozy.

Pierwszy roboczy dzień chylił się ku koncowi. Słońce wskazywało już kierunek rodzinnych stron. Prawie każdy z nas spojrzął i westchnął-tam dom rodzinny, tam rodzice, tam dziewczyna, tam Polska. Podporą duchową był ksiądz Wilczyński,



który w sposób bardzo męski przedstawiał sprawę, tak pod względem osobistym, jak też społeczno-narodowym. Szkoda tylko, że był niedługo.

Szybko ludzie z wyższym wykształceniem, intelektualiści nasi i innych narodowości zostali wybrani i wyselekcjonowani i odwiezieni do innych obozów, najprawdopodobnie w głąb Związku Radzieckiego, gdyż Mińsk mieścił się blisko dawnej polskiej granicy. Zarówno ja jak i chłopcy mówiliśmy, że jesteśmy u siebie. Mińsk był nasz, hen jeszcze wskazując na wschód aż po Dniepr, było też kiedyś nasze/. I czuliśmy się tu jak u siebie. Powietrze było nasze, słońce nasze, niebo nasze, jedynie obóz i warunki, w jakich się znajdowaliśmy były obce nie tylko nam, ale w ogóle jakimkolwiek narodowi.

Przyjeliśmy taką metodę, żeby tak pracować, aby się nie przemęczać. Uważaliśmy, że jeśli człowiek z głodu wycieńczy się, to jeszcze będzie mu łatwiej się "odpić" niż wykończyć się z głodu i z pracy. Tego nas zawsze i wszędzie, gdzie spotykaliśmy starszych więźniów, tego nas uczono. Ponieważ był to obóz mieszany, koedukacyjny, tzn. z więźniami politycznymi i kryminalnymi, można było pisać bez ograniczenia. Również otrzymywać listy i paczki oraz otrzymywać widzenie, jeśli ktoś był nie podpadnięty i do kogoś przyjechali. Dlatego też zbieraliśmy czyste kawałki szarego papieru z worków od cementu, aby na nich pisać obszerne listy, gdyż w czasie pobytu w więzieniu, nic poza drobnymi grypsami nie można było do domu przesyłać.

Pierwsze listy zostały napisane już tego wieczoru na pryczach, złożone w trójkąty i wrzucone do obozowej skrzynki

pocztowej. Napisałem pierwszy oficjalny list od 29 maja 1946 roku, tzn. od dnia aresztu. Przesłałem pozdrowienia, napisałem gdzie jestem, co robię, w skrócie jak żyję. Gdybym napisał prawdę, cenzura obozowa na pewno by go nie przepuściła. Już na drugi dzień w pracy nasz mistrz Charytonow kazał mi brać kielnię i budować jakąś ściankę działową. Najprostsze narzędzia pracy - kielnia, sznur, pion, na całą brygadę jedna poziomica, kilka drewnianych listewek - krawędziaków, i tak budował się ogromny zakład pracy - fabryka traktorów w Mińsku.

Spróbowałem, widziałem jak to inni robią, jak łączą cegły wzdłuż ściany, następny rząd w poprzek łączenia i zaczęło mi naprawdę wychodzić. Ucieszyłem się, że jestem już prawie murarzem. Zawsze to było nieco łatwiej niż noszenie cegieł tzw. kozą, na plecach, na któreś tam piętro.

Ściany rosły. Było to budowane pod tynk i wymagało się większej dokładności. Tak pracując cały czas obserwowałem teren, zasieki z drutów, bramę i oceniając sytuację, inaczej mówiąc cały czas marzyłem o ucieczce. To chyba jest marzenie większości więźniów, szczególnie tych, którzy odbywają jeszcze pierwszą połowę swojego terminu.

Często rozmawialiśmy z kolegami na ten temat. Zwierzać się można było tylko dla kolegów, których się znało, którym się ufało, inaczej można było bez żadnej przyczyny, jeżeli jakiś kapuś doniósł to do operatywki, pojechać hen na Kołymę. I tym cały czas straszono. Kołyma, workuta, norylsk.

Opanowywałem rzemiosło murarskie. Zapoznałem ludzi z sąsiednich brygad, którzy nieco wcześniej w tej katorżni się znaleźli. Byli również pod każdym względem bardziej doświadczeni. Zrozumiałem, że przynajmniej w tym miejscu należy być

bardziej tolerancyjnym .Nasz brygadzysta Gruzin,Kinkiszwili przekonał się, że jego pobudliwość, temperament, poza tym wrzaskliwość, straszenie, szantaż na nas wcale nie oddziaływuje. Byliśmy przecież już starymi więźniami. Dawno minął rok, jak straciliśmy wolność. Faltonow zaś w pełni zachowywał twarz Rosjanina, był odważny, w starciach z przełożonymi nieustępliwy, w żądaniach na rzecz ludzi pracujących w jego bractwach wymagał i również starał się cokolwiek jak na jego możliwości obozowe dać. Na swój sposób nie lubił naszego brygadzysty Gruzina, może dlatego, że jego rodak/siedział w Kremlu wówczas/ od lat trząsk tym ogromnym krajem, tym, którym nazywam dzisiaj czerwonym oceanem.

Najbardziej przykrym widokiem, był widok niesionych do obozu przez współtowarzyszy tzw. dochadiag czyli więźniów, których trzeba było już wnosić na kijach./fizycznych wyczerpańców/. Była to dla nich przeważnie ostatnia droga. Niektórzy gaśli jeszcze po drodze, nim się doniosło z budowy do obozu. Inni zeszywnieli przez noc w obozie.

Wczesnym rankiem pobrano na nich jeszcze ostatnią porcję chleba, następnie zaś brygadzysta zameldował, że ten czy ów zeszywniał.

Sanitariusze zabierali do tzw. sanczasti, na punkt sanitarny, lekarz stwierdzał zgon. Przypinano metalowy żetonik do jednego z palców-/prawdopodobnie wielkiego palca/ jednej z nóg. Na żetonie był wybity numer akt więźnia.

Układano przed wartownią, skąd zaprzężony, skrzypiący wóz wywoził do zbiorowych mogił w stronę lasu, nieopodal torów kolejowych biegnących z Mińska w stronę Orszy i dalej.

Przed włożeniem na tą karabelę nagi sztywniaczek otrzy-



mywał jeszcze jeden i to ostatni cios, jaki mu kilofem w czerep zadawał czekista. Tym samym upewniając się, że denat nie zmartwychwstanie w swojej pierwotnej cielesnej formie.

Obfity plon zbierała pani w białym szynelu. Były dni, że muł nie miał ani chwili wytchnienia, wciąż wozik i wozik, ale nie po jednym w skrzyni. Jego skrzypiąca telega była wykorzystywana na pewno w 200%, więcej niż my na budowie traktornego zawodu.

Należy wyjaśnić, że przede wszystkim padali więźniowie kryminalni. Przyczyną było niedożywienie, wyczerpanie fizyczne i warunki bytowania. W ich części hali było pusto, nic na pryczach, wszystko rozkradali jedni drugim. Za tytoń, za kawałek chleba odsprzedawali więźniom politycznym wszystko, cokolwiek mieli. Z rąk wydzierali przydzielane porcje jeden drugiemu, często krusząc, tak, że nikt z tego nie korzystał. W walce o życie bezlitośnie wzajemnie się mordowali.

W sytuacji, kiedy się już dochodzi do takiego stopnia, człowiek traci godność, traci poczucie wszystkiego, pomimo, że przedtem był normalnym człowiekiem. Zostaje doprowadzony do tego stopnia, że jak zobaczy chleb w czyimś rękę myśli, by go zabrać, wyrwać, często już nie patrzy, przynyka oczy. Tylko dla postrachu wyciąga dwa palce wprost do oczu, tylko dla postrachu. Jak trafi na silniejszego, otrzymuje cios na podbródek i często bywały to jego ostatnie podrygi, agonia i koniec - kilof i muł.

Tak przedłużały się zasady rewolucji październikowej bezwzględne w stosunku do przeciwników, nawet po śmierci.



Nie byle fuchę miał czekista, codziennie dziurawiąc dziesiątki martwych czaszek. I nie byle zasługę pozyskać musiał u swych mocodawców. Będzie miał na pewno, co opowiadać swoim wnukom, jeżeli będzie je miał, jeżeli sam nie dostanie w głowę.

W tej masie ludzkiej składającej się z około 5 tysięcy więźniów, każdego dnia odbywały się widzenia. W odwiedziny przyjeżdżały rodziny. Tu, w tym wypadku, w większości przyjeżdżali do politycznych. Byli to przeważnie z naszych terenów, z miejscowości położonych wokół Mińska. Były to piękne, polskie miejscowości, szczególnie w stronę południową, w stronę Mohylowa. Piękne, polskie nazwiska - Krzyżanowski, Minczyński, Ujazdowski, Chłopidowski - tacy przynajmniej w naszej brygadzie chłopcy byli. Byli to chłopcy w moim wieku, siedzieli oni najprawdopodobniej za dezercję ~~z~~ armii radzieckiej.

Odwiedziny odbywały się w wygrodzonym majdanie, tuż przy wartowni, tam właśnie, gdzie składowano tych sztywniaków po nocy. Stało tam kilka długich stołów, po jednej stronie przychodzili więźniowie, po drugiej wprowadzali przez wartownię odwiedzającego. Pośrodku z jednej i drugiej strony stał klawisz, obserwował, żeby poza paczką niczego nie podać. Zostawiona paczka była na stole. Po odejściu odwiedzających paczka została sprawdzona i wówczas całą brygadą, pod konwojem, przez tłumaczkę czekającą już tuż za majdanem, odprowadzali do miejsca stacjonowania brygady. Ale to sama brygada odprowadzała.

W pierwszych dniach poszliśmy obejrzeć ten preceder, bo żyliśmy nadzieją, że i nas ktoś kiedyś odwiedzi.

Przybyli członkowie rodzin zgłaszali swoje przybycie na-

czelnikowi rażimu/po polsku to chyba-rygoru będzie/, obozowego, mającego swą siedzibę przy wartowni, ten zaś odnajdywał-wie w jakiej hali, w jakiej bragadzie, sprawdzał, jak się zachowuje więzień-łagiernik, o której godzinie wróci i decydował-będą odwiedziny lub też nie będzie odwiedzin.

W każdym bądź razie paczki z żywnością były przekazywane, z uwagi na to, że jak więzień więcej jadł, to i chyba więcej robił.

W tych wypadkach, kiedy już któryś z członków rodziny więźniów otrzymał kilofem w głowę i muł go powiózł do zbiorowej mogiły, więc nadzierateli powiedziano-wasz syn, wasz brat, wasz mąż-wybył. I na tym się skończyło. Ludzie radzieccy byli już do tego przyzwyczajeni. Naszym rodzinom było nieco trudniej do tego się przyzwyczaić. Przeważnie wybył na etap - to ten etap ostatni, z którego się już nigdy nie wraca. A bywało, że i na etap wyjeżdżali ludzie w jakiejś innej odleglejszej miejscowości, bo bliżej nigdy nie więzi. W każdym razie odczucie na sam widok pobytu kogoś bliskiego w tej okropnej, przedstawiającej się masie ludzkiej, w tych nieludzkich warunkach, trudno sobie wyobrazić reakcję na stwierdzenie, że wasz syn czy mąż-wybył.

Setki, a może tysiące kilometrów przebytych ówczesnymi środkami lokomocji, gdzie na każdym kroku czyhali głodni rabusie czy mordercy, z workami sucharów, cebuli, w najlepszym razie wysolonej słoniny, jechały rodziny, jechały żony, siostry, matki po to, aby p<sup>d</sup>otrzymać skazańca i w końcu usłyszeć słowo - wybył, a często na kładbiszczu.

Ciche westchnienie, a może wyrzuty sumienia, że dzień czy za późno się wybrał w odwiedziny, może ta kromka chleba byłaby tą, która utrzymałaby przy życiu więźnia? Ciche zaklę-

cie, ale tylko ciche, bo w przeciwnym wypadku odwiedzający mógł podzielić los tego, który wybył.

W majdanie były powitania, uściski. Po jednej stronie peo-  
wizoryczną stół dla odwiedzających, po drugiej stronie  
więźniowie, po bokach klawisze. Każdy coś mówił, coś tłumaczył,  
coś pytał, widać, że chaotycznie. Na stole nawet spożywali cza-  
sem wspólny posiłek, przekazanie wałowy, smutne pożegnanie,  
cywile odchodzą, klawisze kontrolują worki, wypuszczają na  
teren obozu, no i jeżeli nie było kolegów, którzy by kon-  
wojowali, były sceny dantejskie. Na tych, którzy niosą paczki  
napada tłum, miażdży wszystko i tratuje. A co najgorsze, to  
wszystko co się dzieje, dzieje się na oczach odwiedzających,  
oni to widzą przez druty, widzą też na placu boju zawsze  
kilku zostaje, któż tam wie, czy to nie ten odwiedzany.  
Polityczni więźniowie ten problem rozwiązywali w sposób  
kolektywny. Jeżeli ktoś z brygady odbierał wałowę z widzenia  
lub z obozowej poczty, jest konwojowana przez całą bragę  
i przez całą brygadę jest konsumowana wałowa.

Święty wieczór ~~wyganiał~~ w brygadzie na czele z bryga-  
dzistą, który jako dodatkowego stróża na dzień zostawiał  
jednego z brygady na sali, w której mieszkało. Oprócz dzie-  
walnego czy portiera zostawiał jeszcze jednego dodatkowego,  
jeżeli coś jeszcze było naturalnie do ~~jędzenia~~.

Politycznych więźniów było w obozie około 20-tu. Ci byli  
silniejsi i dlatego po całodziennej pracy, po długotrwałym  
apelu, bo często znowu się nie zgadzało i aż do skutku ape-  
lowano do późnej nocy/, naczelnik obozu jeszcze kazał tych  
silniejszych, politycznych zagnać jeszcze do prac gospodar-  
czych. na terenie obozu.

Pomimo trudnych warunków i pomimo dużej śmiertelności,



mury fabryki traktorów w Mińsku, choć powoli, ale unosiły się na ogromnej powierzchni placu budowy. Bez przerwy jedną bramą wejściową i wjazdową wjeżdżały samochody amerykańskiej produkcji - studobekery z demobilu, dowoziły materiały budowlane. Drugą zaś od strony mohylowskiej szosy doprowadzona była bocznica kolejowa. Bocznicą przywożono materiały chyba z dalszych odległości, bocznicą również dowożono żwir na platformach, które gdzieś w żwirowni ładowali więźniowie o niższych wyrokach, gdzieś do pół roku i mniej. Cement i cegły przeważnie wożono i rozładowywano, i dostarczano, a na miejscu na dość dużą odległość przeważnie podstawowym środkiem transportu to była taczka. Murując w brygadzie murarzy mieliśmy tym lepiej, że nie musieliśmy pracować w wykopach, betonować na dużych głębokościach. Mogliśmy zażywać promieni słonecznych, których nam przez rok w więzieniu brakło, zasięg wzroku dość daleko sięgał.

Ja, osobiście byłem dość pojętnym uczniem murarskim i po kilku dniach murowania ścianek działowych, kazał mi murować ściany zewnętrzne z gzymsami różnymi nawet, z przerwami na okna i drzwi. Jedynie węży murowało kilku bardziej obeznanym z tym zawodem więźniów.

Codziennie prawie zdarzały się próby ucieczki, lecz zawsze prawie nieudane. Uciekinier, po porządnym oberwaniu od czekistów, doprowadzany był do obozu. To była jego też chyba ostatnia droga, bo już więcej na pewno nie chciał uciekać i nie miał na to siły. Były próby ukrycia się na terenie budowy, aby po wyprowadzeniu więźniów i zdjęciu straży na noc, ujsć, lecz to również nie dawało żadnych szans, gdyż konwój w pierw przeliczył brygady, jeżeli za-



brakło kogoś, wiedzieli z której brygady, brygada wracała na plac budowy i szukała, kiedy inni po kilkakrotnym przeliczeniu wracali do domu. Przeważnie uciekinier był znaleziony, raz nawet w wysokim na 30 metrów kominie. Wyciągnięto dachadziagę brudnego jak szatana, tak go zbito, że na drugi dzień leżał przy wartowni sztywny i czekał w kolejce na dźubnięcie go kilofem. Bardzo to smutne było, bo zrobili to jego koledzy, za to, że musieli go kilka godzin szukać. Takie przypadki nie zdarzały się raczej w brygadach politycznych.

Jedną z udanych ucieczek zanotowano w lipcu, kilka tygodni po naszym tam przyjeździe. Kilkuosobowa grupa byłych radzieckich oficerów, jak dziś pamiętam nazwisko Ponomarenko, to był prawdopodobnie lotnik, armii radzieckiej, a później może w armii własowa w niewoli, dokonała śmiałej ucieczki w biały dzień, normalnie przez wartownię. Na terenie budowy jako geodeci przychodzili jeńcy niemieccy. Czterech czy pięciu, cała brygada z aparaturą, pomiarowymi urządzeniami, listwami pomiarowymi. Ubrani byli w mundury niemieckie, jak niemieccy żołnierze, jedynie mieli na rękawie napis-antyfaszysta. Ci chodzili bez konwoju, posługując się przepustkami.

To było bardzo smutne, że oni chodzili bez konwoju, my zaś, którzy z nimi walczyli byli prowadzani przez liczne grono czekistów plus czteronogie wilczury.

Na placu budowy zdejmowali oni ubranie i wykonywali swoje czynności. Parchomienko i spółka rozpracowali sytuację. Przygotowali identyczne miarki, listwy itp., podsunęli niemieckie mundury, ubrali się w nie i śmiało przeszli przez wartownię. Poszli sobie.

Dopiero po jakiejś godzinie, może dwóch Niemcy zwrócili uwagę na brak ich ubrania. Czas jakiś minął na poszukiwanie. Wreszcie zgłosili na wartownię, że nie mają w czym wyjść. Wszczęto natychmiast alarm, gdyż wartownia widziała, że wychodzili Niemcy. Tym razem przyszli już ubrani tylko w jakieś kąpielówki czy podkoszulki ludzie, trudni do zidentyfikowania.

Nim to wszystko się wyjaśniło, wszczęto alarm na całej budowie, wszystkich więźniów na główną drogę prowadzącą do wartowni, przeliczenie w brygadach i doszli, tak dokładnie to nie wiem, czterech może pięciu. W każdym bądź razie tylu, ilu było Niemców, tyle wyszło Rosjan. To byli więźniowie polityczni. Byli to niegłupi ludzie, gdyż uszli bezpowrotnie.

Bo była taka zasada, martwych czy żywych pojmanych, przyprowadzali z powrotem do obozu i tu sądzili sądem pokazowym. Martwych naturalnie już nie. Martwy leżał kilka dni przy wartowni, w tym całym majdanie, z napisem, że w czasie ucieczki został zastrzelony i na postrach innym. Żywi natomiast w stołówce organizowali sąd pokazowy i skazywali, z tym, że w tym okresie u nich prawo głosiło zasadę przywrócenia mu pierwotnego wyroku, jeżeli odsiedział np. rok, to mu przywrócono rok, jeżeli pięć, to przywrócono pięć, zaczynał termin od nowa.

Powoli poznaliśmy się w brygadzie i w innych brygadach z rodakami z całej politycznej naszej hali, nawet z rodakami z części kryminalnej obozu, którzy trafili tam z byle przyczyn. To byli naznaczeni, że muszą tam trafić. Mówił kiedyś Ułanow na jednym z moich śledztw, przesłuchań, że pierwszemu, lepszemu spotkanemu na ulicy Grodna, na dziesięć lat winę

udowodnimy. I tak było. Z tym, że ci nasi rodacy, którzy trafili tam jako kryminalni, może trochę lepiej wyglądali i trzymali się trochę nas, pomimo, że kryminalnym nie można było zachodzić do politycznych, ale poza "nie wolno", przychodzili, przesiadywali, pozostawiali, jeśli coś mieli - machorkę czy jedzenie jakieś. Często to byli ci sami, jak Car czy Romańczuk. Ci sami chłopcy, ci sami byli akowcy, z tym, że nie przyznali się do winy, a, za posiadanie broni bądź za przekroczenie granicy otrzymali wyrok.

W naszej brygadzie większość Polaków była z północno-wschodnich kresów. Była też część Białorusinów, na pewno bogatszych ludzi, nie głupich chłopów naszych kresów. Na pewno nie lubili oni tej władzy, nie mniej też krytycznie byli ustosunkowani do przedwojennych władz polskich. Wyrażnie załatywało od nich białoruską narodówką, no i prawosławiem. Była bardzo sympatyczna grupa Polaków z terenów administrowanych przez Sowieców do września 1939 roku. /o nazwiskach - Mierzwiński, Krzyżanowski, Truskolaski, Ujazdowski, Widowski/. Nazwiska te świadczyły o ich polskości. Oni zaś, choć nigdy w wolnej Polsce nie żyli, wcale nie wypiera- li się przynależności narodowej. Świetnie rozmawiali ojczystym językiem. Była to, przypuszczam, ta szlachta z zaścianków Kmicicowskich tak zwanych. Sympatyzowali z nami, twierdzili, że to oni czekali na przyłączenie tych ziem, aż pod Dniepr do Polski. A stało się inaczej.

Był w brygadzie niejaki Józef Widowski, od Mohylowa. Początkowo liczyłem, że jest Polakiem. Okazało się, że jest czysto krwistym Niemcem. - nauczycielem z zawodu, uczył języka niemieckiego w średniej szkole, był oficerem w radzieckiej armii. Naturalnie zdradził swoją drugą ojczyznę, za co



został skazany na długie dziesięć lat pozbawienia wolności. Był niejaki Hes Konstanty od wołożyna spod Mołodeczna - pamiętam, że mimo iż miał czysto niemieckie nazwisko uważał się za Białorusina. Był staruszek Barbakan spod Orszy, rozśmieszał całą brygadę liczącą około 40-tu ludzi, no i tym zyskiwał sobie sympatię, także często jako chyba najstarszy w brygadzie miał najlżej, bo to wrzątek musiał dla brygady ugotować, to gdzieś coś podnieść, to czegoś podpilnować. Traktowano go ulgowo.

Widowski nie miał nic z charakteru niemieckiego. Był wesoły, dowcipny, szanował innych, uступliwy, grzeczny, dobrze wychowany. Wśród wschodnich słowian wytracił cechy germańskie. Pomimo, że świetnie władał niemieckim, wolał obcować z Polakami. Miał też dobrego kolegę Moskwiczana, Iwana Tiuleniewana pewno też oficera radzieckiej armii, skazanego za zdradę radzieckiej ojczyzny. Tiuleniew ze względu na sprytnie symulowaną chorobę, skurcz mięśni nóg, chodził jak bocian i był zatrudniony jako pomoc na obozowej poczcie.

Mieliśmy w brygadzie dwóch braci Hołodzińskich - Iwana i Michaiła. Pochodzili ze wschodniej Białorusi, od Osipowicz, około 40 kilometrów na południe Mińska. Kiedy już bardziej się obeznali, jeden z Hołodzińskich, starszy wiekiem, na imię miał Iwan, rzekł do mnie raz w tajemnicy - wiesz, w 1939 roku czekaliśmy was.

W ramach mobilizacji znalazłem się w Krasnej Armii, poszedłem na was, poniosłem radziecki raj na zachód. A co najbardziej zapamiętałem to było to, że w czasie wkroczenia do Grodna dzielnie stawialiście opór. Ten nasz generał - nie pamiętam już, jak się nazywał - Worobiov czy jakoś inaczej



ktory już kilkakrotnie na polską chodził - w dniu dwudziestego czwartego września - dostał dwie kule w samo serce, wybebeszał się z czołgu, a potem nie zapanował, jak rozstrzelali woli młodzieńca, podobnie kadet czy student. Jamę sobie w ogródku wykopał, a nasz dowódca patrolu z bliska strzelił mu dwa razy w potylicę. Biedak padając w ostatnią kwaterę, krzyknął - Jeszcze Polska nie zginęła.

- Wiesz, Tadeusz, my tu wokół Mińska bardzo z wami jesteśmy spokrewnieni i krew mnie zalewa patrząc na to widowisko. Lecz, cóż biedny żołnierz mógł zrobić. Dopiero jak przyszli Niemcy, to im pokazali i za to siedzę, kończyk swoją wypowiedź Hołodziński.

To samo widowisko widziałem i ja osobiście w Grodnie. Już wcześniej o tym mówiłem w swoich wspomnieniach. O dziwo, że stojący po przeciwnych stronach ludzie mieli w tej sprawie podobne uczucie mimo tego, że nosili wrogie mundury. Bracia Hołodzińscy z całą pewnością byli bardzo uczciwymi ludźmi. Przez ponad dwadzieścia lat poznawali smak radzieckiego chleba i woleli każdy inny chleb, byle tylko nie ten. I mieli w tym wiele racji.

Od szeregu lat przywykliśmy słuchać wszystkiego. To była dobra lekcja w tym względzie, że należy mówić jak najmniej, mówił kiedyś Hołodziński. W rozmowie z nim wspomniałem, co myślę na temat Katynia.

- Bratku - powiedział, to tak przeważnie mówią Białorusini - Katyń to pestka. w Związku Radzieckim są dziesiątki Katyni, dziesiątki tysięcy. My w każdej chwili możemy być ofiarami jednego z nich. Czy jeszcze wątpisz w to, kto to uczynił? Dla mnie, Białorusina nie odgrywa to większego znaczenia. Katyń, workuta, Winnica, Magadan, Komsomolsk, Białomorsk

Karaganda, Tomsk, Omsk, Irkuck i wiele innych miejscowości. Dla mnie każdy cmentarz obozowy jest jednym z wymienionych. Tam leżą umęczeni ludzie, którzy kiedyś byli żywi i nie byli wrogami tej władzy. To na ich kościach powstaje rosyjski socjalizm. Dość, chyba i tak za dużo powiedziałem. Nie przekazuj tego nikomu - dodał Hołodziński./nazwisko autentyczne/.

Moje przypuszczenia zgadzały się z jego poglądami. Pomimo narodowościowych różnic szanowałem jego odmienne widzenie wielu spraw. Szanowałem ich za trwałość i niezmiennosc swoich postaw: z czym się urodzili z tym chcieli być pogrzebani. Poczucie własnej tożsamości, które tak konsekwentnie było gnębione przez żydowską komunę uważałem za coś bardzo cennego. Żydzi mieli na względzie przede wszystkim dwa cele:

1. Zlikwidować antypatię innych narodów do Semitów.
2. Zrujnować wszystkie religie poza judaizmem.

W miarę bliższego poznawania ludzi uznaliśmy, że ja, Antek Hołownia i Marian Olszewski powinniśmy tworzyć grupę planującą ucieczkę. Był nam też potrzebny ktoś, kto znał język rosyjski, kto dobrze znał miejscowe obyczaje, znał prawo i był godny zaufania. Tym wymogom odpowiadał Widowski, który też zdradzał chęci do ucieczki.

Z Widowskim wiązała się sprawa Tiuleniewa. Nie wiedzieliśmy nic o tym, że Tiuleniew jedynie symuluje skurcze nóg i że tylko z powodu symulacji chodzi o kulach. Jak się później dowiedziałem, Tiuleniew podobnie jak Morozow, kwaterował w Polsce i urzeczony wdziękami jakiejś Polki ciągle o niej myślał. Ich marzeniem było ująć z obozu i dostać się na te-

ren Polski. Dlatego też chcieli pozyskać Polaków znających teren Polski, znających język polski, znających dojście do granicy i wybrali nas. Naturalnie nie zwierzając się ze swoich zamiarów, jedynie stopniowo i powoli, oględnie o tych sprawach, wciąż zdążali w tym kierunku.

Na tej przyjaźni wcale źle nie wychodziliśmy, gdyż widowski to był prawie goły jak bicz, z wojska był wzięty, wtrącony do obozu, a prawdopodobnie rodzina gdzieś jeszcze koło Mohylowa. Od czasu do czasu ktoś do niego przyjeżdżał, natomiast Tiuleniew to był w ogóle samotnik. Nie mniej jednak Tiuleniew pracując jako pomoc na poczcie, segregując listy, otwierając, zaklejając listy, po kontroli, otwierając paczki, chodził po obozie zawiadamiając do kogo paczka przyszła. A przy każdym otwarciu paczki zawsze otrzymujący coś dał. Ale było tak/może to niezbyt moralne/, paczka przychodziła do kogoś, kto już odszedł do wieczności i przypuszczam, że zostawała ona własnością Szefów poczty. A szefem poczty był oficer NKWD. Dla spokoju dostawał coś więzieni z obsługi.

W ramach tej przyjaźni od czasu do czasu jakiś sucharek bądź kostka cukru wpadła i dla nas. W każdym bądź razie Tiuleniew miał dojście na kuchni, jako pocztylion obozowy, no i stamtąd czasem jakaś menażka lury. W każdym bądź razie zaczęła się zawiązywać niby przyjaźń. Była to raczej potrzeba każdej ze stron inaczej sojusz i nie należało w to wątpić, że każda ze stron w krytycznej sytuacji mogła zająć stronę drugą. Bo ja bym nie sprzedał czy zdradził który z nas, ale gdyby nadarzyła mi się okazja dać nogę bez Tiuleniewa czy widowskiego, to bez wahania by to uczynił.



Kiedy w bardzo tajny sposób poprzez Widowskiego osiągnęliśmy niepisane porozumienie z Sireniewem.

Tak, jak wcześniej powiedziałem, Tiuleniew oświadczył bez ogródek, że nam są potrzebni ludzie znający teren, znający dojście do granicy i przejście na polską stronę. A później Widowski widocznie jako Niemiec, może jakieś snuł plany przesunięcia się dalej na zachód.

Tereny od Mińska aż prawie do granicy /300 km/, to w większości były zamieszkiwane przez ludność jeszcze polską, część już była repatriowana i jeszcze nawet grupy zbrojne istniały. Także na pewno byśmy sobie dojście do granicy znaleźli.

Tiuleniew miał wiele czasu i bogaty doświadczeniem wojennym, a więc mógł układać różne śmiałe wersje ucieczek. Był oficerem wojsk pancernych, obeznany z techniką, władający kilkoma językami. Widowski, jak się później okazało jako Niemiec, przy pierwszej okazji przeszedł na stronę niemiecką. Po kilkudniowym przeszkoleniu w tym samym mundurze sowieckim z lekką raną w dwuosobowej grupie został zrzucony na tyły wojsk sowieckich i działał na rzecz armii niemieckiej jako wywiadowca. W sowieckim mundurze wcielony do kompanii, rzekomo z rozbitej, cofającej się jednostki, wcielony do kompanii i na froncie wprost z linii frontu, umownym radiotelefonem czy innym środkiem przekazywał wiadomości dla Niemców. Tego się wcale nie wstydził, pracował dla swoich.

Po kilkakrotnych przejściach frontu przeszedł jeszcze przeszkolenie w Austrii w jakimś punkcie szkolenia wywiadowców i jeszcze raz. W każdym bądź razie był kilkakrotnie przerzucany przez Niemców, kilkakrotnie przy cofającej się



armii, dostawał się do Niemców. W każdym bądź razie, samoto dawało rękojmnę, że są to ludzie sprytni, zdolni ludzie i z nimi można było iść na pewne układy, do pewnego czasu. Nam więcej nic nie było potrzebne. Chodziło nam o wyjście z obozu, a dalej to już dojście do strefy przygranicznej. Cel uświęca środki. Nie byli to dla nas koledzy, ani polityczni, ani narodowościowi, ale był wspólny interes.

Tiulejew opracował wersję ucieczki, ryzykowne, śmiałe, wprawdzie o znikomym procencie szans na powodzenie.

- 1/ Na terenie budowy dowożono cegły samochodami amerykańskiej produkcji /sodrami/. Kierowcy cywile podczas rozładunku oddalali się często od maszyn. Rozładunku dokonywała brygada. Do tego należało sprowadzić, żeby pójść do brygady rozładowywać samochody z cegłą. Plan był ułożony w taki sposób - środek samochodu się wyładowywało, tak, że ściany i bory samochodu z tyłu były wyłożone cegłą. Tiuleniew miał jako kierowca przejść również do brygady roboczej i usiąść do samochodu. Prosto do wartowni, drewniano-druciane wrota tylko by trzasnęły. Samochód miał wysunięty zderzak przedni i tylko by bryzgi poszły, a cała brama znalazłaby się na wartowni albo na wyżce. A cegła obłożona z boku dałaby rękojmnę bezpieczeństwa, jeżeli by konwój zaczął strzelać. To był jeden z pierwszych planów.
- 2/ Od strony mohylowskiej szosy na teren budowy prowadziła linia kolejowa, którą dowożono materiały budowlane, w tym żwir. To była nadhylnia gdzieś może 8-10 stopni od strony zewnętrznej na plac budowy i na wzgórzu przy betoniarkach wagony zatrzymywano. To były

platformy, spędzano je na zapasowe tory, z których więźniowie rozładowywali. Podobna sytuacja - wygrzebać środek piasku, ułożyć się w nich, wyrzucić podpory spod kół i zepchnąć wagon, a wagon sam już te półtora może koło kilometra pojedzie w dół strzałą. Z tym, że taka szansa też znikoma, podobnie jak poprzednia. Jednak, kiedy myśmy to planowali, więźniowie kryminalni zrealizowali ten plan.

Wagon nabrał takiej szybkości na tym odcinku do kilometra po nachylni, że gwizdał jak lecąca bomba. Pod wieczór było, jak stuknął w bramę, jak posłyszał wartownik stojący przy bramie, to zaczął uciekać. Jak trzasnął w bramę, to brama zaleciała na wartownię i jeszcze drzwi przymknęła. Oni z wartowni nie mogli wyjść, a wagon dalej po nachylni poszedł i dalej łukiem aż do lasu, do żwirowni.

Pojechało ich ośmiu wtedy. W pewnym momencie wagon wytracił szybkość. Z ośmiu tylko jednemu się udało zbiec. Jednego nie przyprowadzili.

Był nim Poleszuk z Polesia o nazwisku Pińczuk, był sowieckim lotnikiem w niewoli niemieckiej, ale dostał się na Polesie i tam rodzony teść jego podkablował i po jakiś dwóch miesiącach przywieźli go do obozu i sądzili go i dołożyli mu na cały gwizdek i dalej Poleszuk został razem z nami.

Pojony myślą o ucieczce, dzień i noc snułem nie marzeń, jak, dokąd się udam? Kto mnie przyjmie? Czy są jeszcze niespalone nasze meliny? Jak przyjmie mnie, mój powrót Jadzia, moja dziewczyna?

Czas płynął, budowa rosła. Od czasu do czasu przyjeżdżał ktoś z najbliższych.

Utkwił mi w pamięci 15 sierpnia 1947 roku, dzień pa-

miętny, gdyż kościół nasz pałafialny czcił w tym dniu pa-  
tronkę Matkę Boską, pospolicie zwaną Zielną. Wracaliśmy z  
pracy. Zauważyłem jak stała po drugiej stronie rowu cała  
grupka ludzi z wałówwami. Oni przyjeżdżali w odwiedziny do  
swych najbliższych. Cała kolumna przechodząc robi-w lewo  
patrz, i wpatruje się. Każdy chciałby poznać kogoś z swoich  
bliskich, który, jeżeli się pozna, woła z kolumny-mamo, siostró,  
siostrzyczko, braciszku, żono, synku, ale więcej to były kobie-  
ty.

Rozpoczęły się nawoływania z jednej i drugiej strony.  
Smutne to i przykre, ale dla niektórych szczęśliwe, bo w koń-  
cu, po jakimś czasie zobaczyło się kogoś swego.

Tego dnia ja poznałem w tym tłumku swoją ukochaną, biedną  
mamę, zmęczoną podróżą i okropnym upałem, a ponadto wstrząsa-  
jącym widokiem, jaki przedstawiała powracająca z pracy kolum-  
na, pod czujnym okiem konwojów z psami. Tuż obok mamy stała  
skulona dziewczyna, o jasnych włosach, może to ona? Tak, to  
ona. Przyjechała razem z moją mamą.

-Mamo-krzyknąłem-Jadziu-zacząłem machać rękoma. Poznały.

-Dzień dobry, zaraz dadzą widzenie. **Jaks** kończy się tylko  
powrót kolumn z pracy-krzyknąłem idąc w kolumnie.

Inni krzyczeli do swoich. Byłem szczęśliwy. Przyjechały.

Po zakończeniu liczenia powracających więźniów i wieczor-  
nym posiłku, na który tego dnia nie poszedłem, przygotowy-  
wałem się na widzenie. Myślałem, co powiem? Co powiem mamie?  
Co powiem Jadzi? Którą z nich należy wpierw powitać? Myśli  
chaotycznie latały po głowie. Mamę, mamę, na pewno mamę. -  
-coś tam wewnątrz mówiło.

Piękny dzień sierpniowy, słońce miało się ku zachodowi.  
Brygady już były po kolacji. Z drżeniem serca czekałem na



widzenie. Ciekawe, czy dadzą? Jak ono przebiegnie? A przecież może oper nie zezwolić, mogą też inni obozowi ludzie napisać na prośbie mamy - nie razreszaju albo waspraszczaju. I wówczas dopiero żal ściśnie serce matczyne, że po tak ciężkiej podróży zobaczywszy z dala swego pierworodnego, trzeba będzie wrócić do domu, nie wymieniwszy z nim ani słowa. Kto wie, a może ostatniego?

Aż wreszcie przyszedł oczekiwany dyżurny klawisz do miejsca zamieszkania brygady, wyczytując również i moje nazwisko i tych kolegów, do których tego dnia przyjechali. No i władze obozowe wyraziły zgodę na widzenie. Wśród około 50-tu wyczytanych byłem również ja. Ja, niepoprawny syn swoich biednych rodziców.

Zajęliśmy miejsce w majdanie przy wartowni po jednej stronie, po drugiej stronie przyjezdni. Jak zwykle obsekwający klawisze.

Przebieg widzenia.

Najpierw uprzedzono, żeby nie przekazywać żadnych przedmiotów, broni, urządzeń, ostrych przedmiotów, noży, napojów alkoholowych, bądź listów poza cenzurą. W wypadku naruszenia tego widzenie zostanie przerwane, a osoba naruszająca regulamin będzie pociągnięta do odpowiedzialności. Tak uprzedzono nas, tak uprzedzano ich, po drugiej stronie wartowni. Kolejno wpuszczano przyjezdnych. Wphodzili nieśmiało, przyglądając się nam i poszukując swojego skazańca siedzącego za stołem. Weszła mama i Jadzia, dżigając dość okazałych rozmiarów walcówki.

Krzyknąłem - Mamo, ja tu, chodźcie. Przez stół uczepiłem się szyi mamy, ukochanej, najukochańskiej.

-Mamo-wpółkałem -jaksx się cieszę, że Ciebie widzę-uscis-



kałem, całowałem jej policzki i jej ręce. Długo traliśmy w objęciu. Jadzia czekała obserwując ten niecodzienny widok.

-Przywitaj się z Jadzią wreszcie -rzekła mama. Przywitałem się również gorąco, Usta splotły się w długim pocałunku.

-Dziękuję, dziękuję, żeście przyjechały, że chociaż chwilę jesteście razem -rzekłem siadając po swojej stronie.

Chwilowo zabrakło mi oddechu. Nie mogłem odezwać się pierwszy.

-Mówcie. jak zdrowie, jak żyjecie, jak tatuś, siostry, Romek? Wanda, Jadzia/siostra/?

Zacząła mama-synku kochany, jakże ty tu żyjesz? To przecież istne piekło, tyle, że na ziemi. Patrz, jacy za tymi drutami wynędzniali ludzie. Synku, jak ty to przeżyjesz?

-Przeżyję mamó, jestem młody, silny. Ci, to kryminaliści, sami siebie wykańczają. Nasi to tu stoją, przy samej bramie. Czekają na nas, nie dadzą nam zrobić krzywdy. Chodzimy kupą, bo żaden z tych szakali nie ośmieli się zaczepić.

-Synku, może coś wspólnie zjemy? Jadzia w tym czasie przygotowywała posiłek, na który wcale nie było apetytu.

-Synku, dziecko moje, jaki ciężki spotkał ciebie los. My w domu modlimy się wszyscy za ciebie. Całą drogę jadąc, błagałam Matkę Boską Ostrobramską, aby szczęśliwie dojechać i uzyskać widzenie. Prośbie mojej stało się zadość. Tylko ojciec źle się czuje. Astma go męczy. Porzucił palenie. Bardzo przeżył twoje aresztowanie, sam noc spędził za kratami. Dziewczęta i Romek wciąż ciebie wyglądają. Kto wie, jak długo? Żadnej nadziei na rychły powrót. Wszystko się uciszyło w polityce. Zapadła klamka.

-Synku, po uprawomocnieniu się wyroku, twoją część zabrali. Mocno nas ograbili. Zabrali co było możliwe do zabrania. Inwentarz martwy, inaczej budynki, policzyli w taki sposób, żeby inwentarz żywy można było zabrać. Ciężkie czasy-biadoliła biedna mama. Mocną siwizną pokryły się jej skronie.

-Jadziu, mów co u Ciebie?-chwytając ją za ręce, patrzyłem w oczy.

-Tadziu, podziękuj wszystkim, że nasz Kazio wrócił. To i wawsza w tym zasługa. Jest w domu, zaczyna pracować w POMie. Kazio to Jadzi brat, jeden z najmłodszych w naszej grupie, który się nie wplątał, dzielnie się spisał i półtora roku po nas była sprawa sądowa i został uniewinniony i zwolniony do domu. Miał wówczas 16 lat, jak został aresztowany. Tadziu, ty wiesz, ja ciebie kochałam, ile przeżyłam. Wciąż żyję nadzieją, że wrócisz. Listy Twoje zbieram, numeruję, zdjęcie Twoje oglądam codziennie, powiedz, czy mogę mieć nadzieję, że wrócisz? Pójdę za Tobą wszędzie, gdzie Ciebie ześlą, gdzie będziesz Ty, tam i ja. Żyję nadzieją, przetrwaj, ja będę czekała.

- Synku-przerwała mama-nie myśl o ucieczce, to nie ma sensu. Sam zginiesz i nas zniszczysz. Pamiętaj, uważaj na siebie. Bóg pozwoli, wrócisz. Jadzia będzie na Ciebie czekała. To dobra dziewczyna.

Te słowa pokrzepiły mnie. Spojrzałem na nią. Lekki rumieniec pokrył jej oblicze-było piękne, lecz już nie tak, jak wczesną wiosną 1944 roku, kiedy zobaczyłem ją po ucieczce z obozu niemieckiego z Białegostoku.

- Mamo-rzekłem-wybacz wszystko, co przeze mnie wycierpiałś. Wiem, że to straszne. Cóż zrobić. Miliony nas, miliony matek, żon, narzeczonych, sióstr cierpi za to, że byli przedtem

razem z nami. My idziemy śladami naszych przodków, módlcie się za nas, bo tylko jeszcze w Bogu nadzieja. Pozdrów mamę, ojca, siostrzyczki i mocno uściśnij Romka, niech wyrasta na moje miejsce. Żyję nadzieją, że wrócę. Jadziu czekaj. Jak wrócę, będę Twój-mówięm te słowa bez wiary w ich realność. Jadziu, pozdrów Kazia, rodziców, tych, którzy zostali-niech śpią spokojnie. My wytrwamy.

- Rozumien-odrzekła dziewczyna-chodziło o tych, którzy jeszcze nie byli spaleni.

Jeden z klawiszy dał znak, żeby kończyć rozmowę. Podobnie trwało to już ponad pół godziny. Minęło jak jedna minuta. -Dbajcie o zdrowie. Niech siostry i Romek się uczą. Ucałuj mamę ich ode mnie, przeproś ojca. Wiem, że on się na mnie gniewa. No, cóż podobne losy on w swoim wieku też przeżył. Wiele podróżował, po tym przeklętym przez Boga kraju, a dziś mnie to dotknęło. Ojciec był w wojsku obcym, ja zaś więzień obcego więzienia.

- Synku, szanuj się -szepnęła mama-kiedy znowu ucałowałem Jej sterane dłonie, jej zmęczone policzki, jej siwizną pokryte włosy. Uściśnięcie matczyne czułem tak, jak kiedyś, kiedy miałem cztery może pięć lat, tak błogie, tak serdeczne i tak pełne żalu, że nawet najtwardsze serce się wzruszy.

-Bądź zdrow, już pójdziemy.

-Kończyć-pokrzykiwał klawisz, kolejno wyczytując nazwiska odwiedzających. Wypuszczając ich przez wartownię zwracając przy tym zatrzymane dowody osobiste. Część, kochana Jadziu, bądź zdrowa-szeptalem. Dłonie nasze zwarły się w serdecznym uścisku. Ona mi do dłoni włożyła swoje zdjęcie i obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej.



Jeszcze jeden pocałanek. Już klawisz wzywa je do opuszczenia majdanu.

-Do widzenia, będę czekała, do widzenia.

-Synku, będę się modliła o twoje zdrowie-opuszczając obóz mówiły odwiedzające mnie i nie tylko mnie osoby.

Jeszcze za bramą obejrzały się ,pożegnały lekkim ruchem rąk i znikły w mroku wieczoru, bo już było szaro.

One wracały do domu, do rodzeństwa, zadowolone z widzenia. Niemniej jednak, co niosły w sercu, to tylko one wiedzą.

Klawisze, po dokładnym sprawdzeniu przekazanych nam wałówek, otworzyli majdan, gdzie za bramą stał szpaler ze wszystkich brygad, których ludzie brali udział w widzeniu. Otoczeni ścisłym konwojem, tak, aby rozhukana tłuszcza nie rozgniotła nas, a przede wszystkim naszych paczek, dobrnęliśmy do miejsca zamieszkania, tzn. do naszej hali.

Tu muszę nadmienić, że w dniu i w tym samym czasie, odwiedziny miał Marian i Antek. Poza nami jeszcze kilku ludzi, już bliżej nie pamiętam, otrzymali paczki pocztą. w brygadzie była istna sielanka. Wspólna kolacja, haracz brygadziście, haracz dla mistrza Charytona. Wydawało się, że nie ma głodnych na świecie.

Współlokatorzy suto i niecodziennie się posiliwszy, usnęli snem sprawiedliwych. Tej nocy prawie nie usnąłem, myślałem o przebiegu widzenia. Dlaczego nie wszystko powiedziałem? Dlaczego coś tam jeszcze nie zapytałem? Dlaczego byłem chłodny w obejściu? Czy nie zbyt dziko wyglądałem? Jakie sprawiłem wrażenie na dziewczynie? Czy naprawdę będzie czekała? Jak długo? Skrycie oglądałem Jej zdjęcie, całowałem, marzyłem. Myślałem, gdzie są teraz? Może na dworcu? Może pędzący pociąg niesie ich już na zachód w stronę



Polski. Biedna mama, która nie przespała tyle nocy, jak ona to zniesie i czy doczeka mojego powrotu. Czy ją kiedyś jeszcze zobaczę?

Te myśli nie dawały mi spokoju aż do pobudki, która przerwała rozmyślanie przywracając smutną, obozową rzeczywistość. Mycie się, skromne śniadanie, apel poranny, wyjście do pracy, pozostały w obozie tylko obsługa i chorzy naprawdę. Bumentlant nie uzyskałby na pewno zwolnienia, chyba, że po znajomości.

Po rozmowie z mamą nieco ostygł zapal do ucieczki. Rzeczywiście rodzinę mogli zniszczyć przez wywiezienie na "białe niedźwiedzie". Ja i tak już byłem stracony - niech będzie, co Bóg da. Nie zwierzałem się z tej myśli w tajemniczym w organizowaniu ucieczki, gdyż nie wypadało udawać, że się boję. W końcu sierpnia drugą wersję planowanej przez nas ucieczki wykorzystali kryminaliści. Byłem na budowie i z trzeciego piętra widziałem, jak po torach coś zahuczało, potem huk przemienił się w gwizd, podobny do spadającej bomby. Następnie uderzenie, trzask, łomot, gwizd - to wagonowa platforma poszła po łuku w stronę lasu. Ramę zarzuciło aż na wartownię, a stojący przy niej klawisz zwiął w stronę wartowni.

Natychmiast zarządzono zbiórkę, sprawdzanie brygad. Po sprawdzeniu w brygadach okazało się, że brak sześciu ludzi. Pięciu z nich w terminie trzech miesięcy wróciła do obozu z powrotem, gdzie odbywały się pokazowe sądy. Przeważnie w tym czasie dokładali im do poprzedniego wyroku. Jednemu z nich udało się zbiec. Był to podobno lotnik sowiecki z Polesia, o nazwisku Pińczuk. On również po pewnym czasie wrócił do obozu po dokładkę - rodzony teść go podkablował.

Od tego czasu rampa do rozładunku wagonów została zabezpieczona w taki sposób, że bezpośrednio nie można było zepchnąć wagonów w dół, tylko trzeba było najpierw wypchnąć go pod górę na tor właściwy i dopiero puścić w dół. Dodatkowo kapusie mieli nad tym nadzór.

We wrześniu 1947 roku nasz brygadzysta Kinkwiszwili został wywieziony do innych obozów. Odetchnęliśmy z ulgą. Charytona zostawił do opieki nad nami, aż wybierze się brygadzystę. Ja umiałem po rosyjsku pisać i czytać i najlepiej chwytalem murarską robotę. Życie obozowe płynęło wartkim potokiem, niektórych unosząc do wieczności, innych na daleki Sachalin, Karagandę, workutę i nie wiadomo gdzie jeszcze. Na ich miejsce przywożono nowych, aby ich wyżyłować, zamorzyć głodem, a wtedy już poza chlebem niczego więcej nie zechcą. Chciano ludzi poskromić ciężką pracą i głodem wmawiając, że żyje się w raju, że Stalin to najlepszy przyjaciel wszystkich narodów świata. -podobno w młodości zasady prawosławia studiował/jeśli w ogóle coś studiował/.

Do domu pisałem często, do Jadzi coraz rzadziej. Nadchodziła jesień - nic z planowanych ucieczek. Po pracy odwiedzałem co dzień Tiuleniowa. W jego kantorku zawsze było coś zjeść i to dobre rzeczy. Odbierający paczki zawsze czymś częstowali. Ja, Antek, Maniek Widocki już głodu nie zazналиśmy, a to było bardzo ważne. Praca mnie nie męczyła, bo polegała na rozstawieniu ludzi zgodnie z poleceniem mistrza, zadbanie o materiały. Współpraca z kolegami układała się bardzo dobrze.

Późną jesienią wysiudano nas z hali, gdzie zaczęto przygotowywać do montażu maszyn. Nas przeniesiono do ogromnych namiotów ustawionych na placu obozowym, ocieplanych przez

blaszane trociniaki. Duże zagęszczenie ludzi, ciągłe palenie w blaszakach stwarzało możliwość przetrwania zimy. Spanie znowu na piętrowych pryczach. "Kurki" mieli ułatwiony dostęp do naszych rzeczy. Wystarczyło rozciąć namiot i wyciągnąć coś spod podglówka, bo tam więźni trzymał swoje rzeczy. Jeśli byli złapani na gorącym uczynku płacili drogo, a nawet cenę najwyższą. To nawet nie odstraszało "ilagryków". "Ilagrykiem" nazywano człowieka ostatecznie wykończonego, który nie zdawał sobie sprawy co robi, nie liczył się z konsekwencjami, jadł wszystko - trawę, liście, odpady ze śmietnika. Było to ostatnie stadium wycieńczenia ogólnego.

Zima 1947/48 zapowiadała się niezbyt groźna, śnieg padał z umiarem, nie było mrozu ponad 20 stopni, trochę dmuchało i to było najgorsze, bo rano na pryczach wszystko było białe od śnieżnego puchu. Leżący ludzie wydawali się, że są cementarnymi, białymi kopczykami. W miejscu, gdzie oddychano był lejek powstały w wyniku wdychanego powietrza. Brak otworu świadczył, że śpiący usnął snem wiecznym.

W takich warunkach przeżyliśmy Wigilię Bożego Narodzenia, spotkaliśmy Nowy Rok. Brygada nasza dobrze się prezentowała. Scementował ją tytuł "kontryki", tzn. kontrewolucjoniści, poza tym większość to byli Polacy, następnie Białorusini. Na 40-tu, ponad 30-tu otrzymywało pomoc z domu. Wszystkich łączył jeden cel przetrwania. Żaden "urka" nie śmiał zaczepić nikogo z naszej brygady, chyba przez omyłkę. Istniała zasada - jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Taki stan rzeczy nie był na rękę "operatywce", ale nam dawał szansę przetrwania.

W pierwszych dniach stycznia 1948 nasz stary znajomy Kliukow ze sztabu WOP Białorusi odwiedził nasz obóz.



Nikt by o tym nie wiedział, gdyby nie to, że pewnego wieczoru posłaniec /operatywny oficer do spraw wywiadu wewnętrznego/ przyszedł do naszego namiotu i zawiadomił mnie, że mam się udać do "opera". Byłem pewien, że ktoś z naszych na wolności wpadł, a to będzie dalszy ciąg przesłuchania. W tej części hali, gdzie mieściła się administracja obozu, było kilka uszczelnionych pomieszczeń, które zajmowała "operatywka czeka". Wszedłem i bez trudu poznałem za biurkiem siedzącego - Kliukow, jak zawsze spokojny, gestem wskazał taboret. Usiadłem.

- Chyba poznajesz? - zapytał.

- W ogniu bym ciebie poznał - żargonem więziennym odparłem, patrząc w jego świdrujące ślepia.

- Myślałeś, że się nie spotkamy, a tu niespodzianka, ja pamiętam o swoich interesantach i stawiam sobie za cel dopiąć sprawę do końca. W czasie rozprawy przed wojennym trybunałem nie przyznałeś się do winy, ja zaś jestem przekonany, że zdradziłeś z bronią w ręku radziecką ojczyznę. Terroryzowałeś ludzi radzieckich. To było sprawą twoich rąk i myśli. I po półrocznym pobycie w obozie na pewno się przekonałeś, że upór nie ma sensu. Wyrok zapadł, w tej sytuacji nie będzie zmieniony, a twoje przyznanie może ci tylko pomóc przy warunkowym, wcześniejszym wyjściu z obozu.

- No, pomyślałem sobie - obiecujesz tak jak obiecał Griszyn dla Dojnowicza.

- Kliukow, czy ty naprawdę nie masz bliższej rodziny ode mnie? zapytałem i tu posłałem mu całą wiązaną niewybredną łacinę. Nic nie mam ci do powiedzenia, na darmo tracisz czas sobie i mnie. Tak dobrze szła karta, bo grałem właśnie, a ty mnie przerwałeś. Mówiłem, że wcale nie tęsknię za wolnością, że jest mi tu dobrze. Książką zarobię sobie na obozową pajkę.



Czekista ani mrugnął okiem. Spokojnie słuchał, aż wreszcie powiedział: "widzę jednak, że się nie zmieniłeś, że pozostałeś tym samym grodzieńskim Tadeuszem, mam nadzieję, że za dziesięć lat będziesz zupełnie inny.

- Na pewno za dziesięć lat będę o dziesięć lat starszy i bardziej doświadczony, ale nadal będę Tadeuszem - odparłem zadowolony, że jak na razie czekista nic nowego nie wnosi do mojej sprawy.

- więc na dziś starczy, mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, ja jestem uparty - rzekł Kliukow.

Wstałem i nie mówiąc do widzenia wyszedłem zadowolony z siebie, że tylko tyle ode mnie chciał Kliukow.

Po powrocie dyskretnie omówiłem sprawę z Antkiem i Mariannem. Musieli przecież wiedzieć, że nadal jesteśmy w kręgu obserwacji. Z listów dowiedziałem się, że rodzina Gierdewiczów/moi cioteczni/ została doszczętnie zmiażdżona - Jadzia została dresztowana, ojciec zbiegł. Wkrótce Gierdewicza zatrzymano i osadzono w areszcie, ..era zaś w sposób nielegalny przekroczyła granicę do Polski.

Od nowoprzybyłych z Grodzieńszczyzny dowiedzieliśmy się, że ostatnie grupy zbrojne w okolicy Porzecza, Druskienik, Sopoćkiń ulegają stopniowemu rozbiciu, masowe aresztowanie ludności wspierające podziemie. Najdłużej trzymające się grupy zbrojne fali Niemna dożywiali ostatnich swych dni. Najohydniejsze metody działania "Czeka" skierowano przeciwko tym, którzy jeszcze nie pogodzili się z niewolą, pomimo ciągłej walki o życie, walki z współtowarzyszami niedolinkryminalistami.

Czas pędził z szybkością 40000 km na dobę. To smutne, że najbardziej dokuczali sobie w tym ciężkim życiu sami więź-

niowie:Urki a wśród nich jeszcze "małolaty" i kapusie.Re-  
żim najsurowszy był dla "kontryków", a najłżejszy właśnie  
dla małolatów.Ale i tak polityczni trzymali się najlepiej.  
Wśród nas była najniższa śmiertelność i najwydajniejsza pra-  
ca.Unikaliśmy karcerów i izolatek,w czym celowali krymina-  
liści.

W 1948 roku dowiedziałem się z listów od rodziny, że brat  
Antka, Józek coraz częściej odwiedza moją dziewczynę.Taką sa-  
mą wiadomość otrzymał też Antek od swoich rodziców.Oni nie  
byli z tego zadowoleni.Jej listy - podobnie jak i moje - by-  
ły coraz chłodniejsze.Zaskoczony,przez kilka dni myślałem  
nad odpowiedzią.Postanowiłem zerwać.Wszystko za tym prze-  
mawiało za tym.Wreszcie napisałem obszerny list,omawiając  
naszą przyjaźń,pełno w nim było goryczy.Zapowiedziałem, że  
jest to mój ostatni list i że odtąd żadne dane sobie słowa  
nas nie wiążą.Dziękowałem za pomoc,której wielokrotnie od  
niej doświadczyłem.Trzykrotnie się rozstawaliśmy:pierwszy  
raz,gdy szedłem do obozu niemieckiego,drugi raz gdy szed-  
łem do lasu i trzeci-gdy aresztowali Sowieci.Tym razem "do  
trzech razy sztuka" nie udało się.

Zwróciłem jej zdjęcie,a zatrzymałem obrazek Matki Bos-  
kiej Ostrobramskiej i wysłałem list przez znajomego kierow-  
cę.Odpowiedzi nie oczekiwałem.Ponieważ utrzymywałem łączność  
listowną z domem podobnie jak Antek,wiedziałem - co się dzie-  
je.Wkrótce dowiedziałem się, że wyszła za brata Antka, że od-  
było się wesele.Jakoś to zniosłem.Często myślałem o tym wie-  
czobami i żałowałem, że nie mogę odwdzińczyć się tym samym.

Mnie pozostawała teraz tylko bezwzględna walka o życie,  
ale nie za wszelką cenę - nie mogło być mowy o współpracy

z wrogiem. Ten termin "wróg" stale był aktualny. Przypominała nam o tym nawet codzienna formuła zmiany warty: "Posterunek nr 1 strzegący wrogów narodu - zdał", "Posterunek strzegący wrogów narodu nr - przyjął". Taką formułkę słyszało się na każdym kroku niezależnie od tego czy było się więźniem politycznym czy kryminalnym. Pomijając więźniów politycznych - w radzieckich więzieniach było wielu więźniów pospolitych, a zwłaszcza małoletnich, których w takich to warunkach wychowywano na najlepszych obywateli radzieckiej ojczyzny.

Nadeszła wiosna 1948-go roku, kiedy to znowu grupową ucieczkę zorganizowali "urki". Głównym organizatorem był więzień chodzący o kulach, przypominający marynarza z "Aurory", który nigdy nie rozstawał się z koszulką marynarską i pełnił funkcję portiera w jednej z sal kryminalnych. Wczesnym wieczorem obrzucili butelkami z karbidem wyżkę strażniczą, wystraszony czekista uciekł, a oni po przecięciu drutów wcześniej upatrzoną drózką zbiegli z obozu. Apel tego wieczora trwał do rana. Po długich przeliczeniach ustalono, że zbiegło około 20-tu więźniów, głównie kryminalistów. Zbiegł też ów marynarz, zostawiając swoje kule i wówczas okazało się, że służyły mu one jedynie do pozoracji inwalidztwa. Przez najbliższe dni byli wykapywani w okolicach Mińska przeważnie na kradzieży czy rozbojach i doprowadzani do obozu. Tu czekał ich pokazowy proces, a następnie przedłużenie dotychczasowego wyroku conajmniej o 5 lat. Często było też tak, że wyrok rozpoczynał się od nowa od dnia schwytania podczas ucieczki. Podczas mojego pobytu w tym obozie tylko niewielka część uciekinierów nie została schwytana, w tym ów "kula-wy" marynarz.



Przed Wielkanocą odwiedziła mnie siostra Teresa z siostrą Mariana - Moniką. Była ona bardzo aktywną łączniczką naszego podziemia. Dobrze wiedziała, że do dziś może chodzić na wolności. Podczas widzenia Monika niedwuznacznie powiedziała, że ostatnie oddziały w naszych stronach schodzą ze sceny, że nie skąpi się im wyroków. Teresa informowała natomiast o złym stanie zdrowia ojca, że męczy go astma, że jest bardzo zmartwiony też z mojego powodu. Nic pocieszającego: przez cały czas są śledzeni i straszni "białymi niedźwiedziami". Życie jest coraz trudniejsze. O byle co trzeba długo stać w kolejce, a o mięsie, cukrze czy mięsnych potrawach nie ma nawet co marzyć. Podobnie jest z tekstyliami. Jedyną podporą jest ojciec, który od leczonych ludzi otrzymuje środki do życia. Czasem sklepowi coś sprzedadzą coś poza kolejką i tylko to nas ratuje.

Mama przechorowała spotkanie ze mną w obozie w sierpniu ubiegłego roku. Siostra pocieszała mnie, że powinienem zapomnieć o Jadzi: dziewcząt teraz jest wiele i abyś tylko wrócił - znajdziesz swoją. Podczas pożegnania Monika szepnęła mi, abym nie myślał o ucieczce, bo to nie ma żadnych szans.

Po obozie krążyła wiadomość o montowaniu nowych obozów dla więźniów politycznych w odległych rejonach ZSRR. Nie mieliśmy wątpliwości, że to właśnie my z §70 tam trafimy. Na Białorusi mieli pozostać tylko więźniowie kryminalni i to z małymi wyrokami. Nie żałowaliśmy rozstania z więźniami kryminalnymi. Smuciło nas tylko to, że im dalej nas wywiozą, tym oddalamy się od Ojczyzny, a tym samym nasz powrót staje pod znakiem zapytania. Swoje załamanie wyładowywaliśmy na "urkach". Jeśli któryś z nich wpadł w nasze ręce było więcej niż



pewne, że więcej już tu nie trafi. Starcia z nimi zdarzały się codziennie, a powodów do tego było wiele. Człowiek nabierał wprawdy do przetrwania smutnej rzeczywistości. Przypominały mi się słowa ojca: życie - synu - to nie jest bajka, to często smutna rzeczywistość.

W czasie wieczornych rozmów często zaznaczały się między nami różnice narodowościowe. W każdej grupie znajdował się ktoś, kto trzymał w ryzach choćby część ~~pp~~ swoich rodaków. Gdyby któryś z Polaków poszedł na współpracę z Czekami czy nawet z "Urkami" - ciężki i niedługi miałby żywot. Wśród "Urków" była wyraźna drabina zależności dyktowana osągnięciami kryminalnymi na wolności. Najniższym stopniem był "szestiorka", który miał obowiązek służyć wszystkim ślepo /oczywiście uprzywilejowanym/. Taka drabina zależności sięgała aż do "diejstwitielnowo wora", to był już stopień generalissimusa. Rzeczywisty wor nie brudził sobie rąk włożeniem do cudzej kieszeni, chyba że to była kieszeń wyjątkowa, wypchana na przykład walutą. Taki osobnik snuł plany poważnych ucieczek, plany fałszowania poważnych dokumentów, jeszcze w obozie układał plany skosków, które będzie przeprowadzał po wyjściu na wolność, planował likwidację ludzi niezależnie od tego, czy to był członek gangu /niewygodny/ czy ktoś zupełnie inny.

"Urkowie" posługiwali się swoim żargonem, który musieli dobrze znać i czekiści. Posługiwali się też pseudonimami, na przykład "Iwan chramoj", "Wasil kasoja" itd. Wystarczyło np. w świątku kryminalnym Władywostoku powiedzieć "Jaszka kasoja" a było wiadomo, o kim mowa.

W grupach narodowościowych - tu chodzi o politycznych -

istniały jeszcze podgrupy różniące się poglądami na poszczególne kwestie społeczne, polityczne, gospodarcze i inne. Mimo tych różnic łączyła ludzi "nacja", mówiących tym samym językiem. Uważaliśmy, że przedłużamy swoją postawą ród Piastów: nie udało się Iwanowi Groźnemu, Piotrowi I, Katarzynie II i nie uda się Dżugaszwillemu.

Wracając jeszcze do kryminalistów - rzeczywisty wor nie kalął sobie rąk pracą, ~~zwaz~~ a zwłaszcza taką, która była mu zakazana - budowa jakichkolwiek urządzeń ograniczających wolność drugiemu człowiekowi. Z "urków" wywodziła się jeszcze jedna grupa - ludzi wyjątkowo wyzutych ze skrupułów, zboczeńców, sprzedawczyków. Byli to ci, którzy zerwali z "urkami" i poszli na współpracę z Czeka. Ich zwano "sukami" - od suki. Ci mieli zapewnione ciepłe posadki w administracji obozowej. Ale też mieli wydany wyrok najwyższy - wyrok od poprzedniego środowiska. Wyrok ten brzmiał: Saktyn baszka - oddzielenie głowy od tułowia.

Tylko rzeczywisty wor miał prawo ~~nie~~ nosić koszulkę marynarską. Inni, którzy ją nosili naruszali prawo i mogli z tego tytułu ponieść poważne konsekwencje. W kraju gangów było wiele. Najsłynniejszy - wszechzwiązkowy - miał nazwę "Czornaja koszka" /czarna kotka/. Gang "Murka" był damskim gangiem. Było to wszystko tworem systemu, który wolał sto "Czarnych koszek" niż jedną Armię Krajową. Najbardziej straszną bronią, której się bali - było słowo prawdy. Stąd ten system tak zaciekle zwalczał wszelkie religie - zwłaszcza wyznanie rzymskokatolickie.

Można by pomyśleć, że stłoczeni na niewielkiej przestrzeni ludzie stanowią bezkształtną masę. W rzeczywistości było

tu jakieś swojskie życie. Tu trzeba było umieć żyć i mieć prężną pięść gotową w każdej chwili do zadania ciosu. Tu przyznałem rację mojemu ojcu, że życie nie jest bajką. W żargonie naszym mówiono, że nasze życie jest jak dziecinna koszulka: krótkie i obfajdane.

Bezpieczeństwo pojedynczego więźnia w znacznej mierze zależało od tego, jak była silna grupa, do której należał. Niezbędnym warunkiem przeżycia było życie w grupie. Każda grupa starała się zatrudnić swoich ludzi w administracji obozowej, a zwłaszcza w bloku żywnościowym. Największe szanse mieli "suki", mający znajomości oraz posługujący się zwykłym szantażem. My w tym współzawodnictwie byliśmy zawsze bez szans. Mogliśmy jedynie liczyć na pomoc naszych wymęczonych rodzin.

Więzienie było wielowydziałowym uniwersytetem, gdzie każdy był słuchaczem a jednocześnie wykładowcą. Najważniejsze jednak było to, aby być sobą. Kolej była następująca: KPZ - to areszt tymczasowy, następnie więzienie i obóz. Więzienie było centralne oraz tak zwane punkty przesyłowe, skąd kierowano do dalszego odbywania kary. Nastraszniejsze, słynne na cały ZSRR było więzienie przesyłowe w Orszy.

Dobiegało już dwa lata, gdy byłem w rękach sowieckich. Władze sowieckie likwidowały coraz dalsze grupy na naszym terenie. Byłem bliski załamania. Ktoś bardziej stanowczy mówił "tylko w B<sup>U</sup>gu nadzieja - ufajcie bracia.

Kiedyś do obozu doszła radosna dla nas wieść o zabójstwie trzech najbardziej zajadłych czekistów, klawiszy z naszego obozu. Otóż jeden z "urków" po odbyciu kary wychodził na tzw. wolność i otrzymał od swoich przełożonych polecenie



zglądzenia - obojętnie w jaki sposób - naczelnika naszego reżimu - starszego sierżanta / nie pamiętam nazwiska/. "Urka" po wyjściu zatrudnił się jako kierowca na budowie, a że na terenie naszego obozu trwały takie prace, miał przepustkę wstępu do obozu. Kiedyś, jadąc samochodem spotkał naczelnika i dwóch innych czekistów na drodze i ich przejechał samochodem ciężarowym. Nie wiem, jaki otrzymał wyrok, ale raczej już nie z kryminalnego paragrafu.

W maju 1948-go r. władze obozowe zaczęły wzywać Polaków podobno w celu uzupełnienia kart ewidencyjnych. Zapytano mnie o dane osobowe - moje odpowiedzi zgadzały się z aktami śledztwa i kazano mi wyjść. Zaczęły się domysły: albo Polaków wywiozą do Polski albo w głąb ZSRR. Mury budowanej fabryki traktorów stale rosły. Na kołchozowych polach nastąpił postęp: narzędzia rolnicze na polach ciągały nie kobiety lecz krowy, co na polskich polach było zjawiskiem nader rzadkim. Na pobliskim lotnisku ruch był coraz większy. W Mińsku powstawały nowe budynki. Nie cieszyło to nas zbyt, bo nasz narodowy przeciwnik wzmacniał się.

W obozie śmiertelność była nadal bardzo wysoka. Ja oswoiłem ze śmiercią i nie bałem się. Życie było bardzo trudne i tylko świeżego powietrza nam nie brakowało. Będąc w Mińsku czuliśmy się jak u siebie i tylko myśl o możliwości zesłania nas w głąb ZSRR gnębiła nas nieustannie. Krążyły przy tym wieści, że podobno jakieś transporty Polaków jechały do kraju.

W lipcu 1948 r. stało się: rozprowadzający - tzw. Naradczyk zawiadomił, kto zostaje w obozie, a to znaczyło, że formują etap. Tworzyli go ludzie młodzi, zdrowi, różnych narodowości i wyłącznie z paragrafami politycznymi. Tu padło i moje



nazwisko, Matiana i wielu innych. Pożegnaliśmy się z kolegami wychodzącymi do pracy i życzyliśmy sobie spotkania się na wolności. Podczas apelu polecono spakować nasze rzeczy i ustawić się koło wartowni. Byłem dobrze ubrany: w długi kożuch, rękawice, czapkę uszankę i walonki. Miałem też trochę sucharów. Wypłacono mi też za dziesięć miesięcy pracy w Mińsku. Przybył nowy konwój, dowodzony przez oficera, który miał nas przyjąć ściśle wg kabtotek.

Po jakimś czasie wywołano - jak zwykle przekręcając - moje nazwisko i wkrótce przekroczyłem granicę obozu. Tak zakończył się nowy rozdział mojego życia. Zaczynał się etap w nieznane. Tuż za wartownią formowano z nas kolumnę czwórkową. Otaczali nas żołnierze MWD. Było nas ponad stu. Konwój kilkakrotnie nas przeliczył i po uprzedzeniu, że w razie niesubordynacji zostanie użyta broń bez uprzedzenia ruszyliśmy w stronę podmiejskiej stacyjki zwanej Opańska.

Otaczali nas czekiści z psami. Przypominało to nam okupantów niemieckich, którzy byli nieco lepiej ubrani i stosowali nieco inne metody. W obu przypadkach cel był taki sam i niezmienny: wyniszczenie polskiego narodu.

Słońce już mocno przygrzewało, kiedy dotarliśmy do rampy stacyjki od strony wylotu w kierunku do Orszy. Na bocznym torze stało ok. 30 wagonów typu "Stołypin", przystosowanych fabrycznie do przewożenia wrogów narodu. Od strony rampy był korytarz z zakratowanymi oknami, a po drugiej stronie przedziały. Konwojenci rozdawali posiłek w przedziałach, na który składał się kawałek chleba i trochę zupy. Z odgłosów dochodzących z przedziałów ze zgrozą usłyszeliśmy, że są tam Niemcy, z którymi przecież walczyliśmy jeszcze przed czterema laty

Mieliśmy jechać razem z tymi, którzy wywołali straszliwą woję światową - my - którzy walczyli z nimi od pierwszego dnia. Mieliśmy jechać tym samym transportem w to samo nieznanne.

Rozpoczął się załadunek. Wywoływano po kilkadziesiąt ludzi i po kilku wtykano do poszczególnych przedziałów. Siedziałem na swoim plecaku i rozmyślałem nad tym, to już minęło i nad tym, co mnie jeszcze czeka. Byłem ubrany w różne części wojskowego umundurowania: niemieckie buty, wójskowe, polskie spodnie i sowiecka bluza. Toteż kiedy mnie wprowadzono do przedziału, w którym byli Niemcy - zapanowała niemała konsternacja. - Cześć - powiedziałem zdecydowanie, wchodząc do przepełnionego przedziału. Odpowiedziano mi po niemiecku. Przedział miał trzy kondygnacje półek po obu przeciwnych ścianach. Na półkach leżeli więźniowie, część kucnęła na skrawku wolnej podłogi między półkami. Nie miałem nawet gdzie położyć plecak. Stałem niezdecydowany, przecież nie będę mógł na stojąco odbywać kilkutygodniową podróż. Oni zaś nie wyrażali chęci ścisnąć się nieco, aby mi zrobić chociaż trochę miejsca.

- No, Frycy - dokąd tak będę stał - zróbcie mi trochę miejsca - warknąłem wykonując odpowiedni gest obserwując bacznie, jak na to zareagują. Oni poruszyli się leniwie, robiąc mi nieco miejsca. Zdenerwowało mnie to na tyle, że krzyknąłem łamaną niemczyzną: miejsce i to natychmiast, wy gebelsowskie dzieci - i szturchnąłem kilku najbliższych. To pomogło. Nie protestując zrobili mi wystarczająco dużo miejsca.

Był to mój sukces, który mnie podbudował. W przedziale atmosfera była niesamowita: odór ludzkiego potu, gorącz i smród

od paraszy. A ścisk był ogromny: byłem tu 21-wszy. Bezczenie lustrowałem swoich towarzyszy podróży. Nie byli to już tak dorodni Niemcy, którzy w 1941 ro. szli na Moskwę. Kilku z nich było w okolicach czterdziestki, a pozostali bardzo młodzi: 16 - 19 lat. Starsi byli porządnie pokancerowani, a młodzież wyglądała raczej gładko. Byli w cywilnych ubraniach. Przerwali swoje rozmowy i bacznie obserwowali mnie.

Zapytałem, czy któryś z nich mówi po polsku lub po rosyjsku. Jeden z nich potwierdził. Był starszy i pełnił funkcję starosty przedziaku. Od niego dowiedziałem się, że aresztowano ich w Berlinie, wprost na ulicy pod zarzutem, że nie lubią Czerwonej Armii i podobno otrzymali wyroki po 10 lat. Nie wiedzieli, gdzie ich wiozą. Jeden z rosyjskich żołnierzy miał powiedzieć, że jadą na szachty, kopać węgiel na północy.

Sytuacja stawała się jasna: wiozą nas gdzieś do ciężkich prac. Starosta rozgadał się: był lotnikiem i latał lekkim bombowcem. Latał w Polsce, Francji, Norwegii i Afryce. Jest inwalidą. W Berlinie zostawił żonę i córkę.

Powiedział, że bombardował Moskwę i Smoleńsk, Mińsk i Warszawę. Na to odpowiedziałem mu po polsku: ach ty skurwysynie, że też nie spotkałem cię wcześniej. On tego nie zrozumiał, bo mówiłem szybko. On przytakiwał tylko. Wreszcie zapytał, kim jestem. Odpowiedziałem, że jestem Polakiem, partyzantem. Na dalsze pytania "za cò?" odrzekłem z irytacją: ja, panie Niemiec - wdowie cnotę zabrałem. To jest moim przestępstwem, za które dostałem 10 lat. Niemiec zrozumiał, przetłumaczył swoim, co wywołało chóralny śmiech aż żołnierz z konwoju zawołał, aby być cicho. Rozmowa przypominała obrazek lisa i kruka: on był na górnej pryczy, a ja na podłodze. Przez cały czas myślałem, jak



go wywabić na dół. Ruszyliśmy przed zachodem. Jechaliśmy w stronę Orszy, ale w nieznaną. Ułożyłem się pomiędzy Niemcami na podłodze, mając plecak pod głową. Po jakimś czasie pociąg zatrzymał się na bocznym torze w lesie i rozpoczął się apel. Wypędzono nas na korytarz, obejrzano przedziały a nas policzono, a następnie zaryglowano w przedziałach. Niemcy zamienili się pomiędzy sobą: leżący na pryczach przeszli na podłogę i odwrotnie. Ja zostałem bez zmiany chociaż zyskałem nieco więcej miejsca.

Pociąg minął Borysów i jechał na Orszę, której bali się najbardziej doświadczeni "urkowie". Skoro jechaliśmy z Niemcami - myślałem - a oni nie podlegają władzom Białorusi, to możemy pojechać bezpośrednio do oddalonych rejonów Związku Radzieckiego.

Jechaliśmy przez teren wyniszczony wojną, słabo zaludniony. Zrozumiałem, dlaczego za Armią Czerwoną ciągnęły stada wygłodzonych dzieci. Dojechaliśmy do Orszy, którą kojarzyłem z Kmicicą, Polską Jagiellonów, wielka stacja rozrządowa nad Dnieprem. Na bocznym torze dokonano apelu i wydano śniadanie: po ok. 200 g chleba i zbożową, gorącą kawę. Po śniadaniu pociąg ruszył dalej. Niemcy znowu się zmienili, tylko ja nadal siedziałem. Zwróciłem się do starosty przedziału, który tymi sprawami kierował, miał do dyspozycji leżące miejsce.

Początkowo udawał, że nie rozumie, a następnie odmówił. Zacząłem z nim dyskusję polityczną zaczynając od 1939 roku. On miał pretensje do Polaków, że walczyli na wszystkich frontach przeciw nim, zamiast wspólnie pójść na Moskwę. Rozmowę przerwał nam konwojent pytając, czy nie jestem Niemcem. Odpowiedziałem, że Polakiem. "To ty jesteś taka sama swołocz jak

ci hitlerowcy. Czeka was szachta i tam wam będzie koniec."

Lipcowe słońce dogrzewało tak, że leżąc na podłodze miałem nieco chłodniej, gdy ci na górnych półkach mdleli z pragnienia i gorąca. Wieczorem dojechaliśmy do Smoleńska, to gdzie była stacyjka Gniezdowaja i Katyń. Stąd wywodziła się Sońka, czwarta żona Jagiełły i "matka królów". Tu spędziliśmy noc na bocznych torach.

Rankiem 18 lipca podstawiono parowóz i ruszyliśmy na północny wschód przez ubogie tereny. Minęliśmy Jarcewo, Safanowo, Wiaźmę - tu był nocleg - który spędziłem na legowisku starosty, na które łaskawie zezwolił mi wejść. Kiedy po porannym apelu ponownie zająłem jego miejsce - był wyraźnie niezadowolony i domagał się ustąpienia. Odmówiłem zdecydowanie. Starosta zaczął wzywać żołnierza, który podtrzymał moje stanowisko. I kazał być Niemcom cicho. I tak zostałem na środkowej półce przy niewielkim okienku.

Nazajutrz twarz starosty była przychylna. Kiedy zapaliłem, starosta aż się oblizywał. Wówczas dałem mu "skręta", za co on mnie aż uściskał. Na apel starosta stwierdził, że za słabo zna rosyjski i nie powinien być starostą i - wskazując na mnie - ja powinien zająć jego miejsce. Wówczas naczelnik pociągu zapytał mnie o nazwisko i stwierdził, że od tej chwili jestem starostą. Gdy próbowałem się z tego wywinąć - zamknął drzwi. Niemiec zaś wytłumaczył swoim, co zaszło. Starosta odtąd miał być tłumaczem. Ustaliliśmy też wymianę miejsca do spania. Zapanowała zgoda.

Pociąg minął Możajsk w gruzach i dojeżdżaliśmy do Moskwy. Niemiec powiedział, że tu gdzieś w pobliżu było kotnisko, z którego on w tych wspaniałych czasach startował na Moskwę.

Kiedy go zapytałę o Berlin - spuścił głowę i poprosił o tytoń. Nazywał się Frantz Koenig. Powiedział, że jeszcze w życiu chciałby tylko polecieć nad Moskwę odrzutowym ~~ga~~ samolotem i rzucić to, co Amerykanie rzucili na Hiroszimą.

20-go lipca osiągnęliśmy, bardzo zniszczone - wschodnie rubieże Moskwy. Żołnierze konwoju mówili: no, Fryce, dziś ~~wz~~ wzięliście Moskwę. Zobaczcie sukinsyny, coście narobili, teraz będziecie to odbudowywać - i puścili kwiecistą "wiązanę". Kiedy powiedziałem, że ja nie mam z tym nic wspólnego - usłyszałem, że jestem taki sam jak oni, a może nawet i gorszy i że moje ręce są w ich krwi po łokcie.

Po kilkugodzinnych przetaczankach nas ruszyliśmy, okrążając morze ~~ru~~. Frantz z dumą opowiadał swoim młodszym kolegom przebieg działań wojennych pod Moskwą. Mówił o tym z dumą i jakby wcale nie zrażał się późniejszą klęską. I żaden z nich nie sarkadł przeciw swoim przywódcom. Oni chyba nadal wierzyli w słuszność swojej sprawy i nadal wykazywali dyscyplinę.

Frank nadal zachował swoje prawa: dzielił jedzenie, wydawał polecenia swoim. Ja natomiast składałem meldunki i wydawałem polecenia Frankowi. Kiedy pierwszy raz rozdzielał zupę, mnie nalał pierwszemu, wyraźnie więcej i gęściejszej. Przyjąłem tę porcję i natychmiast oddałem najgorzej wyglądającemu Niemcowi. Wywołało to powszechne zdumienie, a ja poprosiłem jedzenie jako ostatni. Odtąd zyskałem ich zaufanie. Kiedy czekista uderzył jednego z naszego przedziału - ostro zaprotestowałem i zapowiedziałem złożenie skargi do prokuratora. Czekista zamierzał mnie uderzyć, ale widząc moje zdecydowanie ustąpił. To przekonało Niemców, że wybór mnie na starostę był trafny.



23-go lipca pociąg ruszył zdecydowanie na północny wschód w stronę Jarosławia. Niemcy z racji mojej znajomości rosyjskiego prosili mnie, abym zaproponował konwojentom kupno bielizny i ubrań, których wówczas w ZSRR brakowało. Za to dostawali tytoń "karaszki", gazety na skręty czy kawałki chleba, czasem dodatkowe wiaderko zupy, kawy czy wody do picia, a upały były bardzo dokuczliwe. Z naszego przedziału brano też do roznoszenia jedzenia, zmywania i td. Życie stawało się coraz znośniejsze.

Z mijających nas pociągów pasażerskich zorientowaliśmy się, że jedziemy na Jarosław, dalej na Wołogdę, skąd rozchodzą się drogi na Pieczorę, Workutę, droga Północna na Archangielsk i Murmańsk. Naczelnik konwoju na moje pytanie o cel podróży odpowiedział, że to "wojennotajne", a następnie - rozejrzawszy się uważnie powiedział: pasiołek "Inta", kopać węgiel.

To nam nic nie mówiłem. Wiedzieliśmy, że węgiel jest w Komi SSr, gdzieś za Pieczorą, na Północny Uralu i domyślaliśmy się, że tam właśnie jedziemy. Komi znałem niewiele, tylko z opowiadań Alka Puciłowskiego w celi w Drodnie. Mówił o budowie Drogi Północnej, przy której zatrudniano jeńców z 1939 roku oraz więźniowie bez winy tylko za to, że byli np. policjantem czy dróżnikiem, czy też bogatszym gospodarzem czyli kułakiem. Na tej drodze pełno było polskich kości. Śmiertelność była duża. Cmentarzy nie wydzielano i grzebano wprost pod nasypem.

Pociąg powoli wychodził ze strefy objętej kiedyś działaniami wojennymi. Dominowała budowa raczej drewniana. Domy jedno-piętrowe były zaliczane do wysokich i miały charakterystyczne schody zewnętrzne. Minęliśmy Jarosław nad Wołgą i ruszyliśmy w stronę Wołogdy nad Suchaną, w której byliśmy trze-

ciego dnia od wyjazdu z Moskwy. Tu miejscowi mówią śpiewnie i po każdym niemal słowie dodają słowo "to".

Rozpoczął się nowy rozdział w moim życiu - w obozie nr 5 /pięć/, który był obozem rozdzielczym na wszystkie obozy znajdujące się w Incie. Był tam także "Sangorodok" czyli ośrodek leczniczy obozowy. Drzewostan był karłowaty. Obóz podlegał MWD i zajmował powierzchnię 10-ciu hektarów. Odbywano tu kwarantannę i dlatego służba zdrowia była tu dobrze rozbudowana. Tu byli bardzo dobrzy lekarze, więźniowie z różnych narodowości /Japończycy, Francuzi, Anglicy, b. dużo Niemców/.

Po leczeniu lub kwarantannie więźniów kierowano do podległych obozów na terenie tego zagłębia węglowego. Obóz był zbudowany jako czworobok o boku ponad tysiąc metrów, otoczony dwoma rzędami drutów, co 100 m "wyżka" z ruchomymi reflektorami i bronią maszynową. Była oczywiście brama i wartownia. Przez obóz biegła szeroka aleja służąca jednocześnie za plac apelowy. Po obu stronach stały rzędy baraków z okrągłaków. Dachy były dwustronne, strome i kryte gontem, sporo okien. Były też przybudówki, które służyły jako suszarnie ubrania górników. W części gospodarczej obozu była łaźnia i pralnia, baraki szpitalne i budownictwo gospodarcze. Do głównej alei dochodziły dróżki, dokładnie sprzątnięte - prawie luksus.

Kiedy tam weszliśmy, więźniowie nawoływali i poszukiwali znajomych. Wyczuwało się, że dyscyplina tu jest wysoka. Byli tu Ukraińcy, Litwini, Estończycy, jacyś śniadoskórzy, Polacy.

Nawoływali się nazwami wszystkich miast kresowych. Kierowano nas do łaźni, w której odbywały się też niezbędne zabiegi /golenie owłosienia/. Łaźnię obsługiwały kobiety - więźniarki. Ubrania sparte na drucianych kółkach kierowano do su-

czej dezynfekcji, zwanej pospolicie "woszobojka", a następnie szło się pod prysznic.

Po wyjściu innymi drzwiami w sali leżały na gromadzie ubrania, które przeszły przez "woszobojkę". Ale Niemcy nie otrzymali swoich ubrań lecz radzieckie drelichy, często jeszcze zakrwawione.

W barakach umieszczano po dwustu ludzi po każdej stronie od wejścia. W baraku była też niewielka umywalnia. W baraku było dwóch, wcześniej tu przywiezionych więźniów: jeden to dniwalnyj czyli portier, a drugi "suszylszczyk". Na tych stanowiskach zatrudniano ludzi nadmiernie wyeksploatowanych w kopalniach i tak oni odbywali rekonwalenscencję.

Każda strona baraku dzieliła się na trzymetrowy środek wzdłuż całego budynku, na którym stały ceglane piece z żeliwnym blatem w środku. Wzdłuż ścian stały drewniane, piętrowe prycze, na których leżały sienniki wypełnione trocinami i zasłane kocami w kostkę. Ściany były bielone wapnem, ale z widocznymi śladami pluskiew. Na ścianach wisiały regulaminy więźnia wymieniające wszystko, czego więźniowi nie wolno. Wynikało z tego, że więźniowi nie zabraniano jedynie oddychania. Okna były zakratowane, a na drzwiach sztaby. Po obozie można było chodzić tylko w brygadzie poza latryną i operatywką. Za każde naruszenie regulaminu groził karcer.

Po zakwaterowaniu rozpoczął się podział na brygady: naradzyczk czyli administrator wewnętrzny - więzień, - dokonywał spisów, mianował brygadzystów, którzy odtąd ponosili odpowiedzialność za brygadę. Na kolację poszliśmy już brygadami. W stołówce każda brygada miała swoje, wcześniej wyznaczone miejsce. Do okienka podchodzili tylko dyżurni i na drewnianych tacach



dostarczali jedzenie brygadzie. Otrzymaliśmy 150 g kaszy z niewielką ilością oleju. Po wejściu do stołówki sanitariusz w białym fartuchu dawał każdemu do obowiązkowego wypicia pół szklanki wywaru z pędów sosny. Był to środek przeciw skorbutowi.

Więźniowie polityczni byli dokładnie oddzieleni od kryminalistów. W tej międzynarodówce wyróżniali się Rosjanie, którzy tylko przez przypadek mieli polityczne paragrafy - głównie za poddanie się do niewoli niemieckiej. Wg radzieckiego prawa jeńców nie było i każdy jeńiec był zdrajcą i po powrocie z niewoli otrzymywali wyroki od 10-ciu do 25-ciu lat. Zdążyły się też wyroki śmierci.

Po kolacji z kolegami ruszyliśmy obejrzeć obóz. Słońce stało nad zachodem. Więźniowie chętnie z nami rozmawiali. W obozie były też kobiety. Natomiast barak szpitalny barak sprawiał przygnębiające wrażenie: ludzie wychudzeni, połamani, w gipsie, jak we frontowym szpitalu. To dawało dużo do myślenia.

W innych barakach grano na harmonii i bałajce smutne, ukraińskie pieśni. Słyszało się zbiorowe modlitwy "Zdrowaś Maryja", nawet i po litewsku.

Gong wezwał nas na apel, który przebiegał sprawnie, bo każdy barak miał swoje miejsce, a kolumna piątkowa była łatwa do liczenia. Po apelu można było chodzić tylko do ubikacji. Słońce stało blade nad horyzontem dokładnie na północy.

Pierwszej nocy nie spałem, bo pluskwy atakowały pikując z sufitu. Przez noc słońce ani na chwilę nie skryło się za horyzontem, co mnie bardzo ciekawiło.

Dzień rozpoczął się pobudką, myciem się i śniadaniem, na które składało się pół kubka wywaru sosny, a następnie jakiejś lury

Do tego dodano ok 200 g chleba. Po śniadaniu zaczęto uzupełniać ewidencję pod względem zawodowym oraz badania lekarskie bardzo dokładne. Lekarze byli o światowej sławie - tu i Polacy - wszyscy więźniowie.

Obiad: sosnowy wywar, 100 g chleba, zupa i na drugie danie kawałeczek wędzonej ryby - rzecz niebywała. Po obiedzie prelekcja lekarzy o chorobach górniczych oraz sposobach ich zapobieganiu.

Tego dnia w tym obozie spotkałem Kzika Kunejkę z Jaśkiewicz, bardzo zacnego Polaka. Był odemnie starszy. Został aresztowany dopiero w 1948 r. i po osadzeniu przewieziony bezpośrednio tu. Był nowicjuszem w sprawach obozowo-więźniarskich. Pocieszałem go, wyraźnie zaniepokojonego. Opowiadał mi, że bywał u mojego ojca jako pacjent i widział, jak ojciec bardzo przeżywał moje aresztowanie. Dowiedziałem się, że po moim wyroku ograbiono moją rodzinę jako likwidację części mojego mienia.

Tego dnia poznałem mężczyznę, który podobno wywodził się z Sapiechów i od 1939 roku był w obozach. Był cieniem człowieka i wyjaśnił nam, gdzie jesteśmy, że przebywamy w dolinie rzeki Usa, ciągnącej się od Workuty do Peczory. Widoczne od nas miasteczko - odległe o jakieś 5 km to pasiołek Inta, tam jest dyrekcja kopalń, której podlega kilka obozów pracy, że istnieje obóz czwarty, wyłącznie kobiecy. One wykonują pracę gospodarcze, prowadzą nawet hodowlę bydła, jest tu nawet sowchoz, ale wyłącznie hodowlany. Ziemia tu odtaja jedynie do pół metra, a dalej wieczna zmarzlina. Rosną tu trawy, bo zboża nie zdążą dojrzeć. Inta to osada licząca ok 10 tys wolnych ludzi. Większość z nich została tu skierowana. Obozów jest tu 6 a w

każdym z nich ok. 5 tys więźniów. Pilnuje tego gdzieś ok. dywizji wojska. Usa jest rzeką wielkości naszej Świsłoczy. Obok górnictwa był tu przemysł drzewny i budowlany - wykonywanie materiałów budowlanych z przepalanej skały /porody/. Robiono głównie pustaki. Stacja kolejowa, a na niej tylko wagony towarowe bo pociągi pasażerskie w ogóle nie kursowały. Obozy tutejsze miały szczególny reżim i były oznaczone symbolem "Ż, CZ", wyłącznie dla więźniów politycznych czyli szczególnie niebezpiecznych.

W drugim dniu pobytu spotkałem Wacka Joczę, sławnego partyzanta od Radunia. Dostał 25 lat czyli "na cały gwizdek". Był z tego dumny. Spotkałem też Józefa Waszkielewiczę. Poznał też mnie jeden z bimbrowników od Wierzchpola, nazywał się Franek Smoluch. Krąg znajomych powiększał się. Ustaliliśmy, że nas Polaków jest tu jakieś 25% stanu. Większość stanowili Ukraińcy, a następnie kraje przybałtyckie.

Na początku naszego pobytu naczelnik reżimu dał nam do zrozumienia, że tu nam żyć i umierać.

Prace nasze to były zajęcia gospodarcze oraz wokół obozu. Pan Waszkielewicz był człowiekiem ok. pięćdziesiątki, bardzo przygnębiony. Dużo z nim rozmawiałem. W rozmowach tych uczestniczył też Kunejko. Pan Waszkielewicz p. I wojnie światowej służył w 5 pułku legionowym w Wilnie. Jego syn w czasie drugiej wojny trafił do Niemiec i obecnie mieszka gdzieś w okolicach Gorzowa. Ma dwie córki i pięciu synów /pan Waszkielewicz/. Była to zwykła, polska wiejska, przedwojenna rodzina. W puszczy w czasie okupacji trzeba było umieć żyć, bo tu co godzina zmieniała się władza, a każdy brał i nikt nie dawał. Po wojnie w okolicy stacjonowali partyzanci. Sowieci o tym



wiedzieli i w pobliżu zakwaterowali wojsko pod pozorem wycinki drzewa dla celów budowlanych. W styczniu 1948 r. wpadli na trop jednego z bunkrów i zdobyli go. Rannego partyzanta przesłuchiowano w szkole w Rybnicy przykładając mu do ran rozpalony do białości bagnet. Podobno ranny powiedział tylko jedno słowo: gajówka. Zrobiono u nas rewizję, aresztowano mnie, ale Mietek uciekł w stronę Wierzchpola. Nazajutrz, po drugiej rewizji znaleziono dwururkę myśliwską i aresztowaną żonę i córkę. Dubeltówkę zawieszono córce na szyi i w śniegu po pas prowadzono obie przez 17 km do Grodna.

Baby jak to baby: przyznały się do winy polegającej na wspomaganiu partyzantów. Córka osłaniała matkę i odwrotnie, bo czworo rodzeństwa zostało w domu. Oskarżono je obie o grupową zdradę radzieckiej ojczyzny - najcięższy. Domem zaopiekowała się krewna, Maria Głowicka, stara panna. Nawet od czasu przysyłała tu do obozu paczki. Mietek po aresztowaniu rodziny uciekł do partyzantów do Niemna /Borejszy - zawodowy podoficer przedwojenny/. Tu został postrzelony i znalazł się w więziennym szpitalu. Przeżył i otrzymał wyrok 25 lat. Żona, córka i p. Waszkiewicz - po 10.

Dowiedziałem się od p. Kunejki o losie moich bliskich kuzynów Gierdowiczów z Łosośnej. Wszyscy otrzymali wyroki, a moja kuzynka podobno zdołała nielegalnie przejść do Polski.

Wysłałem pierwsze listy do rodziny. Minęły pierwsze dwa tygodnie, podczas których szkolono nas teoretycznie o węglu. Dużo mówiono o bezpieczeństwie. Wykładowcy byli dobrzy - inżynierowie. Słuchałem tego uważnie bo wiedziałem, że to mi się przyda.

Kiedyś skierowano nas do łaźni, której jeszcze nie zdążyły

opuścić kobiety. Powstał z tego powodu wielki hałas.

31 lipca 1948 roku wczesnym rankiem sformowano kolumny i ruszyliśmy do nowej pracy. W kolumnie szedł Antek, Marian, Wacek Jocz, Leon Juchniewicz z oszmiańskiego, Mietek Kowalski z Wilna, Czesio Macutkiewicz, Janek Włodarczyk, Piotruś Marko. Byli to młodzi Polacy. Pelek Mogilnicyki był od Lidy, a Janek Włodarczyk z Warszawy, przywieziony tu z Karagandy. Piotruś Marko był od Wołkowyska i miał pseudonim "Wołodoyjowski".

Po kilku kilometrach minęliśmy kopalnie nr 1 i 2, a obóz miał nr 1. Po 6-ciu kilometrach dotarliśmy do celu. Doszliśmy do bramy obozu nr 2. Nasza setka została skierowana do baraku nr 8. Nr 8 nosił obóz pracy w Białymstoku za Niemców. Pomyślałem, że to dobry znak i że stąd też wyjdę. Obóz był wyłącznie męski i reżim silniejszy z uwagi na zatrudnienie w kopalni, gdzie można pozyskać niebezpieczne narzędzia jak siekiery czy łomy, materiały wybuchowe, chociaż strażakami byli wyłącznie ludzie wolni. Obóz był utrzymany bardzo czysto. Wnętrze baraku było podzielone ściankami na tzw. sekcje po trzy po każdej stronie, dwa duże piece do ogrzewania.

Jak zwykle na nowym miejscu - długo nie mogłem usnąć tym bardziej, że i tu przeszkadzały pluskwy./kłapy/. Wychodziłem nąby to do latryny i spoglądałem na wielką, czerwoną gwiazdę umieszczoną na nadbudowie górniczej każdej kopalni. Gwiazda świeciła się tylko wówczas, gdy kopalnia wykonała conajmniej 100% normy.

1-go sierpnia 1948 r. zaraz po śniadaniu zarządzono w stółówce zbiórkę nowoprzybyłych więźniów. Przypomniano nam, kim jesteśmy: wrogami radzieckiej ojczyzny i narodu, a przywieziono nas tu do pracy po wieczne czasy. Najgroźniej przemawiał

naczelnik reżimu - sierżant Archipiec /chyba/. "Tu wasza Polska a tam wasza Warszawa" powiedział, wskazując na pobliski cmentarz. Nie zobaczycie swojej Polski tak, jak ja nie zobaczę swojego ucha bez lusterka.

Zastanawiało mnie, dlaczego mówił o Polakach, skoro na sali było ok. 200 narodowości. Ktoś głośno powiedział: nie taki diabeł straszny jak go malują".

Podzielono nas na brygady. Nasza liczyła 60 osób. Brygadziestą został Rosjanin Tarasow, 35 lat, więzień polityczny. Na kawałku dykty spisał skład osobowy brygady. Po obozowym obiedzie - nieco lepszym niż w stołówce "piątki", zaczęło się szkolenie z BHP górniczego. Prowadził je więzień - inż. Michałłow. Nie ukrywał sympatii do Polaków. Jak się okazało, niecka ciągnęła się na długości 400 km od Peczoru do Obi. Miała 12 warstw od 60 cm do 4 m grubości. Mieliśmy obsługiwać kopalnie nr 5 i 6.

Nr 5 kopalnia była młoda i bardziej nowoczesna, a nr 6 to stara ruszka, jedna z pierwszych tutaj. Na jednego górnika na wydobyciu pracuje 5-ciu w służbach pomocniczych. Postanowiłem, że muszę znaleźć się wśród tych pięciu ze służb pomocniczych. A nie miałem żadnego zawodu. Postanowiłem podać się za ucznia szkoły mechanicznej, a to dawało szansę wciśnięcia się do działu głównego mechanika, a to dawało szansę przeżycia i mogło dać zawód. Przygotowania trwały.

Wówczas to poznałem Japończyków, Koreańczyków i narody kaukaskie, Tatarów oraz wiele nacji europejskich - międzynarodówk. Spotykało się też kremlowskich dygnitarzy. To w tych obozach swego czasu przebywał Konstanty Rokossowski, Zamechowczyni na Lenina, słynna piosenkarka Ludmiła Rusłanowa i inni.

Po kilku dniach poszliśmy - naturalnie pod konwojem - na



zapoznanie się z kopalnią. Byłem tego ciekaw, bo głębiej niż w piwnicy na ziemniaki w leśnym bunkrze nie byłem. Poszliśmy do szóstki. Otrzymaliśmy ~~się~~ lampy elektryczne i windę zjechaliśmy do szybu wentylacyjnego na głębokość 40 m. Tam było oświetlenie jak w metrze, które widziałem tylko na obrazku.

Oglądałem maszyny oraz pracujących tu ludzi. Po odejściu od szybu o jakieś 100 m zobaczyłem chodnik z ułożonymi deskami, którymi poszliśmy w dół. Michajłow szedł pierwszy, a kolumnę zamykał Tarasow. Ja natomiast cały czas obserwowałem i myślałem, jak wrócić z powrotem. Michajłow przez cały czas objaśniał. Wszystko to notowałem w głowie. Otoczenie stwarzało bardzo nieprzyjemne wrażenie. Zacząłem się pocić, co oznaczało, że powietrze jest gorsze niż na powierzchni. Panowała cisza, temperatura wynosiła ok. +15 stopni.

Pochylnia, którą schodziliśmy miała 16 stopni nachylenia. Schodząc przez jakieś 300 - 400 m. doszliśmy do chodnika głównego, który biegł na wschód i na zachód, a na przeciw była specjalne pomieszczenie do pompowania wody, zwane w żargonie "kamieron". Głównym chodnikiem biegły tory, którymi górnicy pchały wózki z urobkiem.

Pracujący górnicy - co mnie bardzo zaskoczyło - przeklinali na wszystkie świętości i nie szczędzili dowcipów pod naszym adresem, nowicjuszy. Były to żarty złowrogie: chodźcie, będzie nam weselej, niewielu z was zostanie itd.

Doszliśmy do szybu, przy którym kilku górników ekspediowało węgiel oraz odprawiało puste wózki. Obok było pomieszczenie zwane "konisznia", w której kwaterowało troje małych koników mongolskiej rasy, zatrudnionych przy ciągnięciu wózków. W pobliżu była narzędziownia, a warunki pracy jak na kopalnię wydawały się nam dobre

Ruszyliśmy w stronę zachodnią, gdzie była najstarsza część kopalni, gdzie chodniki były tak niskie, że koni nie można było zatrudnić. W bocznych ścianach były nisze, do których wchodziłi górnicy na czas przejazdu wózków. Obok pracował transporter, przenoszący węgiel do podstawianych wózków. W miarę posuwania się powietrze stawało się coraz cięższe i trudniej było oddychać.

W pewnym momencie zaczęliśmy wspinać się pod górę chodnikiem równoległym do głównego, na końcu którego zaczynało się pole eksploatacyjne. Obok rozciągała się ściana węglowa ~~dużo~~ grubości ok. 2.40 m, co jest bardzo korzystne, bo górnicy mogą pracować wyprostowani. Pola już wybrane były podparte kopalniakami pokaźnej grubości. Wydawało mi się nawet, że do kopalni więcej przywożono drewna niż ~~pr~~ wywożono węgla. Górnicy, czasami jak murzyni ładowali łopatom węgla na taśmociąg. Na przodzie pracował górnik, który wiercił dziury w ścianie węglowej a zwano go "burylszczyk". Do tych otworów zakładano materiały wybuchowe i węgiel zrywano. Górnik zrywający - "zapalszczyk" był człowiekiem wolnym, a pozostali byli więźniami.

Wyrobisko w języku górniczym nazywa się "ława". Zaprezentowano nam proces zrywania węgla. Doszedłem do wniosku, że nie będzie tu łatwo. Zostało ~~nam~~ jeszcze "tylko" osiem lat i osiem zim.

Zapasowym, wentylacyjnym szybem, po drabinach wyszliśmy z Michajłowem na powierzchnię. Tu padłem, bo byłem zmęczony, głodny i załamany. Wyszedłem jakby z mogiły i dlatego słońce było tak miłe jak nigdy. Myślałem o bałaganie, który panował na chodnikach jeszcze nieurządzonych. Miały one charakter tymczasowy, zwany tu "wremionka".

Najstraszniejsza była tak zwana "prachodka", którą można nazwać pierwszą linią frontu - przebijanie pierwszych chodników, gdzie panował całkowity brak wentylacji. Tu, za pomocą długich węży gumowych wprowadzano świeże powietrze oraz odprowadzano już powietrze "wypracowane": dym i kurz.

Po wyjściu na powierzchnię, zmęczony położyłem się na trawie, myślałam o tym, co przed chwilą widziałem i zastanawiałem się, jak uniknąć tego losu - pracy w kopalni. Jedyne wyjście, jakie mi teraz przychodziło do głowy, to starać się dostać do jednej z pięciu brygad pomocniczych. Na jedną bowiem brygadę pracującą na przodku było pięć brygad pomocniczych. Były to brygady zajmujące się wentylacją, transportem, elektrycznością, hydraulicy i jeszcze inni.

Wracaliśmy do obozu z kwaśnymi minami. Starzy górnicy śmiali się z nas - jak to zwykle z nowicjuszy.

Każda brygada obsługiwała jedno skrzydło kopalni. Wypadki były częste zwłaszcza na wspomnianej prachodce: częste były wypadki łamania kości, obrywania się skał, chodzenie w wodzie po kolana, podnoszenie stale wykolejających się wózków.

W naszej brygadzie było sporo Polaków, Ukraińców, Litwinów trochę Estończyków, Rosjan i Azjatów. Spotkałem tu Litwina polskiego pochodzenia - Czesława Surwikę. Miał ponad 190 cm wzrostu, dość delikatny, nie lgnął do Litwinów, raczej sympatyzował z Polakami, mówił po polsku. Szybko nawiązałem z nim kontakt. Wywodził się - jak się okazało ze spolszczonych dworzan litewskich, ukończył studia wychowania fizycznego i swego czasu był przewodniczącym sportowego towarzystwa Litwy.

W Polsce miał liczną rodzinę, przed wojną bywał u ciotki w Krakowie. Litwini nie darzyli go zaufaniem.



W kopalni spotkałem też innego Litwina. Był to Franas Kasperawiczius, w moim wieku, nauczyciel z zawodu. Twierdził, że w jego żyłach - wbrew jego woli - płynęło 50% krwi polskiej po matce. Był szowinistą.

W brygadzie było też kilku sympatycznych i muzyklanych Estończyków - jeden z nich, Janson, był urodzony dokładnie w tym dniu, w którym ja się urodziłem - 10.IV.1924 roku. Pochodził z bałtyckiej wyspy Sarema z miasteczka Kurasary, z zawodu kierowca, jak, w większość Estończyków, życzliwy dla Polaków.

Łotysze byli ludźmi małomównymi i bardzo pracowitymi, sumienni i spokojni. Azjaci w większości pochodzili ze środkowej Azji. Nie znali na ogół j. Rosyjskiego, ślepo Rosjanom posłuszni. Byli szczególnie wrażliwi na przekleństwa, które dotyczyły matki i macierzyństwa. Można było przeklinać wszystko i wszystkie świętości - nigdy matki. Od nich można było sporodowiedzieć się o polskich rodzinach deportowanych do Kazachstanu i tworzącej się tam armii Andersa. Za zbeszczeszczenie matki można było od nich otrzymać najwyższy wymiar kary: trzymany nożem czy siekierą zadawał cios natychmiast.

Od naocznego świadka dowiedziałem się, że Dajnowicz nie żyje. Został rzucony do Morza Białego przez współtowarzyszy podróży na holowanej barce na trasie od Archangielska na półwysep Kola. Mimo, że obciążał mnie na rozprawie, darowałem mu wszystko. To nie on był temu winien lecz system.

Tak minął miesiąc pobytu na Dalekiej Północy i dwa tygodnie w drugim obozie. Kończyły się dobre czasy. Dokładnie 15-go sierpnia, w dniu święta Wniebowzięcia Matki Boskiej, kiedy to

w mojej parafii jest odpust - brygada ruszyła do pracy. Trafiliśmy na trzecią zmianę, która rozpoczynała pracę o godzinie 23-ej. Zmiana kończyła się o godz. 7-ej rano. Dojście do kopalni odbywało się pod ścisłym konwojem, a że była to pora nocna, dodano jeszcze sforę psów wilczurów. Naczelnik kopalni - Bierezin, Izraelita - przyjął nas, brygadę Tarasowa ironicznymi przycinkami. Jak się okazało, Tarasow był naczelnikiem zmiany co odpowiada naszemu sztygarowi. Wraz z naczelnikiem kopalni wzywali nas do kantorka i przydzielali każdemu pracę. Zapytany o zawód powiedziałem, że uczyłem się w szkole mechanicznej, a następnie pracowałem w miejskiej stacji pomp, kłamałem jak z nut.

- Młody, zdrowy - pójdziesz na "prachodkę", powiedział naczelnik. Obaj uśmiechnęli się ironicznie. Udałem, że nie wiem o co chodzi. Otrzymałem żeton na lampę i maskę. Kazano mi to wszystko pobrać i czekać.

Kiedy zjechaliśmy na dół i Tarasow rozprowadził nas na konkretne stanowiska pomyślałem sobie, że żarty się skończyły. W tej samej grupie był i Surowikło. Dostaliśmy na gorsze wyrobisko, bo było położone najniżej, a tym samym najwięcej wody do niego ściekało. Tarasow powiedział: do roboty i poszedł rozprowadzać innych. Rozejrzałem się po wyrobisku: porozrzucone narzędzia oraz groźnie wyglądające skały nie wyglądały zachęcająco. Starzy górnicy zaczęli pracować.

- Nie, tu Tadziuk pracować nie będziesz - powiedziałem, bo stąd jest tylko jedno wyjście: na cmentarz, który nam pokazywał naczelnik reżimu, Archipiec. Jeśli już mam iść na cmentarz, to raczej od kuli, a nie od katorżniczej pracy.

Jeden ze starszych górników nazywany brygadzystą powiedział do nas: co tak stoicie jak ch... na weselu? Ładujcie u-

robek na wózki i to szybko, do rana nie uporacie się - powiedział wręczając mi szufłę do ręki.

Popatrzyłem na niego, umorusanego, również więźnia, obejrzałem szufłę, oparłem się na niej i stałem dalej. To samo zrobili inni nowicjusze. Zdenerwowany brygadzysta huknął: - do roboty, sukinsyny, to brygada kompleksowa i nie mamy zamiaru tracić przez was dodatkowego przydziału chleba.

- Słuchaj, brygadir - powiedziałem. Jeśli ci mało jednej szufli, to masz jeszcze i tę i wyrabiaj sobie normę, bo jej nie ruszę. Następnie - odstawiając szufłę pod ścianę powiedziałem: bądźcie zdrowi - idę zwiedzać kopalnię.

Poszedłem chodnikiem w stronę wschodnią, mijając po drodze pracujących górników. Dotarłem do stacji pomp. Pomyślałem sobie, że tu mógłbym pracować. Z kolegów, który do mnie dołączył - pogadaliśmy z dyżurnym na stacji pomp, który był Litwinem. Zgodził się, abyśmy mogli zostać w jego pomieszczeniu. Przez cały czas bacznie obserwowałem, jak maszynista włącza i wyłącza poszczególne agregaty. Dyżurny opowiadał o parametrach technicznych pracujących pomp. Litwin pracował tu kilka lat. Kiedyś był górnikiem, ale w związku z przejściem obozu na wyższy reżim on jako starszy został tu zatrudniony, ale niedługo tu będzie. A to znaczyło, że te stanowiska będą obsadzone przez nowych.

Kiedy Litwinowi powiedziałem, że jestem Polakiem, ten powiedział, że mam szansę otrzymać dobrą pracę w dziale głównego mechanika, który również jest Polakiem. Nazywa się Kozakiewicz i jawnie faworyzuje swoich.

To mnie jeszcze bardziej upewniło w tym, że na prachodce pracować nie będę. Kiedy tak siedzieliśmy u Litwina, do pomiesz-



czenia wpadł Tarasow, który jeszcze nie znał dokładnie składu osobowego swojej brygady. Zapytał kim jesteście, ale Litwin szybko się zorientował i odpowiedział, że jesteście od Kozakiewicza i właśnie przyuczamy się do zawodu.

Tarasow zaklął siarczyście dodając, że połowa brygady mu się rozlazła i jej znaleźć nie może. "Jeszcze diabły zajdą gdzie na stare wyrobiska i potrują się dwutlenkiem węgla" - tak mrucząc wyszedł.

Kiedy nasza brygada wychodziła, dołączyliśmy do niej i już o siódmej, umyjni czekaliśmy na dodatek dla ciężkopracujących, który w postaci 200 g chleba serwowała kopalnia.

- O dziwo, powiedział Tarasow, do żarcia nie ~~brakuje~~ nikogo, do pracy nie było nikogo.

W trudnych chwilach życiowych zawsze miałem przed oczyma obrazek z mojej pierwszej komunii z wizerunkiem Najświętszego Serca Jezusowego. Miałem go i teraz przed oczyma, w kopalni. Ufałem, że i tym razem pomoże mi wyjść z tej trudnej sytuacji.

Po przebraniu się i po obiedzie wymieniliśmy uwagi o pracy w kopalni z kolegami. Inni mieli więcej szczęścia. I tak wacek Joczaj już na pierwszej zmianie został skierowany do pracy właśnie na stację pomp. Zazdrościłem mu tego szczerze. Nadchodziła noc, a z nią nocna zmiana, na której miałem pracować do 31 sierpnia, bo tu zmiany dokonywały się z końcem miesiąca. Trzecia zmiana była najcięższą, po której, w dzień odpoczynek w baraku nie był możliwy: tu mieszkali wszyscy ze wszystkich zmian i panował ciągły ruch: jedni przychodzili inni wychodzili, a innych w tym czasie budzono. Tu nie było pobudki ani stałej pory układania się do snu.

Apele odbywały się w ten sposób, że przeprowadzano je w

chwili, gdy jedna zmiana była w kopalni, a druga właśnie wyszła do pracy, a pozostawała tylko ta, która odpoczywała. Jedni byli policzeni w kopalni, drudzy policzeni przy wyjściu a ostatnią zmianę właśnie liczone.

Druga noc w kopalni wypadła pomyślnie. Wraz z Surwiłką już przy windzie daliśmy nogę. Znowu dotarliśmy do stacji pomp, w której spędziliśmy kilka godzin, podczas których ja bacznie obserwowałem czynności dyżurnego, pytałem go o interesujące szczegóły. Następnie przenieśliśmy się do koniuszni, w której stały dwa mongolskie koniki. Koniuszym na naszej zmianie był Franas Kasperawiczius, zadowolony z pracy. Tu, w składziku siana pospaliśmy - jak za dobrych czasów i dołączyliśmy do brygady dopiero po zakończeniu zmiany.

Tarasow pisał się ze złości, gdyż znowu połowa brygady bumelowała, za co wg radzieckiego ustawodawstwa można było skazać człowieka na dodatkowe 5 lat. Każde następne skazanie dawało tytuł recydywisty. Recydywa natomiast nie podlegała żadnej amnestii czy przedwczesnemu zwolnieniu. Inaczej mówiąc w Związku Radzieckim paragrafy polityczne pod tym względem były traktowane na równi z recydywą. Nie znano przypadku od Rewolucji Październikowej, aby więzień polityczny został zwolniony przed czasem. Jeśli w czasie odbywania kary nie dołożono mu dodatkowego wyroku /tzw. Dowiesek/, to wychodził w normalnym terminie i był kierowany na wieczną zsyłkę, która niejednokrotnie była straszniejsza niż pobyt w obozie.

O przetrwanie, w życiu należało walczyć. Przebywający z nami Rosjanie czekali lub modlili się /nie wszyscy/ o rychłą śmierć Stalina. W takich sytuacjach liczone na zmianę reżimu, jego zelżenie, jego liberalizację. Dokładnie liczone jego lata

oraz jego staż pracy na najwyższym szczeblu. Bacznie obserwowano stan jego zdrowia. Chyba nigdzie tak znaczna część społeczeństwa nie życzyła śmierci swojemu przywódcy jak właśnie jemu. Mówiono, że ma żyć 120 lat - tak mu podobno na zesłaniu wróżka powiedziała.

O, nie daj Boże - tak mu jeszcze wiele brakowało, wzdychali więźniowie.

Trzecią noc spędziliśmy w kameronie na stacji pomp, to w koniuszno, to w narzędziowni. Coraz bardziej poznawaliśmy kopalnię. Na czwartą noc postanowiliśmy - wraz ze Surwiką - zapasowym wyjściem wyjść na powierzchnię, udając górników drugiej zmiany wydostać się na górę. I to nam się udało. Obok wind dołączyliśmy do brygady, która akurat wyjeżdżała z kopalni. Ponieważ w tej brygadzie ludzie wzajemnie się nę znali, wyjechaliśmy bez trudu. Noc była ciemna i chłodna - temperatura oscylowała około zera. Znaleźliśmy szopę z sianem dla koni i w tym sianie zakopaliśmy się i przespaliśmy do świtu.

Rankiem zauważyliśmy, że podobnych jak my jest znacznie więcej: waleśali się po powierzchni, po kopalnianych urządzeniach, sztapli z kopalniakami. Zanim brygada nasza wyjechała na powierzchnię i ustawiła się w kolejce po żarcie, my poznawaliśmy kopalnie od powierzchni. Tu również sporo ludzi pracowało. Jedni przyjmowali ładunek węgla, inni wybierali z niego skały, inni ładowali kopalniaki do windy lub robili jeszcze coś innego. A my doskonaliliśmy się w symulanctwie.

W tym czasie Surwikło dużo opowiadał mi o Litwie i jego powiązaniach z Polską, wyczynach soprtowych i nauce na Uniwersytecie wileńskim. Ja natomiast prawdy nie mówiłem. Przyjąłem zasadę, że czego nie powiedziałem w czasie przesłuchań,



nadal musiało pozostać tajemnicą choćby z uwagi na tych, którzy jeszcze nie zostali aresztowani.

Takie wałęsanie się trwało 8 dni. Wówczas to Tarasow wpadł na pomysł: przechodził przez wszystkie wyrobiska i odnotowywał obecnych i po kilku dniach ustalił cały skład symulantów, w tym i mnie z Surwiłką. Rozmowa o charakterze wstępnym, z pogroźkami, nie dała rezultatów. Ilość symulantów nieco się zmniejszyła, ale nie wszyscy wrócili do pracy. Aż wreszcie dziesiątego dnia naszego pobytu w kopalni zostaliśmy wezwani do gabinetu dyrektora, który w towarzystwie Tarasowa przeprowadzał rozmowy indywidualne.

Na imienne wezwanie stanąłem przed obliczem Chaima /dyrektor był Żydem/ z miną zupełnie niewinną. On, jako doświadczony czekista, zmierzył mnie wzrokiem i zapytał:

- Czy wiesz, po co cię tu wezwałem?
- Nie, odpowiedziałem.
- Czy wiesz zbój, że cię przywieziono tu do kopania węgla, a nie na wycieczkę? - krzyknął.

Gniew mnie porwał na widok jego żydowskich gestów. Widziałem już nie takich tygrysów i też się nie ugiąłem. Dlatego z nieukrywaną ironią rzekłem:

- Przede wszystkim tam, na prohodce, nie ma węgla lecz tylko skała - to po pierwsze. A po drugie - władza radziecka uczyla mnie w szkole technicznej, abym pracował w swoim zawodzie, a nie ładował węgiel. Absolutnie nie mam zamiaru tam pracować - odpowiedziałem z całą stanowczością.

- A jaki twój zawód?, zapytał dyrektor.
- Tak po prostu mówiąc, hydraulik.
- To nic, powiedział. U nas inżynierowie pracują na prohod-

ce. Takich hydraulików jak ty można do Moskwy na czworakach przestawić - zacytował znane rosyjskie powiedzonko. I coraz ostrzej nacierał na mnie:

- Więc jak, będziesz pracować, czy mam zawiadomić Czeka?

- Pracować to ja będę, ale w swoim zawodzie, odpowiedziałem równie stanowczo.

- Widzę, że się dogadamy. Widzisz, u nas obecnie stanowiska na stacji pomp są obsadzone. Na montażu wszystkie stanowiska też zajęte. Gdy zwolni się jakieś miejsce gdzie indziej, to cię przeniosę. Tymczasem popracuj nieco na prochodce - powiedział nieco łagodniej dyrektor.

- No widzisz, dyrektor idzie tobie na rękę, dawaj do roboty, dorzucił Tarasow. Wcześniej czy później rogi ci ułożymy, dzika rogacizno - dodał gniewnie.

- Słuchaj naczelniku, zwróciłem się do Tarasowa o "Dawaj" to w Moskwie męskim narzędziem się udławił. A twoja sprawa cieleca. Obfajdałeś się i stój. Nauczyłeś się tylko ganiać ludzi.

- Oho, bystrzak z ciebie, rzekł. Ale nie takich koników ujeżdżaliśmy i ciebie również ujeżdżimy.

- Musiałbyś Iwanem się nazywać, rozumiecie? - powiedziałem.

To zgniewało Żyda: dość - stuknął pięścią w stół - do roboty, wynocha. Zameldujcie do Tarasowa, gdy podejmiesz pracę. Wyszedłem. W kolejce czekał Surwiłło. Czekałem na niego w holu.

Po tej rozmowie część symulantów podjęła pracę. Tę noc z Surwiłło spędziliśmy śpiąc w stogu siana. Inni, podobni nam różnili w karty w sztaplach kopalniaków. Ale nasza sielanka

zbliżała się ku końcowi. Kopalnia wzmocniała nadzór, symulantów było coraz mniej i samo symulowanie starało się coraz trudniejsze.

Dziesiątej nocy, zaraz po przyjeździe, udaliśmy się do sztaplów drzewa gdzie uczestniczyliśmy w karcianej libacji. Z tego powodu wynikła jakaś awantura, w czasie której zostaliśmy przychwyceni przez nadzór górniczy. Trafiliśmy znowu przed oblicze dyrektora. Była północ. Z podrapaną gębą i w dużym zdenerwowaniu wszedłem do gabinetu. Jak zwykle w takich sytuacjach, był obecny Tarasow. Na mój widok spojrzeli jeden na drugiego. Zapytali o imię i nazwisko oraz imię ojca. Odpowiedziałem.

- Kto cię tak zamalował? - zapytał dyrektor.

- Uderzyłem się o jakiś pień, upadłem. W żadnej awanturze udziału nie brałem.

- Jak się znalazłeś przy sztaplach, a nie w kopalni?

- Nie trafiłem do windy.

- To my ciebie doprowadzimy, odrzekł Tarasow.

- Najpierw sami dojdźcie, a mną przestańcie się interesować. Przeżyłem dwadzieścia kilka lat, przeżyję i dalej.

Poszukajcie sobie bliższych krewnych, a mnie zostawcie w spokoju. I zacząłem wrzeszczeć na cały pokój nawet nie bardzo wiedząc co.

Dyrektor nieco zmiękł:

- To jaki wreszcie masz zawód - zapytał spokojnie.

- Mówiłem już wam, że jestem maszynistą pomp wodnych.

- Mówiłem ci już, że takich maszynistów mamy wielu. Nam potrzebni ludzie na prohodce. Popracujesz, będzie wolne miejsce, a zostaniesz maszynistą.



- Ani chwili na przechodce pracować nie będą, dyrektorze, nadzorca i doradcą niewybredną wiazańką rosyjskiej łaciny.
- O, to ty taki surinsyr, nie chcesz budować radzieckiej ojczyzny. Odeślę cię do Czeka, zginiess w karcerach.
- Słuchaj, dyrektor. Ja taki jak i ty: nie ruski. To nie jest moje ojczyzna i nie mam obywatelskiego obowiązku jej budować ze wszystkich sił. Dasz robotę taką, jaka mi się podoba to będę pracował. Nie - to nie i kwita. Koniec rozmowy. Więcej ani słowa wam nie odpowiem - dopowiedziałem wam zdecydowanie.

Dyrektor zastanowił się przez chwilę, a Tarasow tylko się uśmiechnął. Kiedy dyrektora nazwałem niemał Żydem, jakby zakawiej spojrział w moją stronę. reakcją ujął słuchawkę i poprosił głównego mechanika.

/ to ty, Kozakiewicz? Po otrzymaniu potwierdzającej odpowiedzi mówił dalej: jest tu u mnie wielki specjalista od pomp a przy tym twój rodak. Taki sam uparty jak ty. Przejdź i zapoznaj się z nim. I odłożył słuchawkę.

Na chwilę do pokoju wszedł wysoki, dość przystojny mężczyzna, lat około czterdziestu, brunet, oczy ciemne, cera śniada. Nie wyglądał na rolaka. Kiedy mu przedstawiłem się, powiedział: biorę go do siebie, sprawdzę. Przeszliśmy do jego pokoju. Przyznałem się mu, że nic fachowego nie potrafię robić. Obiecał mi pomoc.

Po wyjściu na korytarz dowiedziałem się od Burwikły, że i jemu się powiodło: trafił do jakiegoś kantora, do lepszej pracy. Obiecaliśmy się wspierać w przyszłości.

Z Kozakiewiczem przeszliśmy wszystkie urządzenia kop

niane. Szliśmy bardzo szybko, bo to był też sprawdzian mojej kondycji. reszcie zostawił mnie w kameronie czyli na stacji pomp, gdzie miałem się przeszkolić i w przyszłości pracować. Tak znalazłem się w brygadzie Kornilowa. Ten miał już na swoje miejsce swojego pupila, ale w tej sytuacji musiał zrezygnować. Ta praca nie była tak ciężka: był czas na opowiadanie kawałów, a nawet można było się czasem zdrzemnąć. Często zastanawiałem się, za co mnie to spotyka i doszedłem do wniosku, że nie byłem jednak święty.

reszcie zostałem samodzielnym maszynistą pomp. Wówczas założyliśmy nieformalny klub dyskusyjny, do którego oprócz mnie należał Białorusin, Litwin, Jugosłowianin i inni. Dyskutowaliśmy na różne tematy. Trzeba było uważać, żeby przy tym nie naruszyć radzieckiego prawa. Często poruszaliśmy sprawy historyczne. Z tych dyskusji wynikało powszechne dążenie wszystkich narodów do wolności.

Pracowałem na zmianę z Wackiem Joczem, który pochodził z okolic Burkontów. Znałem go jeszcze z czasów okupacji. Trzecim zmiennikiem był Rosjanin Szerbakow.

Przez cały czas byliśmy pod okiem czekistów. Jeśli kopalnia wykonywała plan, na jej szybie płonęła czerwona gwiazda, a nasi zwierzchnicy bali zadowoleni. Jeśli zaś gwiazda przestawała się palić, zaczynały się dla nas ciężkie dni. Trwało to do czasu <sup>ponownego</sup> zapalenia się gwiazdy.

Tęskniąc do Polski zazdrośnie patrzyłem na przelatującą ptaki. Do obozu przywożono nowych więźniów, innych wywożono. Więźniowie trzymali się w grupach narodowych. Najbardziej trzymali się Polacy. Obozowe "czeka" obserwowało to dokładnie i czujnie. Jedynie Rosjanie jakos się nie trzymali :



Był to efekt dłuższego oddziaływania władzy radzieckiej. Widoczna była ich nieufność i sprzedajność.

Polacy toczyli ostre dyskusje na temat naszych granic. Pretensje mieli do nas Litwini, Białorusini, Ukraińcy i inni. Z tego tytułu miałem przykrą scysję z Litwinami: za kilogram słoniny miałem oświadczyć, że Wilno jest litewskie. Oświadczyłem, że dla mnie Wilno jest więcej warte niż kilogram słoniny. Sprawę starał się załagodzić Litwin, profesor Myszkiniś.

Pamiętam białe noce we wrześniu 1948 r. Nadeszła pora deszczowa. Nadchodziła zima. W obozie zostali tylko więźniowie polityczni z dużymi wyrokami. Zaczęliśmy starać się przetrwać: przestrzegać higieny, unikać ciężkich prac, starać się o żywność, ubranie i obuwie. Miała to być moja pierwsza zima polarna. Czekaści twierdzili, że po zimie zostanie nas tylko 10%. Wiedzieliśmy, że należy działać wspólnie i zachowywać spokój, uczyć się tego, co w dalszym życiu może się przydać.

Nie każdy mógł to stosować z racji różnych charakterów. Do rodzin pisaliśmy smutne listy, które były cenzurowane. Trzeba było uważać, aby nie przysporzyć kłopotów adresatom.

Kiedyś otrzymałem paczkę. Była od ojca. Czekaista wydający paczki otwierał ją bezceremonialnie, niszcząc opakowanie. W paczce była żywność i trochę ubrania. Wreszcie, bez pytania odłożył z mojej paczki część żywności i stwierdził, że powinienem go poczęstować. Odpowiedziałem, że do częstowania mam kolegów. Czekaista zacisnął pięści.

Grupa polska jadła paczki wspólnie. W odpowiednim pomieszczeniu można było przechowywać to, czego się nie zjadło.

Wkrótce otrzymałem kolejną paczkę, tym razem od ciotki,



która w czasie wojny była na Syberii i doskonale mnie rozumiała. Po wojnie zamieszkała w Warszawie.

Paczki nas wyraźnie podtrzymywały. W pewnym momencie wprowadzono zaostrzony reżim. Na okna baraku założono kraty a na drzwi sztaby. Otrzymaliśmy numery: otrzymałem Z-152. Taki numer musiał być na każdej części garderoby wielkości numerów jak na tablicach samochodowych.

Jednocześnie ograniczono korespondencję do dwóch listów rocznie. Tylko naczelnik obozu mógł zezwolić na napisanie dodatkowego listu. Pisać należało wyłącznie po rosyjsku. Ograniczono poruszanie się po obozie - tylko w grupach.

W obozie była biblioteka i klub, prowadzony przez oficera. Funkcjonowały nieźle zespoły artystyczne. Powiększono izolator, coś pośredniego między karcerem a obozem. Oprócz tego był karcer dla niepoprawnych, bardzo ostry.

Nasz obóz był małą wysepką zarządzaną przez ministerstwo "speclagrów". Karano nas teraz za byle co. Obozowa "tirma" była pełna. Do karceru zamykano tylko w bieliznie. Najsilniejsi nie wytrzymywali więcej jak trzy doby. Posiłek gorący był co trzeci dzień, a gorącą wodę codziennie - raz. Czasem cały barak przekształcano w izolator. Rosjanie twierdzili, że na wolności jest gorzej niż w obozie.

Najbardziej dokuczali nam szefowie reżimu, ludzie wyjątkowo tępi. Zdarzały się wypadki w obozach dobrze zorganizowanych, że na takiego sadystę wydawano wyrok. Podejmowali się tego młodzi, z dużymi wyrokami. A wyrok był tylko jeden - o wykonawstwie / kto / decydował los lub gra w karty. Wykonywano je okrutnie: oddzielając głowę od tułowia.

Jeden z szefów reżimu zwykle mówił do nas, Polaków: tu

wam żyć i umierać, tu wasza Polska. A następnie, wskazując na pobliski cmentarz dodawał: a tam wasza Warszawa. Jak się miało okazać, wielu z nas wróciło do Polski, a on tam został. Staraniem się poznać sprawy obozowe i ustrojowe, zacząłem uczyć się rosyjskiego, a wszystko to po to, że nieprzyjaciół trzeba znać. Angielskiego uczył mnie Konstanty Istańcow, Bułgar tureckiego pochodzenia, przyjeźny Polakom. Był wcześniej wiceministra rolnictwa oraz redaktorem jakiegoś pisma, był też w Katyniu pod władzą Niemiec. Kiedyś napisał do młodzieży tureckiej: młodzieży turecka, ucz się kochać ojczyznę od młodzieży polskiej.

Z racji znajomości rosyjskiego koleżdy często prosili mnie np. o przeczytanie czy napisanie listu. Byłem jak minister propagandy. Miałem ułożone szablony, tylko zmieniałem dane. Często fantazjowałem.

W październiku spadały już pierwsze śniegi. Zaczynały się wichry i śnieżycy, gorsze niż mroz. Wówczas to po raz pierwszy mogłem obserwować zorzę północną, zwaną po rosyjsku "siewiernoje siejanie".

Miejscowi jeździli na długich sanich zaprzęganych w renifery, podobno najpocześniejsze zwierzęta świata. Nawet w zimie mieszkali na powietrzu. Wyszukiwał trawę pod dwumetrową warstwą śniegu. Był jedynym środkiem komunikacyjnym. Do san zaprzęgano ich nawet siedem sztuk. Kierowano nie lejcami lecz długą żerdzią. Osiągały szybkość do 70 km. na godzinę. Dla nich nie trzeba było żadnych dróg. Renifer dostarczał też mięsa i skór na ubiory. Miejscowi mieszkali w jurtach, które przypominały nasze stogi siana na mokradłach. Wewnątrz nie było pieców, palono ognisko na klepisku. Wokół siedzi



rodzina, zawsze w ubraniu.

Obóz nasz stanowił czworobok, podobny do naszego Oświęcimia. Istniały w nim pomieszczenia gospodarcze obsługiwane przez więźniów. Obok, w lepiankach mieszkali nasi strażnicy, którzy nazywali nas "wrogami ludu". Były to dwa wrogie sobie światy. Oni wiedzieli, że wśród nas są doświadczeni żołnierze z wielu armii. W naszym okręgu w tym celu była skosz rowana cała dywizja NKWD, miała na usługach cały wywiad. Wymieniano często ludzi podejrzanych oraz wykształconych: przenoszono do innych obozów.

W zimie góry Uralskie były surowe i groźne. Dla mnie przypominały mury potężnego więzienia. Za nimi była już Azja, symbol cierpienia Polaków. Podobno car mówił, że na Ural należy wysyłać tylko więźniów, bo dla wolnych tam nie ma życia.

Ale najbardziej tajemniczym zjawiskiem była zorza polarna. W owym roku przyszła później, co miało oznaczać łagodniejszą zimę. Psy ujadają groźnie, gdyż były głodne, jako że nadzorujący ich NKWD-yści /sobakowody/ bez żenady podkraдали im jedzenie. Powstającą zorza nagle rozświetla całe niebo. Pojawiają się świetliste słupy, podobne do tęczy. Przypominały reflektory umieszczone na ziemi. Pojawiają się i znikają. Śnieg robi się czerwony, ludzie również. Widok godny oka artysty.

W tych warunkach nasz obóz wyglądał jeszcze bardziej ponuro. Starzy więźniowie, którzy tam siedzieli od rewolucji uważali obóz za swój dom.

Gra kolorów czasem trwa sekundy, a czasem całą noc. Zawsze była inna. Przebywający z nami marynarze mówili, że jest



efektów podświetlania lodów dryfujących po drugiej stronie bieguna.

W tym czasie czekaliśmy, zwykle wściekli, tym razem zachowywali się spokojnie, jakby zatruwani. Psy były. Zorza na ogół występuje przy temperaturze minus 30 stopni, od początków października do końca marca: najczęściej w listopadzie i w lutym. Gdy oglądałem to zjawisko po raz pierwszy byłem tak zafascynowany, że nie wiadomo kiedy odmroziłem nos i częściowo nogi.

Po zorzy pojawiała się śnieżycy, przez Eskimosów nazywana "purha". Wiatr potrafił zrzucić z drogi obciążony pojazd mechaniczny, podnosił człowieka idącego z wiatrem, a idącemu pod wiatr zatykał oddech. Wiatr był jakby w piekle. W tych warunkach brnęły do pracy i z pracy kolumny więźniów.

Aby uzyskać dodatkowe jedzenie, często przyjmowaliśmy dodatkową pracę, np. wyładunek żywności z samochodów w obozie, za co otrzymywaliśmy coś do jedzenia. Przy tej okazji czasem coś ukradliśmy.

Czasem, przy podziale łupów wybuchały kłótnie i całe towarzystwo lądowało w izolatorze. Najczęściej jedzenie chowaliśmy w barakowej suszarni. Naszym "suszylszczykiem" był Polak, poczciwy pan. Jastrzębski z okolic Lidy. Był mistrzem w ukrywaniu jedzenia. Każda z narodowości starała się mieć swojego człowieka w bloku żywieniowym. Naszym takim człowiekiem był kol. Leon Juchniewicz z okolic Oszmiany. W kuchni szpitalnej był Józek Orechmo, Białorusin aż od Głębokiego, dążył Polaków sympatią.

Dodatkowe jedzenie pozyskiwaliśmy przez wytwarzanie takich przedmiotów, które były przydatne w gospodarstwie dom

wym. W naszym "cechu", gdzie rej wodził Tadeusz Zawada, robiliśmy - z myślą o wolnych ludziach - piecyki elektryczne, odlewaliśmy aluminiowe łyżki, których trzonek przedstawiał nagą kobietę. Były też łyżki z wdziękami męskimi, które trafiły do kobiet. Inną produkcją były paski do spodni, których więźniowie nie mogli nosić. Wykonywaliśmy je w barwach narodowych potrzebujących. Szrowcem była izolacja przypominająca przedwojenny krawat harcerski.

Tadzio Zawada podjął się kiedyś naprawy zegarka. Rozebrał go, ale już złożyć nie mógł. Sprawę uratował niemiecki więzień, zegarmistrz z cywila.

Niezawodnym moim przyjacielem z tego okresu był Wacek Jocz z Surkontów pod Raduniem. Silny i bardzo patriotycznie wychowany. Dzielny partyzant także i za Sowieców. Miał wyrok 25 lat, został ujęty w walce. Żył dlatego, że w czasie jego sądenia w ZSRR nie było kary śmierci. Teraz razem pracowaliśmy. Wśród nas był też por. Janicki z KOP-u z Oszmiany i por. artylerii - Ostrowski /Kazimierz?/, starsi ode mnie. Był też lwowianin, dentysta Żygulski, którego brat Kazimierz, student prawa był w obozie nr. 1. Byli i tacy, którzy i tam ukrywali swoją przeszłość jak i tacy, którzy przedstawiali się jako "bohaterowie", przywłaszczali cudze czyny.

Wiosną 1949-go roku doszło do tragicznego wypadku na naszej kompanii: stojący na "wyżce" czekista o wyglądzie Azjaty otworzył ogień do tłumu więźniów i spowodował ofiary śmiertelne oraz wielu rannych. Wśród nich był Rosjanin, ranny trzema kulami, por. wojsk NKWD /tak się przedstawiał/. Przed wojną stacjonował w Smoleńsku. Kiedyś opowiedział mi, że był przy egzekucji naszych oficerów w Katyniu. Jego pluton dostarczał Polaków na miejsce kaźni. Nazywał się Ułybin.



O sprawie Katynia opowiadał mi z detalami, bo chyba rzeczywiście na to patrzył. Mówił, że zrobiono to słusznie i że ja Polak, nie powinienem ich żałować, bo przecież oni się pódal. Powiedziałem mu, że i jego uważam za współsprawcę zbrodni, chociaż osobiście nikogo nie zabił. Rostaliśmy się w gniewie.

Wiosną 1949`r. byliśmy w nieco lepszych humorach: przeżyliśmy pierwszą zimę, która wspólnie z czekistami miała dokonać wśród nas prawdziwej selekcji. Ubytki wśród Polaków nie były zbyt duże. Kozakiewicz zapowiedział skierowanie mnie na kurs maszynistów wyciągów, co dawało mi szansę pracy na powierzchni. Była to dobra wiadomość. Kiedy już pracowałem w maszynowni, nawiązałem rozmowę z Ukraińcem Hrycko. On, biorąc mnie za swojego opowiedział, jak "rezał Lachów" na Wołyniu. Z detalami opowiadał mi, jak zamordował miejscowego nauczyciela, swojego nauczyciela, Polaka. Oceniał go jako dobrego człowieka, ale zabił go "dla sprawy". Nauczyciel miał lat ok. 50-ciu, drogo sprzedał swoje życie: zabił jednego z jego kolegów.

Tym opowiadaniem byłem wstrząśnięty. Wkrótce sam Hrycko wpadł do głębokiego szybu i zginął na miejscu.

Koniec odbywania kary wypadł mi pod koniec sierpnia 55r. Po krótkim pobycie na wolności zostałem skierowany na ponowne śledztwo do KGB w Grodnie z polecenia Najwyższego Trybunału Wojskowego. 29 grudnia 1955 r. sprawę umorzono. Do Polski przyjechałem 29.VI.1957r. Przez pewien czas pracowałem w elektryfikacji, a następnie - aż do emerytury - i jeszcze obecnie, w PKS-e.

Notował: S. Sianko.



1. Tadeusz O l i z a r o w i c z.

I/582

2. ur. 10. IV. 1924r. - Milenki, pow. Sokółka.

3. aresztowany: 29. V. 1946r. - Nowosiółki k/Grodna.

4. Skazany przez wojenny trybunał z art. 63 pkt. 1 i art. 70, 76.

na 10 lat łagru i dożywotnią zsyłkę. Przebywał: Mińsk, Inta.

5. koniec kary: koniec VIII 1955r. - skierowany na ponowne śledz-

two do KGB Grodno z polecenia Najwyższego Trybunału Wojsko-  
wego. 29. XII. 1955r. Sprawę umorzono.

6. Powrót do Polski - 29. VI. 1957 r.

Handwritten notes and stamps at the top left, including a signature and some illegible text.

I/582

Tłumaczenie z języka rosyjskiego

o/k t II/12

Stempel o treści: "Ministerstwo Przemysłu Wąglowego ZSRR, Kombinat Intaugol, 23.III.1957 r. Wych.

30/391 ". "Zatwierdzone" Naczelnik Kombinat Intaugol,

21.III.57 r.

D. Żukow, dnia 21 marca 1957 r.

19/240

W N I O S E K

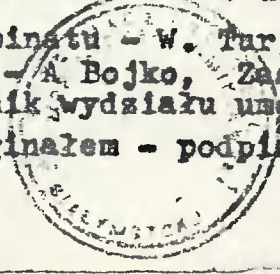
ODNOŚNIE ZŁOŻONEGO PODANIA PRZEZ OLIZAROWICZA  
TADEUSZA SYNA ADAMA - - - - -

Na podstawie złożonych dokumentów: - wyciąg z postanowienia UKGB z dnia 29.XII.55 r. obwodu grodzieńskiego, zaświadczenia ITB "ŻCz" z dnia 8 marca 1957 r. i zaświadczenia wydziału kadr ustala się, że tow. Olizarowicz trzymany był w miejscach więziennych od dnia 29.IV.48 r. do dnia 11.X.54 roku, to jest przez 8 lat, 4 miesiące, 12 dni, w tym w ITB "ŻCz" /połowy obóz pracy - tłumacz/, pracował w przedsiębiorstwach kombinatu Intaugol, od 16.VII.48 r. do 11.X.54 r. t. j. przez 6 lat, 2 miesiące, 25 dni. - - - - -

29 grudnia 1955 r. Uchwałą UKGB przy Radzie Ministrów obw. grodzieńskiego uchylone zostało postanowienie Trybunału Wojsk MSW i sprawa dotycząca Olizarowicza zaprzestana procesem z braku znamion przestępstwa. - - - - -

Zgodnie z Uchwałą Rady Ministrów ZSRR Nr 1655 z dnia 8.IX. 1955 r. należy zaliczyć dla tow. Olizarowicza w ogólny staż pracy według specjalności - 8 lat, - /osiemlat/ cztery miesiące, 12 dni, a do stażu pracy Piesozorskim zagłębiu węglowym - sześć lat, dwa miesiące, 12 dni. - - - - -

Naczelnik ONTZ kombinatu - W. Tur, Naczelnik wydziału kadry kierowniczej - A. Bojko, Zast. gł. księgowego - I. Buchman, Naczelnik wydziału upowoniępretenz. - M. Tabuchow. Zgodne z oryginałem - podpis nieczytelny.



Handwritten notes at the bottom left, including the number 29/84, 40, 14-III-1954, and a signature.